

Wciągająca, szybka akcja...
Doskonały, nowoczesny brytyjski kryminał.
Shots

JAMES CRAIG

MILCZ

NAWET PO

ŚMIERCI

**Myślisz, że elity władzy mogą więcej?
Mylisz się. Mogą wszystko!**

JAMES CRAIG
MILCZ NAWET PO ŚMIERCI

Przekonawszy się, że znów nie zdążył przed zamknięciem do schroniska Parker House, Walter Poonosamy, pijaczyna znany powszechnie jako Pies, przeszedł za róg, na Drury Lane, i ruszył na północ. Zmierzał do labiryntu uliczek wokół British Museum. Obszar ten przyciągał wielu turystów, którzy stołowali się w licznych restauracjach sprzedających posiłki typu „jedz, ile chcesz”, więc zwykle jedzenia tam nie brakowało.

Big Ben wybił właśnie pierwszą, gdy Pies skręcił w Great Russell Street. O tej porze ulica była pusta, co bardzo mu odpowiadało. Spojrzał na czarne worki ze śmieciami, czekające na bohaterkich śmieciarzy z Camden. Pierwsza śmieciarka przyjeżdżała koło siódmej rano. Do tej pory większość worków była już rozdarta, a ich zawartość rozwleczona po całym chodniku. Pies wiedział z doświadczenia, że resztkami mogą się najeść tylko ci, którzy przychodzą pierwsi. Pomimo przyjemnego stanu upojenia alkoholowego coraz wyraźniej odczuwał dokuczliwy głód, musiał się więc pospieszyć, by uprzedzić konkurencję, czyli kloszardów z Tottenham Court Road i Russell Square. Właśnie teraz mógł liczyć na najcenniejsze łupy w postaci resztek jedzenia, ubrań i innych przydatnych rzeczy, które wyrzucali okoliczni mieszkańcy.

Rozważywszy różne opcje, Pies podszedł do sterty worków ze śmieciami ułożonych przy latarni po wschodniej stronie ulicy, przed hinduską restauracją o nazwie Sitaaray. Wyjął z kieszeni nóż do wykładzin, pochylił się i ostrożnie rozciął najbliższy worek. Po kilku minutach poszukiwań znalazł całkiem przyzwoite resztki: jagnięce shaami i kurczaka z masalą oraz parę chlebków naan. Taki posiłek z pewnością przewyższał wszystko, co dostałby w schronisku, a przy tym doskonale pasował do resztki z dwóch litrów cydru Diamond White, które zachował na taką właśnie chwilę. Rozejrzał się po ulicy, a gdy był już pewny, że nikt go nie podgląda, odmówił krótką modlitwę dziękczynną za obfitość dóbr, jakimi obdarowało go miasto. Potem

wycofał się w mrok pobliskiej alejki na tyłach olbrzymiej kamienicy, by rozpocząć nocną ucztę.

Agatha Mills nie mogła zasnąć. Wciąż ubrana, stała przy oknie i patrzyła na podświetloną fasadę British Museum. Ten widok był największą zaletą jej mieszkania, szczególnie w nocy: często kontemplowała jońskie kolumny i rzeźby na frontonie nad głównym wejściem, obrazujące Postęp cywilizacji.

Ładny mi postęp, pomyślała ze smutkiem, kręcąc głową.

To widok sprawił, że zakochała się w tym mieszkaniu, gdy zobaczyli je po raz pierwszy prawie czterdzieści lat temu. Wierciła Henry'emu dziurę w brzuchu, by natychmiast je kupić, choć nie było ich na nie stać. Zrobił to, ale potem przez długi czas chodził naburmuszony, co nawet teraz przywoływało uśmiech na usta Agathy. Jednak w miarę upływu lat, gdy okazało się, że ich mieszkanie to jedyna rozsądna inwestycja, jaką poczynili w ciągu całego życia, jej mąż pogodził się z tym zakupem i łaskawie przyznał, że miała rację.

Jednak dla Agathy radość z tego, że mieszka przy Great Russell Street, zawsze zaprawiona była odrobiną smutku. Od pierwszej wizyty w nim marzyła, że będzie zabierała swoje dzieci na drugą stronę ulicy, do muzeum. Wyobrażała sobie pikniki na dziedzińcu, popołudnia spędzone pośród egipskich mumii i rzymskich skarbów. Gdyby wtedy wiedziała, że nie będzie miała dzieci, byłaby zdruzgotana. Nawet teraz czuła ukłucie żalu i zdawała sobie sprawę, że to uczucie nigdy nie minie.

Jednak domem Millsów rządził stoicki pragmatyzm: musisz żyć z tym, co cię boli. Tak też postępowali, a życie toczyło się dalej. Znaleźli sobie inne zajęcia, które wypełniały im czas i absorbowwały emocje. Czasami zastanawiała się, czy Henry jest równie rozczarowany jak ona – z mężczyznami różnie bywa – ale w sumie nie miało to większego znaczenia. Nie zamierzali przecież pokazywać sobie nawzajem, które bardziej cierpi.

Uśmiechnęła się na myśl o mężu leżącym teraz w ich małżeńskim łóżku. Był dobrym człowiekiem, wziął na siebie jej problemy i sam się

z nimi zmagał. Po latach zrozumiała, że jest naprawdę niezwykłym towarzyszem, i że miała szczęście, wiążąc się właśnie z nim.

Dostrzegła jakiś ruch na ulicy. Podeszła do okna i zobaczyła kloszarda, który grzebał w śmieciach, szukając czegoś do jedzenia albo ubrania. Takie widoki były dla Agathy codziennością i nie wywoływały właściwie żadnej reakcji prócz odrobiny niezdrowej przyjemności, jaką jest podglądanie innych. Pracowała przez wiele lat w znacznie biedniejszych krajach, więc przywykła do ludzkiej nędzy. Poza tym w porównaniu z wieloma innymi miastami Londyn miał naprawdę sporo do zaoferowania tym, dla których śmietnik był głównym źródłem zaopatrzenia. Agatha zauważyła jednak, że ma już mniej zrozumienia dla niedoli innych. Może po prostu się starzeje, a może to miasto tak na nią działa.

Podobnie jak inni mieszkańcy Ridgemount Mansions, była wściekła, gdy rano ulicę zaścielały śmieci. Nie po to przecież starannie je sortowali i układali w workach, by potem rozrzuciły je bezdomne duchy włączące się nocą po okolicy. Czasami ktoś dzwonił po policję, ale nie miało to najmniejszego sensu: jeśli policjanci przyjeżdżali na miejsce – co nie zdarzało się często – nawet nie kryli braku zainteresowania tak błahą sprawą i wykonywali tylko podstawowe czynności, które miały na jakiś czas odstraszyć winowajców.

Agatha obserwowała, jak mężczyzna wyjmuje kilka rzeczy z worka wystawionego przed pobliską restaurację, a potem znika w mroku. Wiatr rozsypał po ulicy kilka pustych plastikowych pojemników. Poza tym na dole nic się nie działo.

Odsunęła się od okna i usłyszała jakiś hałas w kuchni. Henry najwyraźniej znów nie mógł zasnąć. Do niedawna nie zdarzało mu się wstawać w nocy, ale ostatnio dochodziło do tego coraz częściej. Im był starszy, tym bardziej robił się niespokojny.

– Henry? – Wyszła z salonu i spojrzała na korytarz. W kuchni paliło się światło. – Wszystko w porządku?

Hałas w kuchni ucichł, ale nie doczekała się odpowiedzi. Pomyślała, że mąż z dnia na dzień coraz gorzej słyszy. Oboje się starzeją. To kolejny problem związany z brakiem dzieci: kto się nimi zaopiekuje, gdy sami już nie będą dawali sobie rady? Matka Agathy zmarła w domu opieki, który przypominał raczej zakład dla obłąkanych. Poczucie winy i wstyd związane z tym, że ją tam zostawiła, bywały

dokuczliwe, ale nie mogły się równać z determinacją, z jaką walczyła o to, by podobny koniec nie spotkał jej ani Henry'ego. Ojciec zmarł na zawał, kiedy pewnego dnia wyszedł do sklepu po chleb. Wtedy było to dla nich strasznym szokiem, ale patrząc z perspektywy czasu, Agatha doszła do wniosku, że to znacznie lepsze wyjście niż dogorywanie w domu wariatów.

– Henry! – powtórzyła ostro, zirytowana tymi ponurymi rozmyślaniami. – Co ty robisz? Jest już naprawdę późno.

Weszła do kuchni i ściągnęła brwi. Nie było tam nikogo. Kiedy odwracała się z westchnieniem, by zgasić światło, kątem oka dojrzała jakiś ruch.

– Co, u diabł...

Pierwszy cios trafił ją w ramię, a nie w głowę, to jednak wystarczyło, by runęła na podłogę.

– Henry! – jęknęła Agatha, próbując się podnieść. Była już na kolanach, gdy dosięgło ją drugie uderzenie. Tym razem cios był celniejszy – trafiona w tył głowy, Agatha osunęła się w ciemność.

„Policja w Chile aresztowała tancerkę, która kilkakrotnie zrobiła striptiz w metrze w Santiago. Montserrat Morilles została nazwana La Diosa del Metro, Boginią Metra. Morilles powiedziała dziennikarzom: «Chile to wciąż kraj dla nieśmiałych. Ludzie wstydzą się bawić i okazywać uczucia. Chcemy się tym zająć i uczynić z Chile szczęśliwsze państwo»”.

Carlyle wysunął głowę spod kołdry i wyłączył radiobudzik. Przetarł zaspane oczy i spojrzał na żonę, która właśnie się ubierała. Stała po swojej stronie łóżka, odwrócona do niego plecami. Rzuciła na podłogę bawełnianą koszulkę i sięgnęła po perłowy biustonosz wiszący na krześle. Włożyła go i odruchowo zerknęła do lustra na drzwiach szafy. Carlyle obserwował, jak drgają jej pośladki, i też poczuł przyjemne drgnięcie.

Jedną z wielu rzeczy, za które kochał żonę, był jej piękny tyłek. Naprawdę śliczny tyłeczek: jędrny, kształtny, gładki i nie do końca symetryczny. Ogarnęła go nagle fala entuzjazmu, miał ochotę wyskoczyć z łóżka i złapać ją za pupę. Kolejne drgnięcie. Podrapał się energicznie, by potwierdzić to, co i tak już wiedział: jego poranna erekcja jest tego dnia po prostu spektakularna.

Ile mają czasu? Usłyszał, że w salonie włączył się telewizor. Przed pójściem do szkoły Alice przez piętnaście minut będzie jadła śniadanie i oglądała jakieś bzdury. Wystarczy. Najpierw jednak musi się wysikać. Już miał opuścić nogi na podłogę, gdy Helen odwróciła się do niego i obdarzyła go jednym z tych swoich strapionych uśmiechów. Oprócz biustonosza, przez który wyraźnie przebijały sutki, Helen była naga. Najwyraźniej nieświadoma swojego prowokacyjnego wyglądu, spytała od niechcienia:

- Przyjąłeś kiedyś upominek w pracy?
- Dzień dobry, ja też się cieszę, że już wstałaś.

Carlyle schował się pod kołdrę. Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, był powrót do rozmowy z poprzedniego wieczoru. Helen

przeczytała w niedzielnym wydaniu jednej z gazet historię o inspektorze z komisariatu Harrow, który został aresztowany podczas nalotu na miejscowy burdel. Autor artykułu podejrzewał, że policjant zapewniał temu przybytkowi ochronę w zamian za pieniądze i usługi. Helen zaczęła głośno rozmyślać o nieodpartych pokusach, na jakie wystawieni są policjanci. Zamiast nie zdradzać się ze swoimi poglądami, Carlyle jak ostatni idiota próbował bronić kolegów po fachu, a tym samym siebie.

Zerkając na jego krocze, Helen uniosła brwi.

- No więc?

- Zdefiniuj „upominek”.

- Dobrze wiesz. - Oparła ręce na biodrach, prowokując go i się z nim drażniąc.

- Czy kiedykolwiek spałeś z... dziwką?

„Dziwka”. Określenie wybrane nieprzypadkowo. Obrażliwe i oskarżycielskie zarazem.

Carlyle zamrugał i wbił wzrok w sufit. Czuł, jak jego erekcja powoli słabnie. Fatalnie zaczął się dla niego ten poniedziałkowy poranek - jego własna żona wypytuje go o jego historię seksualną i standardy etyczne. Poczul się jak w pracy: nie musiał być winny, by czuć się winnym.

Zastanawiał się przez moment nad swoją sytuacją, świadomy, że ma mało czasu. W końcu usiadł prosto i zrobił obojętną minę, co o tej porze dnia nie było zbyt trudne.

- Nie.

Helen włożyła wyblakłe figi, które nie pasowały do biustonosza.

- Jesteś pewny? Bo większość mężczyzn to robiła. To nic wielkiego.

Carlyle ani przez moment nie wierzył w to ostatnie zdanie. Dobrze wiedział, że sprawa jest śmiertelnie poważna. Podrapał się po głowie i udał, że ziewa, by zyskać na czasie. Musi to rozegrać bardzo delikatnie. Przestał udawać obojętność, uśmiechnął się od ucha do ucha i spytał:

- Co masz na myśli? Pytasz o to, czy przypadkiem nie zapomniałem, że dmuchnąłem kiedyś dziwkę, czy nie jesteś pewna, czy mówię ci prawdę?

- Jedno i drugie.

Helen włożyła jasnobrązowy sweter i sięgnęła po czarne dżinsy.

Uznawszy, że najlepszą formą obrony jest atak, Carlyle odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Drapiąc się po jądrach, podszedł do żony i delikatnie pocałował ją w czoło.

– Nie sądzę... to znaczy, na pewno bym pamiętał.

Helen odsunęła się od niego i zapięła dżinsy. Carlyle złapał się za penisa i ścisnął go lekko, a potem znów podrapał z błogością po jądrach. Teraz naprawdę chciało mu się sikać, ale nie mógł wyjść z pokoju zbyt szybko, bo wyglądałoby to na ucieczkę.

– Więc jesteś pewny?

Obok jego dżinsów leżały bokserki, które nosił poprzedniego dnia. Podniósł je i szybko powąchał – nie jest źle, wytrzymają jeszcze jeden dzień.

– Posłuchaj – zaczął, wkładając bieliznę – są dziwki i dziwić. Wiem z doświadczenia, że przeciętna kokainistka nie przypomina Julii Roberts z Pretty Woman.

Helen zmierzyła go wzrokiem, przypominając – choć wcale tego nie potrzebował – że częścią małżeństwa jest również nieustanne ocenianie się nawzajem.

– Więc gdyby były ładniejsze albo czystsze...

No tak, w tym momencie odwrót był już niemożliwy. Znów spróbował uśmiechnąć się szelmowsko.

– Julia Roberts nie jest w moim typie.

– Ale gdyby wyglądały jak... hm, powiedzmy, ta dziewczyna Bonda, Eva Green?

Eva Green?

– Nie, nie wyglądają tak.

Helen zaczęła szcztokować włosy.

– Ale gdyby jednak wyglądały? I gdybyś musiał tylko wręczyć jej pieniądze?

Tym razem uśmiech Carlyle'a był szczery.

– Policjanci nie muszą płacić. Dostajemy „upominki”, nie pamiętasz? I dobrze, biorąc pod uwagę, ile mam – a raczej, ile nie mam – pieniędzy w kieszeni.

Helen uśmiechnęła się triumfalnie.

– Więc zrobiłbyś to? A może już zrobiłeś?

I po żartach. Carlyle przestał się uśmiechać i opuścił ramiona.

– Muszę się wysikać – powiedział cicho.

Inspektor siedział przed Il Buffone i napawał się łagodnym porannym słońcem. Mała włoska kawiarnia w stylu lat pięćdziesiątych znajdowała się naprzeciwko jego apartamentowca, po drugiej stronie Macklin Street, na rogu Drury Lane w północno-wschodniej części Covent Garden. W środku był tylko bar i dwa małe boksy, które mogły pomieścić najwyżej po sześć osób. Goście lokalu mogli zaryzykować i jeść w towarzystwie obcych ludzi albo usiąść przy jednym z małych stolików na ulicy, gdzie raczej nikt by im nie przeszkadzał. Poza tym mogli się za darmo nawdychać spalin.

Choć Carlyle wolał jadać śniadania sam, zwykle siedział w środku, pod plakatem zwycięskiej drużyny Juventus z 1984 roku. Plakat był stary i wyblakły, posklejany w kilku miejscach taśmą samoprzylepną. Marcello już kilkakrotnie próbował go wymienić, ostatnio na plakat drużyny, która w 2006 roku zdobyła mistrzostwo świata. Zawsze jednak, po protestach Carlyle'a i kilku innych bywalców znajdujących się na piłce, zmuszony był powiesić zdjęcie zespołu Trapattoniego i Platinięgo.

Dziś jednak Carlyle trafił na poranną godzinę szczytu, więc oba boksy w kawiarni były zajęte. Przyjrzał się gościom i stwierdził, że żaden z nich nie wygląda tak, jakby miał za chwilę wyjść. Wciąż stojąc w drzwiach, spojrział błagalnie na Marcella, właściciela, który skinął tylko głową i powiedział:

– Przyniosę.

Gdy tylko inspektor usiadł, pojawił się przy nim Marcello i postawił na stoliku podwójne macchiato i kawałek wyjątkowo apetycznego ciasta z wiśniami, które wprost prosiło się o to, by je zjeść. Carlyle spojrział na ciasto i poczuł, jak ślinka napływa mu do ust. Potem zerknął na Marcella z miną, która miała wyrażać pokorną wdzięczność.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – powiedział z uśmiechem Marcello/który wracał już do środka. – Widzisz? To będzie dobry

dzień.

Carlyle wypił łyk macchiato, pozwalając, by kawa sparzyła mu gardło. Kiedy wypił wszystko, wziął do ręki nóż i podzielił ciasto na cztery części. Wziął do ręki największą, zamknął oczy i przez moment rozkoszował się myślą o czekającej go uczcie.

- Hej!

Zamierzał właśnie wziąć do ust pierwszy kęs, gdy usłyszał klakson, a potem pisk opon. Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć. Podniósł wzrok i zobaczył starszego mężczyznę w kremowym płaszczu przeciwdeszczowym, który leżał na ulicy przed białą furgonetką dostawczą z owocami i warzywami, obok przejścia dla pieszych przed pubem Sun przy Drury Lane, niecałe dwadzieścia metrów dalej. Carlyle spojrzął na kawałek ciasta i odłożył go na talerz. Ignorując burczenie w brzuchu, wstał od stołu i ruszył na miejsce wypadku, pokazując Marcellowi - który nie okazał najmniejszego zainteresowania minidramatem rozgrywającym się tuż obok jego lokalu - że będzie potrzebował jeszcze jednej kawy.

Drury Lane była stosunkowo spokojną jednokierunkową ulicą, biegnącą z południa na północ. Można nią było przejechać z Aldwych aż do High Holborn, unikając bardziej zatłoczonych ulic. Żeby dotrzeć nieco szybciej do świateł po północnej stronie ulicy, wielu kierowców wciskało pedał gazu w podłogę i pędziło tak szybko, jak się dało. Nie miało to większego sensu, jako że wszystkie pojazdy w centrum Londynu zmuszone były poruszać się ze średnią prędkością piętnastu kilometrów na godzinę, a więc mniej więcej z taką samą, z jaką sto lat temu jeździły dorożki. Carlyle, który nie miał samochodu, nie mógł zrozumieć, dlaczego kierowcy pokonują te dwieście metrów, gnając na złamanie karku tylko po to, by potem dłużej stać na światłach. Może było to uwarunkowane genetycznie, a może - co bardziej prawdopodobne - ci kierowcy byli po prostu dupkami. Tak czy inaczej, należało uznać za cud to, że do takich wypadków nie dochodziło częściej.

Przednie koła furgonetki zatrzymały się na pasach, trudno było jednak powiedzieć, czy pieszy rzeczywiście został potrącony. Kierowca wychylał się przez okno i klócił z kobietą stojącą na skraju chodnika.

- Tu jest przejście dla pieszych! - wrzeszczała, nie zauważywszy przybycia Carlyle'a.

– Ten stary pierdziel wszedł mi prosto pod koła – warknął kierowca z taką miną, jakby miał ochotę złapać kobietę za gardło. Zwiększył obroty, ale nie mógł pojechać dalej, bo na ulicy wciąż leżał staruszek w kremowym płaszczu. Za furgonetką zatrzymała się taksówka, a jej kierowca trąbił przez kilka sekund, na wypadek gdyby ktoś nie zauważył, że tam stoi.

– Nie doszłoby do tego, gdyby pan nie jechał tak szybko – tłumaczyła kobieta.

– Pilnuj swoich spraw, głupia suko – odparował mężczyzna, po czym spojrzał na Carlyle’a, który zapisywał właśnie jego numer rejestracyjny.

– Hej, kutafonie! – Kierowca wychylił się jeszcze bardziej. – Co ty, kurwa, robisz?

Na jego ogolonej głowie lśniły krople potu. Miał na sobie koszulkę Tottenhamu ze stylizowanym numerem. Carlyle pomyślał, że chętnie aresztowałby go tylko za to. Pohamował się jednak i pokazał mu legitymację, a potem kazał zgasić silnik. Spotkało się to z niezadowoleniem taksówkarza, który dał temu wyraz, znów naciskając klakson. Carlyle nie zwracał na niego uwagi. Korek, który utworzył się za furgonetką, sięgał już Great Queen Street, ale to nie był jego problem. Mogą poczekać. Inspektor odwrócił się do staruszka i pomógł mu wstać.

– Wszystko w porządku, Harry? – spytał.

Harry Ripley otrzepał płaszcz i uśmiechnął się smutno jak człowiek, który pogodził się z tym, że co jakiś czas musi wylądować pod kołami samochodu.

– Cześć, inspektorze.

– Potrącił cię?

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Nie. Nic mi nie jest.

– To była jego wina?

– Powiedziałbym raczej, że pół na pół.

Carlyle wskazał głową kawiarnię.

– Piję właśnie kawę w Il Buffone. Może się do mnie przyłączysz?

Staruszek skinął głową, wszedł na chodnik i ruszył powoli w stronę kawiarni. Kierowca uznał, że to zamyka sprawę, i uruchomił silnik. Jednak Carlyle stanął przed furgonetką i podniósł rękę jak policjant z drogówki.

– Nie tak szybko, słoneczko. Wstrzymaj konie.

Korek liczył już kilkadziesiąt samochodów, a kakofonia klaksonów z każdą chwilą przybierała na sile. Kobieta, która kłóciła się z kierowcą, stała teraz na chodniku przed Sun, jakby nie wiedziała, czy ma pójść, czy zostać. Carlyle uśmiechnął się do niej, co wprawilo ją w jeszcze większe zakłopotanie.

– Proszę się nie martwić. Już po wszystkim. Poradzę sobie z tym.

– Nie chce pan, żebym złożyła zeznania? – spytała.

W żadnym wypadku, pomyślał Carlyle. Musiałby się zająć papierkową robotą, a dzień skończyłby się, nim jeszcze na dobre się zaczął. Dlaczego ludzie chcą pomagać policji tylko wtedy, kiedy nie jest to potrzebne?

– Nie, to nie będzie konieczne – odparł, starając się, by w jego słowach zabrzmiała nuta wdzięczności. – Dam sobie radę. Dziękuję pani bardzo.

– Jest pan pewny?

– Cóż... – Carlyle spuścił wzrok, skrywając uśmiech. „Jest pan pewny?”. Ile razy w ciągu jego kariery zadawano mu to pytanie. Jest policjantem. Oczywiście, że jest pewny. – Jestem pewny.

– Gdyby zmienił pan zdanie, pracuję w pralni na drugim końcu Betterton Street – powiedziała kobieta, wskazując za siebie. – Tam mnie pan znajdzie.

– Wiem – odrzekł, co było prawdą. Kiedy kilka miesięcy temu pralka rodziny Carlyle'ów eksplodowała, regularnie bywał w tym zakładzie. – Dziękuję.

Kobieta odwróciła się z ociąganiem i odeszła, zostawiając Carlyle'a sam na sam z kierowcą furgonetki. Inspektor podszedł do drzwi samochodu.

– Nazwisko?

Mężczyzna miał tak zbolalą minę, jakby spodziewał się, że lada moment ktoś wsadzi mu w tyłek rozżarzony do czerwoności pręt.

– Smith.

Carlyle uniósł brwi.

– Naprawdę – zarzekał się mężczyzna, sięgając do tylnej kieszeni dżinsów po portfel. – Nazywam się Smith. Dennis Smith. – Wyjął z portfela prawo jazdy i przyłożył je do szyby.

– No dobrze, Dennis, wygląda na to, że złamałeś kilka przepisów, a do tego zachowywałeś się w sposób, który można śmiało podciągnąć pod zakłócanie spokoju. – Carlyle wiedział, że gada bzdury, ale przynajmniej miał pewność, że kierowca będzie go uważnie słuchał. – A nie wspominałem jeszcze o uszkodzeniu ciała ofiary. Ani o tym, że nazwałeś mnie kutafonem.

– Ale właśnie odesłał go pan na kawę – protestował Smith. – Nic mu się nie stało. Poza tym to była jego wina.

Carlyle przyglądał się przez chwilę wnętrzu furgonetki.

– Często tu bywasz?

Smith poprawił się nerwowo na fotelu.

– Czasami.

– A widzisz, za to ja jestem tutaj codziennie i nie chcę więcej oglądać rajdowych popisów... – Przechylił głowę, by spojrzeć na nazwę wypisaną na burcie furgonetki: Fred's Fabulous Fruit'n'Veg.

– Ale...

– Żadnych „ale”. Jeśli zobaczę, że ta furgonetka jedzie po Drury Lane szybciej niż trzydzieści na godzinę, trafisz do komisariatu, a twój szef dowie się o wszystkim. A teraz wypierdalaj stąd i jedź ostrożnie. I postaraj się nie potrącić już dzisiaj żadnego emeryta.

Krzywiąc się i mamrocząc coś pod nosem, Smith wrzucił pierwszy bieg, dodał gazu i odjechał. Carlyle wrócił na chodnik, odprowadzany gwizdami kierowców, którzy utknęli w korku. Kiedy szedł do kawiarni, zerknął przypadkiem na okna wystawowe pobliskiego sklepu, w którym odbijały się samochody i kierowcy wykonujący obraźliwe gesty, postanowił to jednak zignorować. Gdy tylko dotarł do stolika, pojawił się Marcello z drugą macchiato i z kubkiem herbaty dla Harry'ego Ripleya. Carlyle usiadł bez słowa, wypił kawę i powoli zjadł ćwiartki ciastka, jedną po drugiej.

Harry mieszkał trzy piętra pod rodziną Carlyle'ów w Winter Garden House. Był niegdyś bliskim przyjacielem nieżyjącego już teścia Carlyle'a i znał Helen od dnia jej narodzin. Dobiegający osiemdziesiątki Harry służył w 1952 roku w Korei, w Londyńskim Pułku Królewskich Fizylierów, za co otrzymał odznaczenia brytyjskie i koreańskie. Choć Carlyle nie miał pojęcia, co jego sąsiad robił w Korei, kilkakrotnie miał okazję podziwiać jego medale. Po dwudziestu latach służby w wojsku Harry został listonoszem w sortowni Mount Pleasant

przy Farringdon Road, niedaleko King's Cross. Już od prawie piętnastu lat był emerytem, a od ponad dziesięciu wdowcem. Nie miał dzieci ani bliskiej rodziny. Teraz chciał tylko umrzeć – „dopóki mam jeszcze zdrowie”, jak to ujmował. Wiele razy mówił przy kuflu chiswick bitter w Sun, że marzy mu się śmierć podczas meczu, w którym Arsenal zdobywa mistrzostwo Anglii, dlatego w pubie nazywano go Zawałowiec Harry.

Carlyle miał ogromną ochotę zjeść jeszcze jeden kawałek ciasta, jednak oparł się pokusie.

– Co to właściwie było, Harry? – spytał swobodnym tonem.

Mężczyzna siorbnął herbatę i zapatrzył się w dal.

– Facet powinien był się zatrzymać. Jechał za szybko.

– Dobrze, że nie szybciej. – Carlyle westchnął. – Poza tym to był kibic Tottenhamu, więc powinieneś był się domyślić, że nie trafi.

Harry zachichotał.

– To nie jest zabawne. Próbowalesz już kiedyś zrobić coś takiego?

– Nie.

– To więcej nie próbuj, bo cię zabiję.

Harry spojrzał na niego żałośnie.

– To był wypadek.

– Bzdura, Harry, zrobiłeś to celowo. Nieźle nastraszyłeś tego faceta, choć i tak był z niego dupek. Nie możesz się tak zachowywać. – Podniósł wzrok na błękitne niebo. Temperatura dawno już przekroczyła dwadzieścia stopni, to zdecydowanie nie była londyńska pogoda. Zapowiadał się naprawdę gorący dzień. – A po co ci ten płaszcz?

Harry wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie padać.

Carlyle zerknął na zegarek. Powinien już iść do komisariatu.

– Cholera, dzisiaj ma być około trzydziestu stopni. Najgorętszy dzień roku. A ty nie rób więcej takich głupot. Nic ci nie jest. Najprawdopodobniej to ja wcześniej kopnę w kalendarz niż ty. Założę się o dwadzieścia funtów, że bez problemu dożyjesz setki. Gwarantuję ci, że dostaniesz telegram od królowej – mówił inspektor, zastanawiając się, czy telegramy jeszcze w ogóle istnieją. Miał nadzieję, że tak. Harry był równie żarliwym monarchistą, jak on republikaninem, i jeśli nie mogła pocieszyć go myśl o wiadomości:

Dobra robota, przesłanej z pałacu Buckingham, to chyba nic innego nie byłoby w stanie tego zrobić.

Choć wydawało się to niemożliwe, Harry zrobił jeszcze bardziej żalostną minę.

– Tego się nie dostaje tak po prostu.

– Czego?

– Telegramu od Jej Wysokości.

– Tak? – Carlyle uświadomił sobie, że nie powinien był poruszać tego tematu.

– Ktoś musi ją o to poprosić.

W porównaniu z tym starym pierdołą, Carlyle był niepoprawnym optymistą. Odetchnął głęboko i postanowił mimo wszystko nie tracić dobrego humoru.

– Dobrze przynajmniej, że nie każą ci za to płacić – powiedział, zastanawiając się, czy może jednak każą.

– I musisz udowodnić, że naprawdę masz tyle lat – dodał Harry.

– Więc daj Helen swój akt urodzenia – warknął Carlyle, straciwszy w końcu cierpliwość. – W odpowiednim czasie wyśle go, komu trzeba.

– Ona nie będzie już wtedy żyła.

– Kto? – zaniepokoił się inspektor. – Helen?

– Nie – Harry pokręcił głową. – Królowa. Jest starsza ode mnie.

Carlyle odetchnął z ulgą i irytacją jednocześnie.

– Nieważne. Tak czy inaczej, będzie dobrze.

– Daj spokój... – zachnął się Harry, a w jego głosie pojawiła się gniewna nuta. – Nie próbuj mnie oszukiwać. Dobrze przeżyłem swoje życie, ale nie muszę go na siłę przeciągać. „Kończ, kiedy jeszcze wygrywasz”, mawiał mój tata i miał świętą rację. Nie chcę zostawiać tego na później, żeby zamienić się w warzywo i trafić do jakiegoś okropnego domu opieki. Albo dogorywać na wózku inwalidzkim na szpitalnym korytarzu. Nie mam rodziny, więc to powinien być mój wybór. Nazywają to samobójstwem wspomaganym. To teraz bardzo modne. Niedawno w telewizji pokazywali, jak umierał jakiś facet.

Carlyle jęknął w duchu. Wiedział, o którym programie mówi Harry. Sama myśl o tej historii wpędzała go w depresję. Kiedy Helen upierała się, żeby to oglądać, on położył się do łóżka z książką. Nawet teraz wzdrygał się na wspomnienie tego okropieństwa.

– No więc ten facet w telewizji był nieuleczalnie chory. Zapłacił trzy tysiące, żeby wyjechać do Szwajcarii i żeby tam zabili go w jakiejś alpejskiej klinice.

Carlyle spojrział na Harry'ego.

– No tak, a co najmniej następne siedem musiał wydać, żeby sprowadzili go z powrotem do kraju i urządzili mu pogrzeb. Masz dziesięć patyków?

– Nie.

– Więc nie możesz umrzeć, prawda? – Inspektor się uśmiechnął.

– Są inne sposoby – wyjaśnił spokojnie Harry. – Nie trzeba jechać do Szwajcarii. Jakiś gliniarz, zdaje się w Walii, wszedł na górę z butelką whisky i zamarzył tam na śmierć.

Carlyle pamiętał i tę historię, bo swego czasu był to główny temat rozmów w komisariacie.

– No tak, Walia to dobre miejsce na taką śmierć. Mają tam mnóstwo gór – stwierdził.

Z zalanej światłem ulicy nadeszło wybawienie w postaci anioła. Z Drury Lane wyłoniła się właśnie ładna blondyneczka w bardzo krótkiej spódnicy i szła powoli po drugiej stronie Macklin Street, rozmawiając przez komórkę. Miała bardzo długie i zgrabne nogi, a pod pachą trzymała portfolio. Carlyle przypuszczał, że szuka agencji modelek, która mieści się przecznicę dalej, przy Parker Street. Jak powiedział kiedyś Keats: Rzecz piękna jest radością wieczną. Było to najlepsze znane mu lekarstwo na depresję.

Harry zobaczył, na co patrzy Carlyle, i uśmiechnął się znacząco.

– Za młoda dla mnie.

Carlyle milczał, obserwując, jak dziewczyna zawraca i znika w Drury Lane.

– Dla ciebie też za młoda.

– Harry...

– Czytałem o tym w gazecie. – Harry wrócił do swojego ulubionego tematu.

– O czym?

– O tym policjancie, który wszedł na górę, żeby się zabić.

– A tak... – Gdyby Keats żył w dzisiejszych czasach, rzecz piękna byłaby radością przez jakieś dziesięć sekund, pomyślał gorzko Carlyle.

– Miał skomplikowane życie erotyczne czy coś takiego.

– Musiało być cholernie skomplikowane, skoro się zabił. – Carlyle sięgnął do kieszeni po portfel i jęknął głucho, gdy zobaczył, ile ma gotówki. Ledwie starczyło mu na rachunek. – Posłuchaj, Harry, muszę lecieć.

– Nie znałeś go, prawda?

– Nie. Może to dziwne, ale był jednym ze stu czterdziestu tysięcy policjantów w tym kraju, których nie znam osobiście.

Jak na zawołanie pojawił się Marcello i sprzątnął ze stolika ich kubki i filiżanki. Carlyle dał mu dziesiątaka, pokazał, że nie chce reszty i wstał od stołu.

– W gazecie pisali, że miał poważne problemy z kobietami. – Harry również podniósł się z krzesła.

– A któż ich nie ma? – Carlyle był zadowolony, że wreszcie rozmawiają o czymś innym niż śmierć.

– Nie – Harry pokręcił głową. – On nie był pantoflarzem, jak ty. Chodziło o to, że rznął ich za dużo, o wiele za dużo. Nie mógł utrzymać fiuta w spodniach.

Inspektor spojrzał zmrużonymi oczami na bezczelnego staruszka. Pantoflarz? Zastanawiał się, czy powinien na to zareagować, ale dał sobie spokój. Pomachał Marcellovi na pożegnanie i spojrzał na Harry'ego.

– Do zobaczenia wkrótce. Wpadnij kiedyś do Helen i Alice, na pewno się ucieszą. I nie rób więcej problemów. To rozkaz.

– Inaczej mogą trafić do aresztu?

– Tak.

Harry nagle się rozpromienił.

– Mógłbym umrzeć w areszcie. Spaść ze schodów.

Carlyle parsknął śmiechem i ruszył w drogę.

– Nigdy nie wiadomo, Harry. Nigdy nie wiadomo.

– Gdzieś ty był, do cholery?

Carlyle odchylił się na krzesło i spojrzał zdumiony na swojego sierżanta.

– Dzwoniłem do ciebie na komórkę. – Joe był wyraźnie zirytowany.

Inspektor wyjął telefon z kieszeni marynarki i spojrzał na wyświetlacz. Miał cztery nieodebrane połączenia. Cztery cholerne połączenia. Właściwie nie powinien być zdziwiony, bo zdarzało mu się to nagminnie. Podniósł wzrok i starał się zrobić skruszoną minę.

– Przepraszam.

Sierżant Joseph Szyszkowski, który wrócił właśnie z tygodniowego urlopu w Portugalii, był opalony i – pomimo irytacji wywołanej zachowaniem jego szefa – zrelaksowany. Carlyle pomyślał, że chyba trochę schudł. I odespał zarwane noce.

Szczęściarz.

Inspektor cieszył się z jego powrotu. Joe nie był przeciętnym gliniarzem. Jego rodzice pochodzili z Polski, a on sam wydawał się nieco oderwany od życia. Pracowali razem już od ponad pięciu lat, Joe był jednym z niewielu – bardzo niewielu – policjantów, których Carlyle lubił i którym ufał.

– No dobra, skoro już jesteś, to musimy iść – powiedział Joe, rzucając na biurko inspektora kartkę.

Carlyle wziął ją, ale nie przeczytał ani nie wstał z krzesła.

– Co to jest?

– Agatha Mills.

– A kim ona jest?

– Jest drobną starszą panią, której wczoraj w nocy ktoś rozwalił głowę w jej mieszkaniu przy British Museum – odparł z uśmiechem Joe.

– W takim miejscu musi się przyjemnie mieszkać. – Carlyle pokiwał głową.

– Ona już z tego nie skorzysta. Rano zadzwonił do nas jej mąż.

Inspektor spojrział na kartkę.

– I co z nią?

– Nie żyje.

Carlyle czuł tylko obojętność. Podniósł dokument do światła, jakby sprawdzał jego autentyczność.

– I przysłali to do nas? Powinien się tym raczej zająć któryś z geniuszy w komisariacie Holborn. Oni są bliżej British Museum niż my.

– A jednak przysłali to do nas.

Joe przywykł już do tego, że na początku każdej sprawy inspektor podchodzi do wszystkiego bez entuzjazmu. Często potrzebował czasu, by nabrać do niej przekonania i zaangażować się w śledztwo. Kiedy docierał do tego etapu, a sprawa nie była jeszcze rozwiązana – bo zdarzało się i tak – Carlyle działał w poczuciu misji i wciągał w to swojego sierżanta. Joe wiedział więc, że wcześniej czy później jego szef zabierze się do pracy.

Carlyle westchnął teatralnie.

– Dobra – powiedział, zrywając się z krzesła z udawanym entuzjazmem. – Chodźmy tam.

Po wyjściu z komisariatu Carlyle ominął kilku pijaczków siedzących na chodniku i skręcił w lewo, na północ. Przeciął Henrietta Street i poprowadził Joego żwawym tempem przez plac Covent Garden, a potem Endell Street, w kierunku Bloomsbury. Niecałe pięć minut później dotarli do Ridgemount Mansions, solidnego sześciopiętrowego apartamentowca przy Great Russell Street, zwróconego fasadą ku British Museum.

Agatha Milss żyła – i umarła – w mieszkaniu numer osiem, na pierwszym piętrze. Kiedy Carlyle wszedł do budynku, skinął głową dwóm umundurowanym policjantom, którzy przesłuchiwali sąsiadów, minął windę i wszedł po schodach na piętro. Kiedy stanął przed drzwiami mieszkania, właśnie wychodzili z niego dwaj technicy kryminalistyczni obładowani sprzętem. Carlyle rozpoznał jednego z nich, ale nie pamiętał jego imienia.

– Ciało jest w kuchni – powiedział technik. – Basset też tam jest.

Sylvester Basset był patologiem, który pracował dla komisariatu Charing Cross, więc Carlyle znał go całkiem dobrze. W ciągu

ostatniego roku współpracowali przy trzech czy czterech sprawach.

– Dzięki.

Carlyle ominął techników, wszedł do mieszkania i pociągnął nosem. Przywitał go typowy zapach jedzenia i ludzi. Nie wyczuł woni śmierci, ale to go nie dziwiło. Wiedział z doświadczenia, że śmierć nie lubi się afiszować.

Drzwi wejściowe otwierały się na korytarz, który ciągnął się przez całą długość mieszkania i prowadził do różnych pomieszczeń po obu jego stronach. Kiedy Carlyle wszedł głębiej, zobaczył łazienkę, salon – gdzie grubokoscista nieznana mu policjantka rozmawiała z jakimś starszym facetem, zapewne mężem ofiary – i dwie sypialnie. Na samym końcu korytarza, po prawej, znajdowała się kuchnia. Kiedy tam dotarł, zaskoczyły go jej rozmiary: była co najmniej dwa razy większa od kuchni w jego mieszkaniu. Na środku stał duży okrągły stół, a przy nim trzy krzesła. Podobnie jak w całym mieszkaniu podłoga była drewniana, a białe płytki na ścianach sprawiały, że kuchnia wydawała się czysta i jasna.

W pomieszczeniu stał mężczyzna odwrócony plecami do drzwi, Carlyle jednak od razu rozpoznał Basseta, zarówno po złocistych kręconych włosach (z tej odległości nie widać było siwizny), jak i po ubraniu, które zdradzało brak gustu. Tym razem Bassett wystroił się w elegancki brązowy garnitur ze sztruksu, różowe skarpetki i mokasyny ze śliwkowego zamszu. Carlyle nie mógł zrozumieć, dlaczego mężczyzna w średnim wieku poświęca tyle czasu i energii swojemu wyglądowi, w dodatku z tak fatalnym skutkiem. Bassett wyglądał przez okno, które wychodziło na schody przeciwpożarowe zamontowane na zewnątrz budynku. Nucił coś pod nosem i palił papierosa.

– Co my tu mamy? – spytał inspektor.

Bassett, zaskoczony, cofnął się o krok i uderzył głową w ramę okna. Przeklinając pod nosem, jedną ręką pocierał obolałe miejsce, a drugą zgasił papierosa. Wyrzucił niedopałek przez okno, odwrócił się do Carlyle'a i wskazał zwłoki. Leżały na brzuchu, w połowie pod stołem. Głowę i ramiona otaczała kałuża zakrzepłej krwi. Agatha Mills miała metr pięćdziesiąt, może metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i siwe włosy. Była ubrana w białą bluzkę, niebieską spódnicę, która sięgała niemal do kostek, i szary zapinany sweter.

– Została uderzona w głowę jakimś tępym przedmiotem – wyjaśnił Bassett. – Może ciężką patelnią albo wałkiem do ciasta. – Rozejrzył się wymownie. – Nie brakuje tu odpowiednich przedmiotów.

– Znaleźliśmy narzędzie zbrodni? – spytał inspektor.

Bassett wyjął z kieszeni marynarki pudełko papierosów Benson & Hedges i zaczął się nim bawić.

– Jeszcze nie.

– Kim jest ten facet w salonie?

– To jej mąż. – Bassett otworzył pudełko kciukiem, po czym je zamknął. – Pan Henry Mills. Jest trochę roztrzęsiony.

– Wyobrażam sobie.

– Pił.

– To zrozumiałe – odparł Carlyle. – To on?

– Ty jesteś detektywem, inspektorze – odparł Bassett z uśmiechem. Wreszcie wyjął papierosa z paczki i wsunął go między wargi.

Carlyle znów rozejrzył się po kuchni. Oprócz ciała i kałuży krwi wszystko było w idealnym porządku.

– Pytam cię tylko o zdanie.

Teraz Bassett bawił się zapalniczką.

– Całkiem możliwe – przyznał.

Zwykła statystyka, pomyślał Carlyle. Zaczynasz od najbardziej prawdopodobnego wyjaśnienia, a potem sprawdzasz inne hipotezy. Popieprzone rodziny stanowiły stały element jego pracy. Rozejrzył się raz jeszcze. Kuchnia była dobrze wyposażona, właściciele postawili na dobry sprzęt: Miele i AEG, a nie tanie gówno, które kupuje większość ludzi i które psuje się zaraz po wygaśnięciu gwarancji. Zanotował w pamięci, że w kuchni jest lodówka, pralka, kuchenka i jakiś drogi ekspres do kawy, prawie tak duży jak Gaggia, którego używał Marcello w Il Buffone. Wzrok inspektora zatrzymał się na zmywarce do naczyń. Paliła się na niej pomarańczowa kontrolka, co oznaczało, że urządzenie jest włączone. Inspektor ominął szerokim łukiem ciało i przeszedł przez kuchnię. Zmywarka została nastawiona na drogi sześćdziesięciopięciostopniowy tryb, a nie na oszczędniejszy, czterdziestopięciostopniowy, i z pewnością dawno już zakończyła cykl. Carlyle ostrożnie przysunął dłoń do maszyny, starając się jej nie dotykać. Była raczej letnia, nie gorąca, co oznaczało, że nie pracuje już od kilku godzin.

Odwrócił się do Bassetta, który palił kolejnego papierosa tak zachłannie, jakby nie robił tego od wielu miesięcy, i wskazał zmywarę.

– Ktoś do tego zaglądał?

Bassett zastanawiał się nad tym przez moment.

– Nie wiem. Chyba nie.

Inspektor odwrócił się do Joego, który obejrzał wcześniej inne pomieszczenia, a teraz stanął w drzwiach kuchni.

– Dowiedz się, czy pobrali z tego odciski, a potem to otwórz.

– Dobra. – Joe poszedł sprawdzić, czy w kamienicy został choć jeden z techników kryminalistycznych.

– I spytaj, jak idzie przesłuchiwanie sąsiadów! – zawołał za nim Carlyle.

– W porządku.

– Chcesz ją teraz zabrać? – zwrócił się Carlyle do Bassetta.

– Tak. Tutaj zrobiłem już, co mogłem.

– Raport?

– Powinien być w miarę szybko. Jeśli znajdę coś ciekawego, od razu do ciebie zadzwonię.

– Dzięki.

Tymczasem w salonie policjantka siedziała na sofie i wpatrywała się w przestrzeń. Henry Mills stał przed dużym wykuszowym oknem i patrzył na tłumy wchodzące do British Museum. Billboard na dziedzińcu reklamował wystawę zatytułowaną Babilon, mit i rzeczywistość. Helen próbowała go namówić, żeby wybrali się na nią razem, ale Carlyle wiedział, że to jeden z tych planów, których nigdy nie uda im się zrealizować. Za bardzo się tym nie przejmował: mógł spokojnie żyć bez wieży Babel i szaleństwa króla Nabuchodonozora.

Po kilku sekundach Mills odwrócił się do niego. Był ubrany w dżinsy i białą koszulę w delikatną zieloną kratkę. Miał zaczerwienioną twarz. W jednej ręce trzymał szklaneczkę whisky, a w drugiej butelkę. Inspektor zerknął na etykietę – Famous Grouse – zauważył też, że butelka jest prawie pusta.

Carlyle gestem poprosił policjantkę, by zostawiła ich samych. Gdy wstała ciężko z sofy, o mało nie skrzywił się z niesmakiem. Określenie „grubokoścista” było eufemizmem. Od kiedy to zaczęli przyjmować do

policji grubasów? – zastanawiał się ponuro. Pewnie odkąd większość społeczeństwa zaczęła tyć na potęgę.

Pozwolił, by Mills mu się przyjrzał. Wdowiec upił kolejny łyk whisky. Jego mina świadczyła o tym, że alkohol wcale go nie rozluźnia, a picie nie sprawia przyjemności.

– Na pana miejscu przestałbym pić – powiedział sztywno inspektor.

– Doprawdy? – Mills się skrzywił. – Cóż, to mój dom, kupiony za moją krwawicę. – Ostentacyjnie opróżnił szklaneczkę. – I moja żona.

Ale niedługo będziesz w moim komisariacie, pomyślał Carlyle. Stał w odległości niemal półtora metra od Millsa, ale i tak czuł alkohol w jego oddechu. Miał nadzieję, że dzięki nadmiarowi whisky wdowiec będzie bardziej rozmowny albo zapomni poprosić o prawnika.

– W tych okolicznościach to chyba niezbyt fortunny dobór słów – zauważył.

Henry Mills się uśmiechnął.

– Słuszna uwaga, panie...

– Inspektorze. – Carlyle sięgnął do kieszeni po legitymację. – Inspektor John Carlyle z komisariatu Charing Cross.

Nim schował legitymację, Mills odwrócił się do okna i znów napełnił szklaneczkę.

– Ma pan ochotę? – spytał przez ramię.

Carlyle zignorował tę propozycję.

– Może pan usiądzie?

Upewniwszy się, że szklanka jest wypełniona co najmniej w trzech czwartych, Henry Mills opadł ciężko na wielki fotel stojący w rogu pokoju przy oknie, a potem postawił butelkę na podłodze obok siebie. Licząc na to, że sofa nie zarwała się pod policjantką, Carlyle zajął zwolnione przez nią miejsce. Mieli już za sobą wstępne uprzejmości, postanowił więc od razu przejść do rzeczy. Spoglądając przez okno na błękitne niebo, spytał:

– Dlaczego zabił pan żonę?

Mills ściągnął brwi i zacisnął dłoń na szklance. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Carlyle odczekał chwilę. Już miał powtórzyć pytanie, kiedy z korytarza dobiegł jakiś hałas. Po chwili obok drzwi pokoju przeszedł Bassett, a za nim przesunęło się zamknięte w worku ciało ułożone na noszach z kółkami. Gdy Agatha

Mills na zawsze opuściła swoje mieszkanie, jej mąż jęknął cicho i zgiął się wpół. W tym samym momencie w drzwiach stanął Joe.

Równie dobrze mógłbym pracować na środku cholernego Piccadilly Circus, pomyślał Carlyle z irytacją.

Gestem poprosił sierżanta, by wszedł. Joe przysiadł na poręczy sofy przy drzwiach, jak najdalej od Millsa, który wpatrywał się pośępnie w szklaneczkę whisky.

Nadal nikt się nie odzywał.

Carlyle z przyjemnością wciągnął zapach szkockiej, a potem rozejrzał się po salonie. Większą część jednej ze ścian zajmował wielki pusty kominek. Na półce nad kominkiem stało kilka zdjęć Henry'ego i Agathy na wakacjach. Nieco wyżej wisiał duży plakat przedstawiający zaciśniętą pięść na tle nieznanej Carlyle'owi flagi. Napis na górze plakatu głosił Venceremos, a na dole Unidad Popular. Miejscami poźółkły i lekko naddarty w dolnym lewym rogu, kojarzył się raczej ze studenckim mieszkaniem sprzed trzydziestu lub czterdziestu lat, został jednak umieszczony w drogiej aluminiowej ramie, wartej zapewne więcej niż sam plakat.

Dwie pozostałe ściany były zakryte rzędami półek, na których piętrzyły się stosy książek, głównie powieści i pozycji historycznych. Niektóre były po angielsku, nie brakowało jednak licznych dzieł w innych językach – hiszpańskim, francuskim i niemieckim. Większość z nich wyglądała na często czytane. Prawie metrowe kolumny książek stały również po obu stronach fotela, na którym siedział Henry Mills. Kolejna sterta wznosiła się przed małym telewizorem kineskopowym ustawionym w rogu przy oknie. Na telewizorze stał magnetowid, ale Carlyle nie widział nigdzie żadnych kaset. Oba urządzenia były wyłączone i pokryte grubą warstwą kurzu. Inspektor nie zauważył nigdzie ani odtwarzacza DVD, ani dekodera telewizji satelitarnej.

Spojrzał na półki z książkami i przeczytał na chybił trafił kilka tytułów: Pinochet na Piccadilly, Wielka Brytania i ukryta historia Chile, Wywrotowe księgi, Rewolucyjne chrześcijańskie interpretacje Biblii w Ameryce Łacińskiej, Stany, ideologie i rewolucje społeczne, Analiza porównawcza Iranu, Nikaragui i Filipin. Odwrócił szybko wzrok w obawie, że od samych tytułów rozboli go głowa. Lubił czytać, ale nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek mógł przebrnąć przez setki książek zgromadzonych w tym pokoju. Rocznie zaliczał siedem, może osiem

tytułów. Zwykle były to „autobiografie” piłkarzy albo thrillery, w których najpóźniej na trzeciej stronie ktoś musiał zostać pozbawiony głowy, rozczłonkowany albo wypatroszony – powieści, gdzie szalony seryjny zabójca działał w przekonaniu, że sprowadza na świat dusze mściwych nordyckich bogów albo coś w tym rodzaju. Dobra zabawa. W prawdziwym życiu nigdy nie miał do czynienia z seryjnym zabójcą i wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. W końcu to Londyn, a nie jakieś amerykańskie miejskie piekło.

Zachichotał w duchu. Państwo Mills nie należeli do ludzi, którzy czytają o seryjnych zabójcach, prawdziwych czy wymyślonych. Wyglądali na intelektualistów nieznijających się do takiego poziomu. I na ludzi trochę oderwanych od rzeczywistości. Nieco zabałaganiony salon sprawiał wrażenie, że mieszkają tu mili ludzie. A właściwie mieszkali do wczoraj, gdy jedno z nich postanowiło z jakiegoś powodu zabić drugie.

Carlyle zamknął oczy i policzył w myślach do trzydziestu. Potem otworzył je i jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Nie dostrzegłszy niczego nowego, odwrócił się do Henry’ego Millsa, który opróżnił już szklankę, ale jej nie napełnił. Inspektor już chciał wznowić przesłuchanie, ale do pokoju zajrzała młoda kobieta z ekipy techników.

– Proszę pana... – zaczęła, nie wiedząc, do którego z dwóch policjantów powinna się zwrócić – może pan przyjść na moment do kuchni?

– Dobrze. – Carlyle westchnął. Wstał i poszedł za nią. Po usunięciu ciała kuchnia wydawała się większa. Inspektor znów obszedł z daleka plamę krwi i zatrzymał się przy otwartej zmywarce. Kiedy zajrzał do środka, przekonał się, że nie licząc dwóch kubków i kilku sztućców, jest pusta. Jednak na blacie obok zmywarki stała stalowa patelnia, której wcześniej tam nie było, zamknięta w foliowej torebce.

Carlyle spojrzał wyczekująco na kobietę. Nie zamierzał się jej przedstawiać ani nie oczekiwał tego od niej.

– To mogło być właśnie to – odpowiedziała na jego nieme pytanie.

Inspektor skinął głową.

– Na pewno wszystko dokładnie się zmyło.

– Tak – potwierdziła technik. – Ktoś wytarł też starannie zmywarę z zewnątrz. Ale powinniśmy znaleźć coś w filtrach albo przewodach.

- Doskonale. - Carlyle wreszcie poczuł przyptyw energii. Powinni rozwiązać tę sprawę jeszcze przed wieczorem, jeśli nie wcześniej. Na myśl o tak łatwym zwycięstwie, od razu poczuł się lepiej. - Doskonale - powtórzył. - Świetnie.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Spoglądając na zegarek, zastanawiał się, czy zdoła pobić swój dotychczasowy rekord zamknięcia sprawy. Siedem lub osiem lat wcześniej pewna bezdomna dziewczyna przyznała się do zabicia swojego chłopaka i złożyła wyczerpujące zeznanie niecałe trzy i pół minuty po rozpoczęciu przesłuchania. Carlyle liczył sekundy na zegarze w pokoju przesłuchań, podczas gdy dziewczyna mówiła do magnetofonu rejestrującego jej oświadczenie. Chłopak był zepsutym, pijanym gnojkiem, który zasłużył na wszystko, co go spotkało, czyli kilkanaście ran kłutych na brzuchu i klatce piersiowej.

Carlyle'a nie interesowała ani dziewczyna - uciekinierka z jakiejś prowincjonalnej dziury - ani jej motyw. Nie pamiętał nawet, co się z nią potem stało, czy trafiła do więzienia, czy do ośrodka opiekuńczego. Jednak bez trudu mógł przywołać w pamięci obraz jej pozbawionej wyrazu twarzy, a także satysfakcję z tego, że zamknął sprawę, nim jeszcze na dobre ją rozpoczął. Czasami ludzie długo nie potrafili znaleźć właściwych słów. Wylewność i szczerłość były cechami, które inspektor bardzo sobie cenił. Pozostawało tylko pytanie, czy pan Mills zechce być równie pomocny, jak tamta młodociana morderczyni.

Carlyle stanął na środku salonu i popatrzył na Henry'ego Millsa. Począł, aż spojrzył mu w oczy i dopiero wtedy spytał:

- Co się stało?

- Nie wiem - odparł Mills.

- Zabił ją pan? - spytał inspektor bez emocji.

Mills spojrział na pustką szklankę.

- Nie.

- Panie Mills, naszym zdaniem sytuacja jest jednoznaczna. - Carlyle spojrział na Joego, który wykonał bliżej nieokreślony gest oznaczający zapewne potwierdzenie.

- Nie. - Mills pokręcił głową. - Nie zrobiłem tego. - Nagle wydał się zupełnie trzeźwy.

Cholera, zaklął w duchu Carlyle. Brak zeznania oznacza, że nie będzie nowego rekordu. Poczuł, że znów uchodzi z niego energia.

Uznał, iż czas zabrać Henry'ego do komisariatu i wsadzić go na jakiś czas do celi.

Bez Famous Grouse.

Bez foteli.

Bez przytulnego bałaganu.

Bez innych opcji.

Odczeka chwilę, a potem go oskarży. Pokaże mu, że to nie żarty. Ale to oznacza obecność prawnika i przeciąganie sprawy. Spróbował jeszcze raz.

– Więc nie zrobił pan tego? – Wskazał szklanke. – A może po prostu pan nie pamięta?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Mills. – Nie zrobiłem tego. I niczego nie zapomniałem. Wczoraj wieczorem nie wypłem ani kropli alkoholu.

Carlyle spojrział na butelkę i pomyślał, że to mało prawdopodobne.

– No dobrze. – Westchnął. – Skoro pan tego nie zrobił, to kto?

– Nie wiem. Kiedy ją znalazłem, już nie żyła.

– Gdzie pan był, kiedy się to stało?

– W łóżku, spałem.

– Nic pan nie słyszał?

– Nie. Używam zatyczek do uszu, bo mam lekki sen.

– Wskazał głową okno. – Ten ruch...

– Skoro to nie pan – włączył się do rozmowy Joe – to może wie pan, kto mógł to zrobić?

Carlyle skrzyżował ręce na piersi. Zaraz się dowiedzą, że ofiara była świętym człowiekiem i nie miała żadnych wrogów.

Mills ostrożnie postawił szklanke na podłodze obok butelki i spojrział na sierżanta, jakby miał nadzieję, że ten okaże się rozsądniejszy niż jego złośliwy szef.

– To musieli być jej wrogowie.

– Jej wrogowie? – powtórzył inspektor.

– Tak. Jestem pewny, że to oni. Nikt inny by tego nie zrobił. Nie Agacie.

Komendantka Carole Simpson przyjrzała się wielkiej tacy z kanapkami, którą postawiono przed nią na stole, i jęknęła cicho. Spoglądając na drugi brzeg rzeki, doskonale widoczny z dziesiątego

piętra siedziby New Scotland Yardu, pomyślała nagle, że muszą tam być miliony ludzi, dla których jest to naprawdę miły dzień. Ona się do nich nie zaliczała. Stwierdzenie, że awans oprócz wielu zalet ma też pewne wady, byłoby sporym niedopowiedzeniem. Podczas takich spotkań Simpson czuła, że zamieniła się z gliniarza w gryziopiórka.

Posiedzenie Komisji do spraw planowania, wydajności i kontroli trwało już trzy godziny, a zgodnie z harmonogramem miało się zakończyć dopiero za następne pięć. W dodatku obrady szły jak po grudzie. Szesnaście osób zgromadzonych przy stole, które albo się nie znały, albo nie lubiły, dyskutowało o najnowszym Raporcie o zarządzaniu Specjalistycznym Wydziałem Zbrodni, prezentującym „najważniejsze cele i główne wskaźniki skuteczności” wyżej wymienionego wydziału.

W sali konferencyjnej było gorąco i duszno. Simpson z trudem stłumiła ziewnięcie. Jej zdaniem takie działania coraz bardziej przypominały współczesną politykę – prowadzenie skomplikowanych obliczeń i jałowych dyskusji w zamkniętych pomieszczeniach, jak najdalej od społeczeństwa, jak najdalej od przestępców. W takich okolicznościach chyba każdy walczyłby z sennością.

Gdy wszyscy wzięli sobie kanapki, komisja zajęła się następnym rozdziałem raportu, tym razem dotyczącym zabójstw. Ogólnie rzecz biorąc, wykrywalność sięgnęła w zeszłym roku osiemdziesięciu pięciu procent, co było wynikiem nieco gorszym niż w roku poprzednim, ale wciąż całkiem przyzwoitym i – co najważniejsze – mieszczącym się w przewidywanym zakresie.

Podczas dyskusji Simpson z satysfakcją myślała o tym, że osobiście nadzorowała śledztwa w sprawach czterech omawianych morderstw. Jej podwładni mieli stuprocentową wykrywalność. Teraz skutecznie wykorzystywała te sukcesy. Choć zasadniczo nie należały one do działań SWZ, zamieściła je w raporcie, by poprawić statystykę. W nieustannej walce o pieniądze i środki, jaką policja toczyła z politykami, liczył się każdy szczegół.

Po wgrzyzieniu się nieopatrznie w kanapkę z serem, która okazała się paskudna, Simpson popiła ją szybko kawą, słuchając jednocześnie, jak ktoś podnosi kwestię proponowanych zmian w prawie dotyczącym morderstw. Chodziło o zamianę pojęcia „prowokacja”, stosowanego przez obronę oskarżonych o zabójstwo, na „obawę przed

zastosowaniem przemocy” lub, w szczególnych przypadkach, „przed poważną krzywdą”. Zdaniem Simpson żadne z tych pojęć nie wносиło niczego nowego. Irytowały ją ciągle próby majstrowania przy prawie. Wielka Brytania jest bezpiecznym krajem, a Londyn bezpiecznym miastem. Większość ludzi to dobrzy obywatele. Dotychczasowe prawo działa skutecznie, więc po co je zmieniać?

Jak każdy przyzwoity gliniarz, komendantka uważała, że jedyna skuteczna obrona przez zarzutami o morderstwo to stwierdzenie: „Ja tego nie zrobiłem”. Większość ludzi czuje się „poważnie skrzywdzona” w taki czy inny sposób. Jej zdaniem nie stanowi to żadnego wytłumaczenia dla morderstwa.

– Co pani o tym myśli, pani komendant? – spytał ktoś z sali.

Takie pytanie nie zasługiwało na konkretną odpowiedź, nikt też jej nie oczekiwał.

Myślę, że to interesująca propozycja – odparła, wodząc wzrokiem po twarzach ludzi zgromadzonych przy stole. – Jednak bez względu na to, co przyniesie przyszłość, będziemy się starali nie tylko utrzymywać, ale i zwiększać skuteczność w tym obszarze naszych działań.

– Carlyle po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy może mają do czynienia z osobą nie do końca zdrową na umyśle.

– Jacy wrogowie? – spytał.

Henry Mills przyglądał mu się przez chwilę, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Tajna policja – powiedział w końcu.

– To my jesteśmy policją, panie Mills – przypomniał Joe.

– Nie mówię o was – warknął mężczyzna. – Mówię o tajnej policji.

– O jakiej tajnej policji? – dopytywał się Carlyle. – MI5?

Ta rozmowa zaczynała go nudzić i irytować. Myślamy był w komisariacie, a może nawet w domu, na kolacji. Zaczął się nawet zastanawiać, czy wieczorem będzie coś dobrego w telewizji, nim w końcu wrócił do tematu.

– Kogo ma pan na myśli?

Mills patrzył na niego w milczeniu.

– MI6? – spróbował inspektor.

– Nie, nie, nie! – Mills wskazał plakat nad kominkiem. – Nie mówię o naszej policji. Jest pan idiotą?

Joe zachichotał. Carlyle zgrzytnął zębami.

– Mówię o cholernych Chilijczykach – wyjaśnił w końcu Henry, wykonując teatralny gest.

– O Chilijczykach? – powtórzył Carlyle, spoglądając na plakat. Włożył ręce do kieszeni.

– Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci. Faszystowski zamach stanu wspierany przez CIA – wyjaśnił Mills. – Obalenie rządu prezydenta Salvadora Allende. Nie uczył się pan o tym w szkole?

– Nie interesuje mnie, co stało się w siedemdziesiątym trzecim roku – odburknął inspektor. – Interesuje mnie, co stało się minionej nocy. Tutaj, w tym mieszkaniu.

Tym razem to Mills się zirytował.

– Ależ próbuję właśnie wyjaśnić...

Obawiając się, że zaraz będzie musiał wysłuchać długiego i nudnego wykładu z historii, Carlyle podniósł rękę. Zastanawiał się, czy jednak wezwać prawnika, który będzie reprezentował interesy Millsa. Może on przemówi zabójcy do rozsądku.

– Dlaczego ktoś z Chile chciałby zabić panią Mills? – spytał.

– Mieli jej po prostu dość. – W głosie Millsa pojawiła się lekka chrypka. – Nigdy się nie poddawała.

Obaj policjanci spojrzeli na niego skonsternowani.

– Agatha w końcu dobrała im się do skóry. Chcieli zamknąć jej usta.

Carlyle zmrużył oczy, przypominając sobie wszystkie bzdurne historie, jakich musiał wysłuchiwać na przestrzeni lat. Zirytowany, pokazał Joemu, żeby wyszedł z nim na korytarz.

– Wierzysz w te pierdoły? – spytał cicho, nie spuszczać wzroku z Millsa.

Joe oparł się o ścianę.

– Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, nic nie wskazuje na to, żeby ktoś próbował się włamać. To samo dotyczy okna w kuchni. Na narzędziu zbrodni nie ma odcisków palców. Sprawdzamy jeszcze resztę kuchni, ale na razie niczego nie znaleźliśmy. Żadnych śladów butów, włókien czy czegoś w tym rodzaju.

– Więc to musi być Mills – uznał Carlyle.

Joe skinął głową.

– Będzie musiał wymyślić coś lepszego niż tę historyjkę o Chilijczykach.

– Z drugiej strony trzeba przyznać, że kiedy tu przyjechaliśmy, na jego ciele ani na ubraniu nie było śladów krwi – zauważył sierżant. – Nie wygląda też na to, żeby próbował sprzątać.

– Mógł wyrzucić poplamione ubrania do śmieci – rozmyślał głośno Carlyle. – Śmieciarze już zabrali worki. Warto spytać władze Camden, dokąd te śmieci trafiają.

– Tak – zgodził się Joe bez entuzjazmu.

– Nie martw się – rzekł Carlyle z uśmiechem. – Przydzielę ci do pomocy dwóch posterunkowych.

– Na pewno mnie za to pokochają.

– Wiesz, tym na górze zawsze jest trudno.

Tym razem to Joe się uśmiechnął.

– A skąd ty możesz to wiedzieć?

– Tak czy inaczej – Carlyle odchrząknął, nie podejmując rękawicy – sprawa wygląda na całkiem prostą. Bywają i takie.

– Hm... – Joe podrapał się po głowie. – Typowy przykład przemocy domowej.

– Właśnie – zgodził się z nim Carlyle. – Nie wiem, co chce osiągnąć, opowiadając te bzdury o Chilijczykach, ale powinniśmy się chyba cieszyć, że przynajmniej nie zrzuca winy na małe zielone ludziki.

Inspektor wrócił do pokoju. Mills siedział spokojnie na fotelu. Był niczym pusta stronica, nieco tylko przybrudzona na brzegach. Przygotowując się do ostatniej próby, Carlyle potarł kark i zrobił oficjalną, beznamiętną minę.

– Czy pokłócił się pan wczoraj z żoną? – spytał.

– Nie!

Mills zerwał się z fotela, potrącając pustą szklankę. Patrzył w milczeniu, jak toczy się do stóp inspektora, po czym podniósł na niego wzrok, nie wiedząc, co powinien zrobić.

Carlyle pochylił się powoli, podniósł szklankę i postawił ją na kominku. Przez chwilę obaj stali nieruchomo, jakby na coś czekali. W końcu Carlyle odwrócił się do sierżanta.

– Wezwij radiowóz, Joe, i zabierz pana Millsa do komisariatu.

Cerro Los Placer es, Valparaiso, Chile, wrzesień 5977

Nadszedł już czas.
Skończył się Czas Łaski.
Nadchodziły psy Pana.

Nadchodziły psy Pana, a nie chciał, by zastały go nagiego. Zmęczony, lecz czujny, William Pettigrew włożył koszulę przez głowę i wciągnął podarte wranglery. Wyszedł z sypialni i odliczył sześć kroków dzielących go od frontowych drzwi. Starał się nie zwracać uwagi na coraz silniejszy ucisk w żołądku. Przeskakując z bosej stopy na stopę, odmawiał pod nosem modlitwę pewnego trapisty, Thomasa Mer tona:

– Panie Boże, nie mam pojęcia, dokąd idę...

Przyjazd domini canes obwieścił warkot silnika i obłok czarnych spalin. Rozległ się pisk opon na asfalcie, chrzęst żwiru pod ciężkimi buciorami, gniewne okrzyki i przestraszone głosy. Gdy w końcu ktoś zatrzymał się przed jego drzwiami, Pettigrew poczuł nagle wszechogarniający spokój.

– Nie ma sensu ukrywać się pod łóżkiem, kiedy człowiek z karabinem puka do twoich drzwi o drugiej w nocy – wymamrotał. – Lepiej po prostu je otworzyć.

Podbiegł do niego żołnierz z karabinem. Wyglądał jak dziecko, miał siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat. Pettigrew dostrzegł sadystyczny błysk w jego oczach, słyszał przesadną groźbę w jego głosie. Poczuł odór spoconego ciała zmieszany z zapachem smażonej fasoli i piwa Torobayo.

Chłopak opuścił broń, doskoczył do księdza i splunął mu w twarz. Pettigrew wzdrygnął się, ale nie otarł śliny.

Pierwszy cios posłał go na podłogę. Starał się oddychać powoli, przez usta, ignorując alarm, który rozdzwonił się w jego głowie, i

ogień, który ogarnął jego krocze. Ból krążył po całym ciele, niesiony adrenaliną.

Ktoś roześmiał się w mroku.

– To musiało boleć!

– Bienvenido a la Caravana de la Muerte – powiedział posępnie młody żołnierz. Kolejna porcja plwociny wylądowała na podłodze przed twarzą Pettigrew. Podniósł wzrok. Drwiący uśmiech żołnierza mówił wszystko.

Witaj w Karawanie Śmierci.

Milej jazdy.

Pettigrew rozprostował ramiona i podniósł głowę. Stał przed nową inkwizycją.

Pamiętał ze studiów na Uniwersytecie Katolickim w Santiago, że w tym rejonie papieska inkwizycja oficjalnie zakończyła działalność dopiero w 1834 roku. Przetrwiała w sumie ponad sześćset lat.

A teraz wróciła.

– Czas umierać.

Śmierć nie jest jednak konkretną chwilą, punktem w czasie. To proces, który zaczyna się, gdy przestaje bić serce, gdy przestają pracować płuca, gdy nie funkcjonuje mózg. Wiedział, że w tym przypadku będzie to proces długi, powolny i bolesny. Okazał bezczelność i zuchwałość właściwe heretykom, a teraz jego podłe zamiary miały zostać zdemaskowane i zniweczone. Prorok i marzyciel musi zostać zgładzony, a ohyda jego fałszywych doktryn zneutralizowana.

Nie miał w sobie apostołskiej pokory, prostoty i świętości koniecznych do zbawienia.

Było już za późno na żarliwą modlitwę.

Za późno na dobrowolne wyznanie win.

Teraz nie pozostało mu nic innego, jak mężnie znosić ból.

Żołnierze wiedzieli, wyczuwali instynktownie, że nikt nie musi się poniżać, okazując tolerancję jakiemukolwiek heretykowi. Pettigrew przygotował się na następnego kopniaka. Wciąż klęcząc, pochylił się do przodu, jak najbliższej buta chłopaka. Jeśli ten nie będzie miał miejsca, żeby wziąć porządny zamach, nie kopnie go zbyt mocno. Czuł zapach pasty rozsmarowanej na czubkach jego zdartych butów niczym

makijaż na trupie. Gdyby porządnie je wyglansował, widziałbym swoje odbicie, pomyślał mimochodem.

Buty cofnęły się o krok. Pettigrew zamknął oczy, nabrał powietrza i czekał.

Niepotrzebnie.

Po kilku sekundach żołnierz się odsunął i odwrócił w stronę żałosnego krzyku, który dobiegał z jego prawej strony. Brzmiało to jak skomlenie psa potrąconego przez samochód, ale Pettigrew dobrze wiedział, że to nie pies. Ktoś ciągnął po ulicy kobietę, trzymając ją za włosy. Chłopak w mundurze skoczył do przodu i wymierzył jej z rozpędu potężnego kopniaka. Jego prawy but wylądował gdzieś w okolicy jej ust. Twarz kobiety eksplodowała czerwienią, co przypominało scenę z filmów Sama Peckinpaha. Krzyk ucichł i zamienił się w cichy, bełkotliwy jęk.

Żołnierz spojrzął na czubek swojego buta i zaczął go wycierać o nogawkę na lewej łydce, zostawiając na niej ślad mieszanki krwi, smarków i chrząstek. Zadowolony z rezultatu, odwrócił się do księdza. Podszedł bliżej i wskazał wielką kałużę zielonej farby, która powoli rozlewała się po maleńkim podwórku przed domem, Pettigrew dostał osiem puszek farby Rajską Zieleń w prezencie od swojej siostry. Stały przy drzwiach od kilku miesięcy, czekając, aż znajdzie czas na pomalowanie domu, trzypokojowej szopy, którą dwa lata temu zbudował przy pomocy przyjaciół i sąsiadów. Żołnierze nie mogli oprzeć się pokusie i przewrócili je, gdy tylko zeskoczyli z ciężarówki.

– Na ziemię! – warknął żołnierz.

William Pettigrew spojrzął na niego zdumiony.

– Połóż się w tym, chuju!

Ksiądz spojrzął na farbę i się zawahał.

– No już... – Młody żołnierz aż poczerwieniał, szukając właściwego słowa. – Skurwysyna!

Kolejny kopniak trafił Pettigrew w kark. Gdy wylądował na ziemi, jego koszula i spodnie natychmiast nasiąkły gęstą zieloną farbą. Po raz kolejny pogratulował sobie, że zanim otworzył drzwi, włożył ubranie. Gdyby był nagi i na dodatek zielony, czułby się bardzo zażenowany.

Oczywiście żał mu też było dobrej farby, choć w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia, nie przypuszczał bowiem, by kiedykolwiek tu wrócił.

Czubek buta połaskotał go w ucho.

– Dlaczego nie wyjechałeś, kretynie?

– Dobrze pytanie.

William Pettigrew znany był w okolicy jako Czerwony Książd, zwolennik teologii wyzwolenia, a tym samym wichrzyciel. To oznaczało, że na pewno trafił na jakąś listę. Kiedy zaczął się przewrót, przyjaciele ostrzegali go, że stanie się celem ataków, mówili, że nie powinien się wychylać, i że rozsądnie byłoby wyjechać na jakiś czas z kraju. Pettigrew miał to szczęście, że mógł to zrobić w każdej chwili: miał paszport i pieniądze. Mógł wrócić do Wielkiej Brytanii i zostawić to wszystko. Archidiecezja kilka razy dawała mu do zrozumienia, że chętnie na to pozwoli.

Zastanawiał się, czy wyjechać do Szkocji – jego prapradziadek był właścicielem gospody w Montrose – by zobaczyć na własne oczy, skąd pochodzi rodzina Pettigrew. W głębi duszy wiedział jednak, że to tylko fantazja. Nigdy nie uciekłyby z Chile.

W końcu jednak wyjechał z Valparaiso... Na chwilę. Po kilku nocach wypełnionych strzelaniną wybrał się do wioski odległej o dwadzieścia kilometrów i spędził kilka dni u przyjaciela, śpiąc na podłodze w jego domu. Cała ta sytuacja wydawała mu się nieznośnie melodramatyczna, świadczyła, jego zdaniem, o wygodnictwie, a nawet o tchórzostwie. Domem było Cerro Los Placeres. Nie chciał być nigdzie indziej.

Wiedział, że musi cierpieć z ludźmi, którzy tu mieszkają, dzielić niedolę z bezbronnymi i bezsilnymi. Wiedział, że nie może zaproponować swoim sąsiadom żadnego wyjścia z tej sytuacji. Nie znał odpowiedzi. Ale mógł z nimi pracować, szukać i im towarzyszyć. A także umrzeć.

Jego jedyną bronią było przebaczenie. Przebaczenie rodzi się z miłości, przemoc ze strachu. Miłość jest antidotum na strach. Wiedział, że kiedy stanie u bram nieba, to właśnie miłości będzie potrzebował najbardziej.

Więc wrócił.

Przez kilka kolejnych dni normalnie pracował i żył. Wydawało się, że William Pettigrew nikogo nie obchodzi.

Aż do teraz.

Kolejny kopniak przywołał go do rzeczywistości.

– Jesteś idiotą i zbrojnym – z nienawiścią wyszeptał mu do ucha żołnierz. – Myślisz, że Boga obchodzi takie gówno jak ty? Powinieneś być spierdalać do Anglii, gdy miałeś okazję. Kościół nie chce krwi, ale my tak.

Po kilku kolejnych kopniakach i uderzeniach kolbą w głowę, żołnierze związali Pettigrew ręce. Uważając, by nie pobrudzić się zieloną farbą, zaciągnęli go na tył ciężarówki z dachem pokrytym brezentem i wepchnęli do środka. Było tam już dziesięć, może dwanaście osób, jednak w mroku nikogo nie rozpoznał. Wszyscy odruchowo odsunęli się od niego w obawie, że jakikolwiek kontakt z czerwonym księdzem jeszcze pogorszy ich sytuację. Pettigrew wstał i znalazł sobie miejsce w pobliżu tylnej kłapy. Z zewnątrz dochodziły śmiechy i krzyki. W środku zapadła melancholijna cisza przepojona strachem.

Pięć minut później zamknięto kłapę i opuszczono brezent. Ktoś krzyknął do kierowcy, że są gotowi. Zawarczał silnik ciężarówki i po kilku sekundach ruszyli w drogę. Jechali ze stałą prędkością, nie szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Przez szczeliny w brezencie Pettigrew widział, że tuż za ciężarówką jedzie jeep z trzema żołnierzami. Jeden z nich stał przy karabinie maszynowym zamontowanym z tyłu samochodu na wypadek, gdyby ktoś postanowił zaryzykować i wyskoczyć. Nikt tego nie zrobił.

Jechali na południe, w stronę wybrzeża. Niemal przez rok Pettigrew był tak zwanym księdzem robotnikiem w stoczni Las Habas w Valparaiso, więc dobrze znał tę trasę. Wiedział też, dlaczego tam jadą. Dwa dni przed obaleniem socjalistycznego rządu do Valparaiso przyплыnęło kilka okrętów marynarki wojennej. Po śmierci prezydenta Salvadora Allende, gdy zaczęły się masowe aresztowania wszelkiej maści „lewicowców”, szybko pojawiły się plotki, że okręty te pełnią funkcję więzień.

– Przyjemne morskie powietrze, a do tego darmowe mieszkanie i wikt – zażartował wtedy ktoś. – Na pewno lepsze to niż ulica Londres – dodał, mając na myśli siedzibę partii komunistycznej w Santiago, w której teraz torturowano więźniów politycznych.

Pettigrew spojrzał na tego kogoś pytająco.

– Trochę jak wakacje.

Naprawdę? Więc jego wakacje właśnie się zaczęły.

Jechali powoli ulicami miasta, które wydawało się dziwnie opustoszałe nawet jak na tak późną porę. Nikt nie zapalił światła. Drzwi i okna były zamknięte na głucho. Ludzie kulili się w łóżkach, przerażeni, że mogą być następni. Zastanawiali się, czy nie zrobili lub nie powiedzieli czegoś, co mogło sprowokować nocną wizytę, a potem wycieczkę w jedną stronę do Las Habas.

Nawet psy, które zwykle włóczyły się po mieście i grzebały w śmietnikach, tej nocy zrobiły sobie wolne.

Ktoś w ciężarówce zaczął płakać. Ktoś inny odmawiał cicho Ojciec nasz. Z tyłu dobiegło kilka przytłumionych „amen”, a potem znów zapadła cisza. Kobieta siedząca obok Pettigrew ścisnęła różaniec tak mocno, że nić pękła, a paciorki się rozsypały. Spojrzała na księdza i wzruszyła ramionami. Milczał. Oboje wiedzieli, że teraz jest już za późno na boską interwencję.

Po drodze zatrzymywali się cztery razy przed domami, których Pettigrew nigdy wcześniej nie widział. Do ciężarówki trafiali kolejni, nieznani mu ludzie, po dwoje lub troje na każdym przystanku. Słyszał krzyki, ale nikt się nie skarżył i nie próbował stawiać oporu.

Nim dotarli do nabrzeża, ciężarówka była pełna. Kierowca wjechał na pirs i zwolnił. Przez szparę w brezencie Pettigrew dojrzał charakterystyczny czteromasztowy szkuner, „Biała Dama”, który często gościł w Valparaiso, był to bowiem statek szkoleniowy dla kadetów mieszczącej się w tym mieście Akademii Morskiej Artura Pratta. Pettigrew był nawet na jego pokładzie podczas dnia otwartego w 1972 roku. Zwiedzający mogli przejść się po przystani, zostali poczęstowani rumem i wysłuchali dość nudnego wykładu o Arturze Pracie i jego dokonaniach.

Pomimo okoliczności Pettigrew uśmiechnął się lekko na myśl o Augustynie Arturze Pracie Chacónie. Był bardzo chilijskim bohaterem, zginął trafiony kulą w oko w 1879 roku, podczas walk z Peruwianczykami.

Prawie sto lat później w Chile istniały sto sześćdziesiąt dwie ulice jego imienia. W Valparaiso stał jego posąg. Z relacji historycznych wynikało, że Pratt był zafascynowany liberalizmem tamtych czasów. Jego akademia zajmowała się „edukacją akademicką, moralną, kulturalną i fizyczną” przyszłych oficerów marynarki. Pettigrew zastanawiał się, którą z tych dziedzin będą się zajmowali tej nocy.

Ciężarówka przejechała obok grupy około dwudziestu osób spędzonych przez wojsko. Niektórzy leżeli na brzuchu, inni klęczeli. Wszyscy trzymali ręce za głowami. Pilnowało ich kilku uzbrojonych marynarzy, którzy palili papierosy i przerzucali się dowcipami. Nieco wyżej, na głównym pokładzie okrętu stało na baczność około trzydziestu kadetów, którzy przyglądali się wszystkiemu uważnie, choć na pozór patrzyli w przestrzeń, w czarne jak atrament niebo.

Ciężarówka się zatrzymała, ktoś odsunął brezent. Choć nikt nie kazał im tego robić, ludzie zaczęli zeskakiwać z platformy.

– Mam nadzieję, że umiesz pływać – zażartował jeden z żołnierzy, kiedy Pettigrew wylądował na zimnych kamieniach.

Pusta ciężarówka ruszyła z powrotem w noc, by szukać następnych pasażerów. Pettigrew wyprostował się i rozejrzał. Nad pirsem zalegały ciemności, rozpraszało je tylko światło z bulajów statku i dalekich latarni w mieście. Wzdrygnął się, gdy owiała go zimna bryza znad morza. Nie czekając na rozkaz, osunął się na kolana. Większość jego towarzyszy niedoli zrobiła to samo. Pochylił głowę i już po kilku sekundach został uderzony w kark kolbą karabinu. Bez słowa podniósł wzrok i przyjrzał się swojemu oprawcy. Marynarz był wysoki i blady, miał cienkie nadgarstki, małe usta i zielone oczy. Rozpiął mundur pod szyją, a w jego ustach tkwił niezapalony papieros. Unikając spojrzenia czerwonego księdza, odnotował w myślach jego istnienie i przeszedł w milczeniu dalej. Pettigrew obserwował, jak przechadza się między Męczącymi ludźmi, co jakiś czas uderzając ich od niechcienia karabinem. Przypominał ogrodnika, który dogląda róż w swoim ogrodzie.

Minęło co najmniej piętnaście minut, nim aresztanci zostali oficjalnie przekazani kapitanowi okrętu. Nawet w takich sytuacjach Chilijczycy lubią ceremonie, pomyślał ksiądz. Był niemal zaskoczony, że na pokładzie nie czeka na nich orkiestra, gotowa zapewnić tło muzyczne. Poganiani kopniakami, uderzeniami i przekleństwami, weszli po trapie na okręt.

Gdy znalazł się na pokładzie, rozwiązano mu pęta, kazano przykucnąć i trzymać ręce na karku. Kiedy już wszyscy więźniowie weszli na statek, naliczył dwudziestu sześciu mężczyzn i dwadzieścia dwie kobiety, w wieku mniej więcej od piętnastu do sześćdziesięciu pięciu lat. Ustawiono ich w ośmiu rzędach po sześć osób, zwróconych

plecami do pirsu. Między rzędami przechadzało się kilkunastu strażników uzbrojonych w kije ze stalowymi czubkami. Całą grupę obserwowało dwóch nastolatków, stojących na podwyższeniu obok karabinu maszynowego, który wyglądał tak, jakby pamiętał czasy pierwszej wojny światowej. Gdyby otworzyli ogień, mogliby zabić wszystkich w ciągu dziesięciu sekund.

Kiedy już wszyscy stali na swoich miejscach, kazano im się rozebrać. Więźniowie wymienili zdumione spojrzenia, ale i tym razem nikt nie próbował protestować. Pettigrew nie chciał znów zostać pobity, więc szybko zdjął spodnie i slipy. Potem ściągnął przez głowę poplamioną koszulkę, z przyzwyczajenia złożył wszystko starannie w kostkę i położył obok siebie. Natychmiast podbiegł do niego jeden z kadetów i zabrał ubranie. Ksiądz stanął prosto, skrzyżował ręce na piersi i starał się nie patrzeć na innych. Ciszę co jakiś czas przerywał terkot karabinu dochodzący gdzieś z miasta. W pewnym momencie usłyszał warkot silnika ciężarówki wjeżdżającej na molo. Zatrzymała się w pobliżu okrętu, ale nikt nie wszedł na pokład „Białej Damy”.

Po chwili wszyscy byli nadzy. Stali na baczność, starając się jednocześnie skulić, jak najmniej rzucać w oczy, a najlepiej zniknąć.

Wszyscy oprócz jednej kobiety. Stała w rzędzie przed Pettigrew, wyzywająca, z biodrami wypchniętymi do przodu i szeroko rozstawionymi nogami, śmiało patrzyła w oczy marynarzom, którzy się na nią gapili.

Przedstawiała naprawdę niezwykły widok: obdarzona przez naturę wypukłymi pośladkami i wielkimi piersiami o sutkach jak pociski. Ksiądz wstydził się własnej słabości, ale po prostu nie mógł na nią nie patrzeć.

Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem myślą.

Zmusił się do spuszczenia wzroku, patrzył na swoje stopy i myślał o... Montrose, o piłce nożnej, Jezusie, Kościele, reformie rolnej... o czymkolwiek, byle tylko odwrócić uwagę od swojego krocza. Wyglądało na to, że nie tylko on ma taki problem. Usłyszał jakieś szemranie w szeregach i zorientował się, że młodzieniec stojący obok kobiety zmaga się z potężną erekcją. Biedak zrobił się czerwony jak burak, gdy nadaremnie próbował ukryć nabrzmiałe prącie między nogami. Strażnicy ryczeli ze śmiechu i tręcali jego penisa kijami, jeden

nawet zagroził, że mu go odstrzeli. Szybko jednak znudzili się tą zabawą, a nieposłuszny członek w końcu poddał się woli młodzieńca.

Gdy zaczęło świtać, pojawiła się nowa grupa marynarzy, którzy przynieśli gumowe węże. Ktoś krzyknął:

– Czas, żebyście się umyli, brudne gnoje!

Z węży trysnęły strumienie morskiej wody pod wysokim ciśnieniem. Wszyscy rozpięchli się na boki, uciekając z linii ognia, ale strażnicy dźgali ich kijami i wpychali z powrotem w zasięg węży. Woda natychmiast wypełniła usta i nos Pettigrew, który krztusił się i był bliski uduszenia. Strumień wody trafił go prosto w głowę. Ból był straszliwy, ksiądz czuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w oczy i uszy.

Mniej więcej po dwudziestu minutach marynarze w końcu zakręcili wodę. Dopiero wtedy zrobiło mu się naprawdę zimno. Zdrętwiały mu dłonie i stopy, widział, że jedna z kobiet zrobiła się sina. Wszyscy przeskakiwali z nogi na nogę i przytupywali, próbując się rozgrzać. Pomyślał, że wyglądają jak szaleńcy tańczący w drodze do piekła.

Jakiś czas później zaprowadzono ich pod pokład do pozbawionego okien pomieszczenia długości około dwunastu metrów i szerokości sześciu, oświetlonego trzema nagimi żarówkami. Po obu stronach znajdowały się przesuwane metalowe drzwi, za którymi stali uzbrojeni strażnicy. Każdy z więźniów dostał jeden cienki koc. Hamaków mogło wystarczyć najwyżej dla połowy z nich. Przez środek sali biegł sznur ze zwisającą brezentową płachtą, która oddzielała część dla kobiet od części mężczyzn. Przy drzwiach stały cztery duże wiadra służące za toalety. Podłogę pokrywała warstwa kleistej cieczy, której Pettigrew wolał nie przyglądać się z bliska. Ktoś próbował wyczyścić salę przed przybyciem nowych więźniów, ale robił to chyba bez przekonania. Zapach środków dezynfekujących tylko częściowo tłumił smród moczu, kału i potu. Nikt nie chciał myśleć o tym, co stało się z poprzednimi mieszkańcami.

Dokoła rozbrzmiewał gwar miasta, znajomy i kojący. Zbyt niecierpliwym, by czekać, aż ulica zrobi się na moment pusta, Carlyle skoczył przed małą czerwoną furgonetką, ignorując wymowne gesty kierowcy. Ruszył Long Acre w stronę Seven Dials, minironda z filarem, na którym znajdowało się sześć zegarów słonecznych (siódmym był sam filar rzucający cień na ziemię). Stamtąd udał się w stronę północnego krańca Mercer Street, niedaleko Shaftsbury Avenue.

Po zachodniej stronie ulicy stał niewielki blok z mieszkaniami komunalnymi, znany jako Phoenix House. Wzniesiony w latach pięćdziesiątych z najtańszych materiałów dostępnych na rynku, byłby zapewne solidniejszy, gdyby zbudowano go z kartonu. Wyglądał jednak dość czysto i nie śmierdział, przynajmniej z zewnątrz. Carlyle wybrał numer na domofonie, poczekał na charakterystyczny brzęczyk otwieranego zamka i wszedł do środka.

Na najwyższym piętrze znajdowało się mieszkanie numer osiem. Od ponad roku mieszkała i pracowała tam młoda prostytutka z Birminghamu, niejaka Sam Laidlaw. Mieszkanie było nieduże, miało nie więcej niż czterdzieści pięć metrów kwadratowych, ale jego atutem był niewielki taras na dachu, dzięki któremu latem klienci Sam mogli korzystać z jej usług na świeżym powietrzu.

Gospoia Laidlaw, Amelia Jacobs, która niegdyś również trudniła się prostytutką, znała Carlyle'a od ponad dwóch dekad. Była godną zaufania informatorką, która na przestrzeni lat wiele razy dobrze przysłużyła się inspektorowi. Kilka tygodni temu, gdy to ona poprosiła o przysługę, Carlyle od razu wiedział, że będzie musiał złożyć jej wizytę. Przekładał ją już kilka razy, więc dziś czuł się zobowiązany dotrzymać w końcu słowa.

Jacobs nie pasowała do filmowego stereotypu dziwki o złotym sercu i z pewnością należała do osób godnych podziwu. Była przeciętną Murzynką pod czterdziestkę, miała metr sześćdziesiąt wzrostu, krótką praktyczną fryzurę i twarde spojrzenie, które nigdy nie skupiało się na

rozmówcy. Gdyby ktoś zobaczył ją na ulicy, pomyślałby, że jest nauczycielką, a może nawet prawniczką. Prawda była zupełnie inna, ale Carlyle wiedział, że Amelia jest osobą godną szacunku. Przede wszystkim była twarda jak skała. Miejskowa legenda głosiła, że kiedyś próbowała odgryźć penisa wyjątkowo niemiłemu klientowi i prawie jej się to udało. Carlyle znał pielęgniarkę, która pracowała w szpitalu przy Gower Street i twierdziła, że gdy przywieziono tego nieszczęśnika, właśnie miała dyżur. Inspektor spytał kiedyś Amelię o tę historię, a ona uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała rzeczowo:

– Jeszcze kilka sekund, a już nigdy by go nie zobaczył.

Na szczęście dla klientów i policjanta w średnim wieku, Pheonix House miał tylko trzy piętra. W budynku była winda, ale rzadko działała. Carlyle tak czy inaczej wolał wejść po schodach niż ryzykować, że utknie między piętrami.

Wybiegł na górę i zapukał do drzwi lekko zasapany.

– Dziękuję, że pan przyszedł, inspektorze – przywitała go Amelia z uśmiechem.

– Żaden problem – odparł Carlyle, starając się nie dyszeć zbyt głośno. – Przepraszam, że tak długo to trwało.

Kobieta wykonała nieokreślony gest.

– Proszę wejść.

Minutę później siedział na pomarańczowej sofie w ponurym salonie, który chyba każdemu odebrałby ochotę na cielesne uciechy. Trzymał w ręku kubek z kawą, na której lśniła warstwa cieczy przypominającej płyn do mycia naczyń. Sam Laidlaw siedziała na krześle naprzeciwko niego i wpatrywała się w podłogę niczym niegrzeczna uczennica, którą właściwie była. Miała dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata. Farbowane platynowe włosy z rzucającymi się w oczy odrostami pasowały do jej niezdrowej cery. Bez makijażu, w brudnym białym podkoszulku i szarych dresowych spodniach wyglądała okropnie. Zupełnie jakby pieprzyć trupa, pomyślał Carlyle. Z drugiej strony było stosunkowo wcześnie i Laidlaw nie zaczęła jeszcze kolejnego tygodnia pracy.

Amelia pokrótce opisała Carlyle'owi sytuację. Problem był mu dobrze znany. Nazywał się Michael Hagger, był miejscowym gangsterem, który później został przedsiębiorcą, od czasu do czasu także alfonsem, a do tego ojcem czteroletniego syna Laidlaw, Jake'a.

Zdaniem Jacobs Hagger groził, że zabierze matce chłopca, by zmusić ją do ustępstw w ciągnącym się od dłuższego czasu sporze o pieniądze.

– Gdzie jest teraz dziecko? – spytał Carlyle, który zaniepokoił się nagle, że zbyt długo ignorował sytuację.

– W odwiedzinach u innego dzieciaka – odparła Amelia. – Trzy razy w tygodniu chodzi też do przedszkola. Po Wielkanocy zapisałyśmy go do Coram's Fields.

– To dobrze – mruknął inspektor. Przynajmniej przez jakiś czas chłopiec jest pod dobrą opieką. Centrum zabaw i gier Coram's Fields znajdowało się piętnaście minut marszu od tego miejsca, po drodze do King's Cross. Prowadziła je rada dzielnicy Camden, a tamtejszy personel fantastycznie zajmował się dziećmi z różnych środowisk. Córka Carlyle'a, Alice, chodziła tam przez dwa lata, nim zaczęła naukę w szkole, a Helen wciąż wpadała tam od czasu do czasu, przekazując do biblioteki książki, których już nie potrzebowała. Pomyślał, że powie jej o Jake'u, a ona może spróbuje dyskretnie o niego wypytać.

Laidlaw milczała. Podniosła wzrok na tyle, by widzieć trzydziestodwucalowy telewizor umocowany w rogu pokoju. Carlyle spojrział w to samo miejsce, a potem, zerknął na stertę płyt DVD leżących przy telewizorze. Spod filmów porno wystawał Listonosz Pat i Kaczor Dodgers. Zrobiło mu się niedobrze. Nie wspominając o ważniejszych sprawach, był wielkim fanem Kaczora Dodgersa, czyli Kaczora Duffy'ego w roli kosmicznego obrońcy Ziemi, a kilka lat wcześniej, gdy Alice była mała, obejrzał z nią wiele odcinków. Teraz miał ochotę krzyknąć. Choć starał się zachować spokój, wiedział, że naprawdę musi zadzwonić do wydziału opieki społecznej do spraw dzieci.

– No dobrze, a co miałbym zrobić? – spytał w końcu.

– Proszę porozmawiać z Haggerem – odparła Amelia. – Dać mu znać, że ma pan go na oku.

Jakby to cokolwiek zmieniało.

– No dobrze. – Carlyle westchnął. – Gdzie go znajdzie?

Dziewczyna nadal milczała.

– Tam gdzie zwykle – odpowiedziała za nią Amelia.

No tak, bardzo pomocna informacja, pomyślał inspektor.

– W takim razie zacznę od Intrepid Fox – oznajmił, mając na myśli pobliski pub, w którym bywał Hagger.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Dziewczyna wstała i bez słowa wyszła z pokoju.

– To pewnie ten na dwunastą trzydzieści. – Amelia pokazała mu, że powinien wstać. Spojrzała na zegarek. – Jest wcześniej. Napalony sukinsyn myśli, że będzie miał więcej czasu.

– Widzę, że humor dopisuje. – Carlyle uśmiechnął się przekornie.

– O tak... – mruknęła Amelia, wznosząc oczy do nieba. Delikatnie pchnęła go w stronę drzwi. – Dziękuję, panie Carlyle.

– Dam znać, jak mi idzie – powiedział, oddając jej kubek z nietkniętą kawą.

– Dziękuję.

– Ale będę musiał porozmawiać o Jake’u z opieką społeczną.

Chciała zaprotestować, ale szybko zrozumiała, że to nie jest dobry pomysł.

– Tylko po to, żeby ktoś inny też miał go na oku – dodał pojednawczo.

Amelia zrobiła zboląłą minę.

– Jake jest tutaj kochany, inspektorze.

– Może i jest – Carlyle wzruszył ramionami – ale to nie zawsze wystarcza. Ta dziewczyna jest za młoda.

– Sam stara się jak może.

– Dzieciak ma już cztery lata. Jeśli jego sytuacja się nie zmieni, i to szybko, będzie skrzywiony na całe życie.

– Co jeszcze mogłaby zrobić?

– Może żyć z zasiłku, jak wszyscy inni.

– Co? Miałaby żyć za sto dwadzieścia funtów tygodniowo?

– Są gorsze rzeczy niż bieda. Musi się doprowadzić do porządku.

– Wiem.

– Dla dobra dziecka.

– Tak.

– To twoja strona umowy.

Kobieta skinęła głową.

– Rozumiem.

– Więc sprawa jest jasna. – Carlyle przywołał na twarz entuzjastyczny uśmiech. – Ja swojej części dotrzymam i od ciebie oczekuję tego samego.

W drodze do wyjścia Carlyle minął zażenowanego pięćdziesięciolatka, który włókł się po schodach, nie podnosząc ani na moment wzroku. Na dworze, w słońcu, było jeszcze goręcej niż wtedy, gdy wchodził do budynku. Zrobiło się duszno i wyglądało na to, że wkrótce nadejdą zapowiadane burze. Od nadmiaru kofeiny rozboleła go głowa i nie miał najmniejszej ochoty wracać do komisariatu. Musiał uzupełnić płyny w organizmie, przeszedł więc za róg, na Earlham Street, i kupił butelkę wody mineralnej oraz koktajl z mango w Big Banana Juice Bar obok Cambridge Circus. Zszedł z chodnika między zaparkowane samochody, najpierw wypił wodę, a potem koktajl. Sklep muzyczny Fopp przy Shaftesbury Avenue, po drugiej stronie ulicy, reklamował książkę The Clash autorstwa The Clash. Krzykliwa różowa okładka nie przypadła mu do gustu i nie zamierzał wydawać na to dzieło trzydziestu funtów, ale pomyślał, że zawsze może je przejrzeć. W jego opinii The Clash to najlepszy zespół rockowy wszech czasów. Był kilka razy na ich koncercie, a teraz miał ochotę oddać się odrobinie nostalgii i wspomnieniom z czasów młodości.

Wrzucił puste butelki do kosza, przebiegł przez jezdnię i wszedł do sklepu. Jak zawsze, gdy wyrывał się z pracy choćby na krótką chwilę, miał wyrzuty sumienia, a zarazem była to spora przyjemność.

Gdy wreszcie wrócił do komisariatu, usiadł za biurkiem i zajął się jakimiś mało istotnymi sprawami. Nie spieszyło mu się do pokoju przesłuchań. Jeśli Mills zamierza trzymać się tej chilijskiej historyjki, Carlyle'a czeka długie i bolesne popołudnie. W ciągu swojej kariery inspektor wielokrotnie stykał się z przemocą domową. Nie cierpiał przesłuchiwać godzinami sąsiadów, by zdobyć oficjalne potwierdzenie tego, co dobrze wiedział. Nigdy nie przestawała zdumiewać go łatwość, z jaką niektórzy ludzie potrafili oszukiwać samych siebie. Liczby jednak nigdy nie kłamały. Carlyle wierzył statystykom, które mówiły, że większość ofiar ginie z rąk ludzi, których znały. Zresztą wystarczyło się zastanowić choćby przez chwilę, by zrozumieć, że jedyni ludzie, którzy mogą zdenerwować nas na tyle, byśmy chcieli ich zabić, to właśnie najbliżsi. Carlyle mógł bez trudu przypomnieć sobie co najmniej kilka sytuacji, w których znalazłby się zapewne w sporych opałach, gdyby Helen trzymała akurat w ręku patelnię. I vice versa. Takie są realia codziennego życia... i śmierci.

W drodze do podziemi minął recepcję i zerknął na grupkę petentów, którzy czekali tylko po to, by rozczarować się w taki czy inny sposób. Skinął głową sierżantowi Dave'owi Prentice'owi, który gryzł ołówek i wpatrywał się w jakiś formularz.

– Dave.

Sierżant wyjął ołówek z ust i podniósł wzrok.

– Cześć, John.

Wydawał się wyczerpany wielogodzinnym siedzeniem za biurkiem i powstrzymywaniem naporu interesantów. Carlyle, podobnie jak wszyscy inni pracownicy komisariatu, wiedział, że Prentice odlicza dni do upragnionej emerytury.

– Jak leci? Coś ciekawego?

– Niespecjalnie. – Prentice wskazał głową mężczyznę o chorowitym wyglądzie, ubranego w luźne spodnie i białą koszulę, który siedział na ławce. – Ten koleś... – wyszeptał, uśmiechając się drwiąco – mówi, że jakieś uczennice próbowały go pobić w Galerii Narodowej.

Carlyle przyjrzał mu się uważniej. Nie dostrzegł żadnych śladów pobicia.

– Gdzie są te dziewczyny?

– Uciekły.

– To zrozumiałe.

– Ale facet chce koniecznie złożyć skargę. – Prentice westchnął. – Co za dupek. Trochę tu sobie posiedzi. Słyszałeś o Psie?

– Nie. Co znowu zrobił? – spytał Carlyle. Walter Poonoosamy był dobrze znaną postacią w tej okolicy. Przewisko, jakie mu nadano, wiązało się z jego ulubioną metodą oszukiwania turystów: prosił ich o pieniądze na jedzenie dla nieistniejącego labradora imieniem Lucky.

– W nocy znaleźli go martwego na ławce w kościele aktorów – wyjaśnił Dave. – Proboszcz natknął się na niego, kiedy już zamykał. Podobno nieźle się wystraszył. Przypuszczają, że to zawał. Miał tylko czterdzieści cztery lata, a wyglądał na siedemdziesiąt.

– Zgadza się, ale przynajmniej przekroczył granicę – skwitował Carlyle.

Prentice spojrzał na niego zdumiony.

– Co masz na myśli?

– Czytałem gdzieś, że bezdomni mężczyźni żyją przeciętnie czterdzieści jeden lat. On dożył czterdziestu czterech, więc pawie o

dziesięć procent więcej.

Prentice wzruszył ramionami.

– Samo życie.

– Tak.

Na górze czekał na niego Joe. Jadł kanapkę z kurczakiem i przyglądał się dwóm mężczyznom w garniturach, którzy za pomocą metalowych taśm mierzyli odległość między biurkami.

Carlyle spojrzał pytająco na sierżanta.

– Agenci nieruchomości – wyjaśnił cicho Joe, gryząc ostatni kęs kanapki.

– Co? Sprzedajemy komisariat?

– Kupujemy.

– Jak to?

– Podobno parę lat temu budynek komisariatu sprzedano jakiemuś funduszowi hedgingowemu z zachowaniem prawa do użytkowania. Załatano tą forszą dziurę w funduszu emerytalnym. No a teraz, kiedy na rynku nieruchomości jest zapaść, odkupimy go. W „Przeglądzie Policyjnym” pisali, że policja metropolitalna zyska na tym pięćdziesiąt milionów funtów.

Carlyle odprowadził wzrokiem dwóch mężczyzn, którzy poszli szukać innych rzeczy do zmierzenia.

– Lepiej tak niż w drugą stronę. Ale od kiedy to zajmujemy się handlem nieruchomościami, a nie łapaniem bandziorów? – Inspektor podrapał się po głowie. – Henry Mills jest już na dole?

– Tak. – Joe zajął się pączkiem z czekoladą, który pochłonął trzema wielkimi kęsami. – Jest w pokoju numer sześć. Wszystko gotowe.

Carlyle, który do perfekcji opanował politykę odwlekania nieprzyjemnych i nudnych zadań, był bardziej zainteresowany jedzeniem.

– Przekąszę coś – oświadczył. – Potem pójde na dół i z nim pogadam. Ty tymczasem zajmij się raportami, żebyśmy po południu mieli już to wszystko z głowy.

– Dobra.

– Jakies wiadomości od Bassetta?

– Tak. Przesłał e-mailem wstępny raport. Nie ma w nim nic, czego już byśmy nie wiedzieli. Uderzenie wymagało siły, o jaką nie

podejrzewałbym Henry'ego Millsa, ale przy kłótniach małżeńskich różnie bywa.

– Otóż to.

– Narzędziem zbrodni była prawdopodobnie ta ciężka patelnia. W odpływie zmywarki znaleźli włosy i fragmenty skóry.

– Jakież odciski palców?

– Jej i jego, nic więcej.

– Dobrze. Szybko i skutecznie.

– Tak. Wygląda na to, że trafiliśmy na lepszy dzień Bassetta.

– Szczęściarze z nas. Coś jeszcze?

– Nic specjalnego. – Joe wzruszył ramionami. – Znaleźli jakieś niezidentyfikowane odciski palców w kuchni, i to właściwie wszystko.

– Chyba nie ma w tym niczego dziwnego.

– Tak, ale niektóre były na ramie okna.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez moment.

– W środku czy na zewnątrz?

– W środku – odparł sierżant. – Nie wiem, czy na zewnątrz sprawdzili.

– Spytaj Bassetta. Ciekawe, czy to chilijskie odciski.

Joe parsknął śmiechem.

– Nawet potężny Sylvester Bassett nie będzie mógł nam tego powiedzieć.

– Szkoda. No cóż, więc zobaczymy, co może powiedzieć. – Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. – I sprawdź, czy w Google można znaleźć jakieś informacje o Agacie Mills.

Joe spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Wiem, wiem. – Carlyle westchnął. – Ale zawsze warto spróbować.

Może rzeczywiście miała jakieś związki z Chile?

Joe skrzywił się jeszcze bardziej.

– Jeśli coś znajdziemy, może łatwiej nam będzie zrozumieć, do czego zmierza Henry Mills – wyjaśnił Carlyle. – I oddzielić bzdury od prawdy.

Dwadzieścia minut i kanapkę z serem oraz podwójne espresso później Carlyle siedział przy stole w pokoju przesłuchań numer sześć, naprzeciwko Henry'ego Millsa i jego prawniczki, drobnej zestresowanej kobiety, która wyglądała i mówiła jak mieszkanka

jakiegoś śródziemnomorskiego kraju. Przy drzwiach stał umundurowany policjant. Carlyle nigdy wcześniej nie spotkał tej kobiety, ale wiedział, że nie przysporzy mu żadnych problemów – przynajmniej nie w tej sprawie. Rozmyślając o tym, zapomniał, jak ma na nazwisko, zanim jeszcze skończyła się przedstawiać.

W ostrym sztucznym świetle, pozbawiony wsparcia famous grouse Mills wyglądał na zdenerwowanego. Trzeźwiały z minuty na minutę i najwyraźniej wcale nie był z tego powodu zadowolony. Pewnie myśli o swojej prawniczce to samo co ja.

Carlyle uśmiechnął się w duchu. Położył na biurku notes formatu A5, wyjął długopis i napisał na górze strony: HM, 7/6. Oczywiście przesłuchanie było nagrywane, ale inspektor lubił robić notatki. Wiedział też z doświadczenia, że co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent informacji spisanych z nagrań to bzdury – wszystkie „ech”, „yy”, „um”, „ach” i prawnicze wykręty. Nie chciał tracić później czasu na przekopywanie się przez te śmieci.

– Czekamy tu ponad godzinę – poskarżyła się prawniczka.

Płacą ci od minuty, więc co cię to obchodzi? – pomyślał Carlyle, zrobił jednak skruszoną minę i skinął głową.

– Przepraszam najmocniej – powiedział, po czym włączył magnetofon i dopełnił wstępnych formalności. Następnie pochylił się do przodu i wpatrywał się przez chwilę w Henry’ego Millsa, jakby zapomniał o obecności prawniczki. Zapach whisky wywietrzał już z oddechu mężczyzny, który wydawał się teraz bardzo zmęczony, jakby nowe otoczenie całkowicie pozbawiło go sił. W pokoju było ciepło i duszno. Nawet po podwójnym espresso Carlyle czuł się nieco senny.

– No dobrze – zaczął w końcu łagodnym tonem. – Proszę opowiedzieć mi własnymi słowami, co się stało.

Mills spojrzał na prawniczkę, a ta skinęła sztywno głową. Mężczyzna położył dłonie na blacie stołu, spuścił wzrok i rozpoczął monolog, który ćwiczył zapewne w głowie, odkąd zadzwonił po policję:

– Naprawdę nic nie wiem. Położyłem się do łóżka koło wpół do dziesiątej. Agatha słuchała jakiegoś programu radiowego w kuchni. Przeczytałem kawałek tej nowej książki Roberta Bolario, zna ją pan?

Roberto kto? Carlyle pokręcił głową.

– Ma dziewięćset stron – ciągnął Mills – i prawdę mówiąc, trochę trudno mi się w nią wciągnąć. Po kilku stronach zachciało mi się spać. Zgasilem światło pewnie jeszcze przed dziesiątą. – Umilkł na moment i wykrzywił twarz w grymasie, który wydał się Carlyle’owi wyreżyserowany. – Agatha często kładzie się spać później niż ja, więc nie było w tym niczego dziwnego. Obudziłem się za piętnaście ósma. Nie było jej w łóżku, więc wstałem, znalazłem ją... martwą... i zadzwoniłem do was. – Podniósł wzrok i wzruszył ramionami. – To wszystko. Nie wiem, co jeszcze mógłbym wam powiedzieć.

Carlyle odczekał kilka sekund. Jedynym dźwiękiem, który zakłócał ciszę w pokoju, był cichy szum magnetofonu. Inspektor milczał. Policzył w głowie do trzydziestu, ciekaw, czy Mills coś doda.

...27, 28, 29, 30...

Mills wpatrywał się w blat stołu i milczał. Carlyle postanowił, że da mu jeszcze następne trzydzieści sekund.

...58, 59, 60...

Nadal nic. Tymczasem prawniczka sprawiała wrażenie, jakby miała mnóstwo czasu. W końcu Carlyle zapytał:

– Jakie to uczucie?

Przez sekundę zastanawiał się, czy naprawdę zadał tak delikatne pytanie. Nie zwracając uwagi na zdumioną minę prawniczki, wbił wzrok w Henry’ego Millsa.

Mills, również zaskoczony, zastanawiał się nad tym przez chwilę. Carlyle widział, że zмага się z myślami, próbuje ułożyć szczerą odpowiedź. Po raz pierwszy poczuł odrobinę zrozumienia dla tego zmęczonego mężczyzny, który siedział naprzeciwko niego. Pomyślał, że gdyby ktoś rozbił czaszkę Helen – nawet on sam – byłby zrozpaczony. Wyobrażał sobie, że życie bez żony byłoby puste, martwe. Stałby się swego rodzaju zombie, jak ten biedak.

– Nie wiem – odezwał się w końcu Mills. – Kiedy człowiek tylko wyobraża sobie taką sytuację, myśli, że to dramatyczne, rozdzierające przeżycie, huśtawka emocji. W rzeczywistości to był bardzo nudny i męczący dzień. Powinienem być pójść za pańską radą, inspektorze, i odstawić whisky.

Carlyle skłonił lekko głowę.

– Wiem, że należy powiedzieć coś w rodzaju „rzeczywistość jeszcze do mnie nie dotarła”, ale nie mam pojęcia, jaka będzie ta

rzeczywistość. Byliśmy z Agathą małżeństwem przez prawie czterdzieści lat, nie mamy dzieci i oboje prowadziliśmy życie dość... – przez moment szukał właściwego słowa – niezależne.

Carlyle pokiwał głową i zrobił minę mającą wyrażać zrozumienie, chcąc go w ten sposób zachęcić, by mówił dalej.

– To nie znaczy, że żyliśmy oddzielnie. Nie. To była wygodna wspólna egzystencja, w której żadne z nas nie czuło się ograniczone. – Oczy Millsa nagle wypełniły się łzami. – Kiedy zobaczyłem ją tam na podłodze... – głos mu się załamał – to nie była ona. To nie było realne. To nie byliśmy my.

Carlyle czekał na ciąg dalszy, ale Mills zamilkł na dobre. Inspektor spojrzał na prawniczkę, która wydawała się skonsternowana zachowaniem swojego klienta. Należy uznać to za zenanie czy nie?

Carlyle wyłączył magnetofon i odwrócił się do Henry'ego Millsa.

– Chcę, żeby zrobił pan sobie przerwę – powiedział. – Potem możemy spróbować jeszcze raz. Proszę porozmawiać ze swoją prawniczką. Będzie wiedziała, jakiego rodzaju pytania panu zadam. Jeśli to, co pan przed chwilą powiedział, to pańskie pełne zeznanie, będziemy potrzebowali trochę czasu, by przeanalizować materiał dowodowy. Jeśli przychodzi panu do głowy coś, cokolwiek, co może panu pomóc w tej sytuacji, to teraz jest właśnie najlepsza pora, by mi o tym powiedzieć. A jeśli chce pan zmienić zeznanie, załatwimy to raz dwa i będzie pan mógł odpocząć.

Gdy Carlyle szedł do swojego pokoju na trzecim piętrze, poczuł wibrację telefonu. Zobaczył, że dzwoni Helen, więc odebrał.

– Cześć.

– John, musisz jechać do szkoły – powiedziała, wyraźnie zdenerwowana. – Ogłosili alarm bombowy...

Okolica centrum kulturalnego Barbican przypominała scenografię filmu sensacyjnego. Cały kompleks otaczający szkołę został odgradzony taśmą. Za nią kłębił się tłum turystów i pracowników okolicznych biur, zaniepokojonych i zaciekawionych jednocześnie. Kilkunastu policjantów bezskutecznie próbowało ich namówić, by się rozeszli. Kiedy Carlyle dotarł do Silk Street, naliczył ponad dwanaście samochodów policji, w tym dwie duże furgonetki policyjnych saperów. Zastanawiał się, ile czasu zajmie im przeszukanie całej szkoły – co najmniej kilka godzin. Na pewno lekcje tego dnia zostały już odwołane. Wybrał numer Alice na komórce i zaklął głośno, gdy na wyświetlaczu pojawił się komunikat: „Sieć przeciążona”.

– Kurwa!

Rozłączył się, a potem natychmiast wybrał numer jeszcze raz. I zobaczył tę samą wiadomość.

– Pierdolony telefon!

I jeszcze raz.

I jeszcze.

Przy piątej czy szóstej próbie usłyszał wreszcie sygnał, a po chwili włączyła się poczta głosowa: „Cześć! Mówi Alice. Zostaw wiadomość, a na pewno do ciebie oddzwonię. Pa!”.

– Alice – zaczął, starając się mówić spokojnym tonem – tu tata. Zadzwoń, kiedy to odsłuchasz.

Trzymając telefon w ręku, podszedł do sierżanta stojącego przy taśmie. Pokazał mu legitymację, a ten skinął głową.

– Gdzie są dzieciaki? – spytał Carlyle.

– Poszły do punktów zbornych, panie inspektorze – odparł sierżant.

– A gdzie te punkty są?

W odpowiedzi policjant wzruszył tylko ramionami. Carlyle już miał go walnąć, ale obok nich pojawiła się kobieta w średnim wieku, trzymająca podkładkę z kartkami.

– Która klasa? – spytała z werwą.

- Eee... - Tym razem to Carlyle wykazał się ignorancją. Kobieta ściągnęła brwi, starała się jednak nie stracić cierpliwości.

- Nauczyciel?

- Chyba mężczyzna. - To wszystko, na co było go stać. Tym razem kobieta nawet nie próbowała ukryć pogardy dla jego niewiedzy.

Westchnęła ciężko i postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę:

- Klasy młodsze czy starsze?

- Młodsze - odpowiedział zdecydowanie Carlyle. Wiedział, że w tym przypadku ma przynajmniej pięćdziesiąt procent szans na trafienie.

- Poszły na Monkwell Square.

Carlyle spojrział na nią pytająco.

- To tuż obok Ironmongers' Hall - dodała.

- W kierunku, z którego pan przyszedł - pospieszył mu z pomocą sierżant. - Pójdzie pan w stronę katedry Świętego Pawła, to tuż przed London Wall. Nie powinno to panu zająć więcej niż pięć minut.

- Dziękuję - wycedził Carlyle przez zaciśnięte zęby. Odwrócił się na pięcie i przebiegł między gapiami i radiowozami.

Rzeczywiście, już po kilku minutach odnalazł Monkwell Square. Roilo się tam od dziewczynek w mundurkach, które gawędziły w małych grupach, wylegiwały się na trawie i generalnie wyglądały na uradowane perspektywą wolnego popołudnia. Całkiem sporo paliło papierosy. Carlyle był zaszokowany/ gdy jedna z nich, na oko młodsza od Alice, zaciągnęła się spokojnie papierosem. Jak by zareagował, gdyby zobaczył, że jego córka pali? Nie, nie będzie się martwił na zapas.

Najpierw musi ją znaleźć. Potrzebował kilku minut, by namierzyć kogoś, kto wygląda na nauczyciela. Wreszcie zobaczył wysokiego mężczyznę w garniturze, który również trzymał w ręku podkładkę z kartkami. Starając się nie nadepnąć na żadną uczennicę, Carlyle podszedł do niego i się przedstawił.

Mężczyzna skinął głową.

- John Doherty, zastępca dyrektora młodszych Idas.

Kiedy Carlyle wyjaśnił, że szuka córki, Doherty ściągnął brwi.

- Nie ma co panikować - powiedział.

Panikować?

- Prawdopodobnie to fałszywy alarm - dodał. Miał zapewne trzydzieści kilka lat, ale dzięki opadającym jasnym włosom i chłopięcym rysom wyglądał młodziej niż wielu jego podopiecznych. - Wszyscy bezpiecznie opuścili szkołę. Dzieciom, które mieszkają niedaleko, pozwoliliśmy pójść do domu.

Nim Carlyle zdążył odpowiedzieć, zawibrował jego telefon. To Alice przesłała wiadomość: W domu. Wszystko OK.

Inspektor poczuł ulgę i frustrację jednocześnie. Podniósł wzrok, ale nauczyciel już sobie poszedł. Carlyle stał przez chwilę na placu, po czym zadzwonił do żony i ruszył na zachód.

Zabrzączał dzwonek, potem rozległ się gwar podekscytowanych głosików. Michael Hagger opierał się o filar przed wejściem do przedszkola Coram's Fields. Przybierając pozę faceta, który na co dzień odbiera swojego synka, obserwował, jak dzieci wybiegają na dwór, wciąż dokazując, opychając się słodyczami albo rozmawiając o minionym dniu. Większość z nich odbierały kobiety - matki albo opiekunki - ale było też kilku ojców.

Odczekawszy jeszcze chwilę, Hagger minął kobietę, która mocowała się z rozkładanym wózkiem, i wszedł do budynku. Uśmiechając się do dziewczyn w recepcji, swobodnym krokiem zmierzał do sali Jake'a.

Chłopiec, ubrany w dżinsy, adidas i koszulkę z bohaterem kreskówki Tomek i przyjaciele, siedział przy biurku i rysował coś z przejęciem na kartce, wysuwając przy tym czubek języka w kąciku ust. Hagger po raz pierwszy zauważył, że to naprawdę ładny dzieciak. To na pewno po mnie, pomyślał. Opiekunka stała przy umywalce w rogu sali, gdzie porządkowała farby i płukała pędzle. Nie odwróciła się, gdy Hagger wszedł.

Jake podniósł wzrok i skrzywił się na widok ojca.

- Co ty tu robisz?

Hagger zmusił się do uśmiechu.

- Przyszedłem cię odebrać.

Zdziwiony Jake ściągnął brwi.

- Przecież ty mnie nigdy nie odbierasz.

- Ale dziś tak - odparł Hagger przez zaciśnięte zęby.

Opiekunka wciąż była zajęta myciem pędzli.

- Zawsze odbiera mnie mama - upierał się chłopiec. - Albo Amelia.

Dwie leniwe bezużyteczne suki, pomyślał Hagger.

- Powiedziały mi, że dziś ja mogę odprowadzić cię do domu.
 - Mama mówi, że jesteś głupim gnojem – oznajmił dzieciak swobodnym tonem. Spuścił wzrok i jeszcze mocniej przycisnął kredkę do kartki. – I skończonym sukinsynem – dodał, wymieniając zieloną kredkę na czerwoną.
 - Tak mówi? – zjeżył się Hagger.
 - A co to jest „sukinsyn”?
 - Nic.
- Chłopiec podniósł głowę.
- To brzydkie słowo, prawda?
 - Ona tylko żartuje. – Hagger uśmiechnął się nerwowo. Zerknął na drugi koniec sali, ale opiekunka najwyraźniej niczego nie słyszała, teraz zajęta zmywaniem naczyń.
 - Amelia też tak mówi.
 - Tak naprawdę obie mnie kochają. Tak jak ty, prawda?
- Jake wbił wzrok w kartkę.
- Chcę poczekać na mamę.
- Hagger spodziewał się takiej reakcji. Wiedział, że musi działać szybko i nie może robić scen. Położył na biurko małe opakowanie żelków i wyszeptał:
- Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się na lody.
- Chłopiec wziął słodczyce i wstał.
- No dobra – powiedział, otwierając opakowanie, po czym spojrzał na ojca. – A potem pójdziemy do mamy, tak?
 - Oczywiście.

Zadowolony, że choć raz jest sam, Dominic Silver ułożył się wygodnie na sofie w swoim domu przy Meard Street w Soho. Gideon Spanner, jego oczy i uszy na ulicach miasta, wyszedł właśnie w interesach, więc Dominic miał całe mieszkanie dla siebie. W pokoju panowała cisza, w tle słychać było tylko szum ruchu ulicznego przetykany co jakiś czas wyciem policyjnych syren. Przyciszył telewizor, w którym pokazywano właśnie powtórkę walki Evandera Holyfielda z Michaeliem Dokesem z 1989 roku, i skupił się na artykule w „Evening Standard”. Była to historia dwóch handlarzy narkotyków, którym groziła kara do dwudziestu siedmiu lat więzienia, po tym, jak policja znalazła w bagażniku ich samochodu dwie torby z

pięćdziesięcioma kilogramami heroiny. Autor artykułu twierdził, że „na ulicy” „towar” jest wart prawie pięć milionów funtów.

– Nie wiem, jaką ulicę masz na myśli, kolego – mruknął Dom. Obliczył szybko, że w tych trudnych czasach dałoby się z tego wyciągnąć najwyżej trzy i pół miliona. Też ładna sumka, ale zdecydowanie poniżej najwyższych cen. Pogłębiająca się recesja dotknęła wszystkie gałęzie gospodarki, nawet handel narkotykami, który bronił się przed nią najdłużej.

Wrócił do lektury artykułu. Dilerzy twierdzili, że odbierali ulotki zamówione w drukarni. Zgodnie z ich wersją wydarzeń, o umówionej godzinie ulotki nie były jeszcze gotowe. Tymczasem poproszono ich o dostarczenie toreb pod wskazany adres, za co mieli dostać dwieście pięćdziesiąt funtów. Ława przysięgłych potrzebowała niecałych piętnastu minut, by uznać obu kretynów za winnych. Dominic uważał, że to i tak o wiele za długo.

– Idioci!

Przyjrzał się zdjęciom winowajców zamieszczonym obok tekstu i pokręcił głową. Ta historia budziła w nim mieszane uczucia. Narkotyki należały do konkurencji, więc miał powody do zadowolenia. Nie był zarozumiały, ale wiedział, że selekcja naturalna zawsze będzie działać na jego korzyść. Z drugiej jednak strony artykuł pokazywał, że kiedyś każdemu może podwinąć się noga. Rozczarowani klienci i tak będą się domagali towaru, a inni dilerzy spróbują zapęłnić tę lukę. Nie brakowało ludzi, którzy bez wahania przelaliby krew, byle tylko uszczknąć dla siebie kawałek rynku. Tak działa kapitalizm.

Dominic złożył gazetę i rzucił ją na podłogę, rozmyślając o tym, że zbliża się dzień, w którym naprawdę powinien zwinąć interes. Zamknął oczy i próbował oczyścić umysł, skupić się na tej jednej kwestii.

Wiedział, że to dla niego wielki sprawdzian.

Czy będzie potrafił zastosować się do jednej z podstawowych zasad życiowych?

Czy będzie potrafił odejść, dopóki jeszcze wygrywa?

Prysznic i kanapka z jajkiem pomogły mu trochę się rozluźnić. Alice zaszyła się w swoim pokoju i odrabiała lekcje. Wyglądało na to, że ani trochę nie przejęła się wydarzeniami minionego dnia. Carlyle wziął gazetę i opadł ciężko na sofę obok żony.

– Co za dzień!

Helen skończyła wysyłać SMS i odłożyła telefon na stolik.

– Cóż, przynajmniej nie było tam bomby. Wygląda na to, że to sprawka kilku starszych dziewczyn.

– Co takiego? – zdziwił się Carlyle.

– Miały pisać test. Nie chciały tego robić, więc...

– Więc zadzwoniły z wiadomością, że w szkole jest bomba? – prychnął inspektor.

– Tak. – Helen się uśmiechnęła.

Carlyle pokręcił głową i również się uśmiechnął.

– Cóż, można powiedzieć, że przynajmniej wykazały się inicjatywą.

– Jakby tego było mało – ciągnęła Helen – jedna z tych dziewczyn zadzwoniła ze swojej komórki. Oj, dostanie im się...

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Sieć matek zawsze jako pierwsza ma ważne wiadomości.

– Imponujące.

– To nie wszystko.

– Tak?

– Tak. – Helen wyraźnie posmutniała. – Policyjne psy nie znalazły żadnej bomby, ale za to wywęchały osiem torebek z narkotykami.

– Z jakimi? – zainteresował się Carlyle.

– Nie wiem.

– Pewnie z trawką.

– A co z tą mocną marihuaną, skunkiem czy jakoś tak? – spytała Helen. – Mówią, że to poważne zagrożenie dla młodzieży.

– Tylko jeśli dziecko ma neurotycznych rodziców z klasy średniej – Carlyle ziewnął – którzy co wieczór wypijają butelkę sauvignon blanc i

jednocześnie pouczają dzieci, że nie powinny nawet patrzeć na skręta.

Helen przyjrzała mu się uważnie. Zwykle to ona miała bardziej liberalne podejście do świata, jednak w tym przypadku swoboda, z jaką jej mąż mówił o narkotykach, trochę ją zaniepokoiła.

– Zasadniczo – rozpędzał się Carlyle – to jedno i to samo. Albo tego używasz, albo nadużywasz. Niektórzy sobie z tym radzą, inni nie. Popytam jutro rano, spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

– To dobrze, bo jedna z tych torebek należała do dziewczynki z klasy Alice.

Carlyle zamarł.

– Żartujesz!

Helen rzuciła mu spojrzenie świadczące o tym, że nie w głowie jej żarty.

– Nie jest to chyba żadna z jej przyjaciółek, ale tak czy inaczej musimy się temu uważnie przyglądać.

– Tak – Carlyle skinął głową, przechodząc szybko od czysto teoretycznych rozważań do niepokojącej rzeczywistości – będziemy się przyglądali.

Pochylił się i przyciągnął Helen do siebie. Leżeli przez chwilę, rozmyślając o Alice i o niebezpieczeństwach, jakie na nią czyhają. Oboje wiedzieli, że tak naprawdę niewiele mogą zrobić. Pozostaje im tylko czekać i obserwować rozwój wydarzeń.

W końcu Helen postanowiła oderwać się od tych niewesołych rozważań.

– Jak ci minął dzień? – spytała.

– Cóż... – Carlyle westchnął, a potem opowiedział historię Agathy i Henry'ego Millsów.

– Myślisz, że jutro zamkniecie sprawę?

– Mam nadzieję. Zobaczymy, co pan Mills powie rano.

Henry Mills spędził noc w areszcie. Gdy Carlyle szukał córki, Joe rozmawiał z nim jeszcze raz. Mills wciąż twierdził, że spał, gdy ktoś ćwiczył patelnię forhend na głowie jego żony. Zirytowany inspektor dał do zrozumienia prawniczce podejrzanego, że rano postawi mu zarzuty. Pasywność Millsa była zastanawiająca, ale ludzie różnie reagują na stresujące sytuacje. Carlyle pomyślał, że owdowiały mężczyzna być może próbuje zamknąć się w sobie, odciąć od świata. Postanowił, że wyśle do niego psychologa, by dokonał fachowej analizy jego

zachowania. Nawet jeśli nic to nie da, przynajmniej da podejrzanemu i jego prawnicze wyraźny sygnał, że interesuje ich stan jego umysłu. Jeśli prawniczka wykaże się choć odrobiną inteligencji, zrozumie, że policja nie wierzy w historię Millsa, ale gotowa jest pójść na układ z uwagi na zmniejszoną poczytalność czy coś w tym rodzaju.

Inspektor uważał, że w przypadkach przemocy domowej kary długoletniego więzienia nie mają sensu, bo zabójca nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa, a jego utrzymanie kosztuje fortunę. Lepiej będzie, jeśli prawniczka zgodzi się na pięć lat, a cała sprawa zostanie szybko zamknięta. Wtedy Mills prawdopodobnie wyjdzie na wolność po niecałych trzech latach. Alternatywą był długi, skomplikowany i kosztowny proces. Wtedy Mills dostanie prawdopodobnie osiem do dziesięciu lat. Być może uda mu się coś zyskać ze względu na zawłość formalne albo współczucie ławy przysięgłych, ale prawniczka powinna mu wytłumaczyć, że sprawa nie jest warta ryzyka i zachodu. Nawet gdyby został uniewinniony, nim proces by się skończył, zapewne spędziłby w więzieniu ponad rok.

Dla Carlyle'a długość wyroku nie była istotna. Ważne było zwycięstwo. A najlepsze ze wszystkich jest szybkie zwycięstwo. Gdy wina oskarżonego zostanie oficjalnie uznana, można zamknąć sprawę. W dziewięciu przypadkach na dziesięć nie interesowało go, co dzieje się potem.

Próbując zapomnieć choć na chwilę o Henrym Millsie, Carlyle sięgnął po gazetę. Jak zwykle najpierw przeczytał strony poświęcone sportowi. Nie znalazłszy tam niczego interesującego, wrócił na początek. Zatrzymał się na stronie czwartej, gdzie znajdował się artykuł o ogłoszeniu, które Brytyjskie Towarzystwo Humanistyczne umieściło na niektórych londyńskich autobusach. Slogan głosił: Prawdopodobnie nie ma żadnego Boga. Przestań się martwić i ciesz się życiem. Carlyle, zdeklarowany ateista, natychmiast poczuł się dotknięty słowem „prawdopodobnie”.

– Ci cholerni, karmieni soczewicą liberałowie w sandałach, którzy chcą uszczęśliwiać innych na siłę – mamrotał pod nosem. – Dlaczego nie powiedzą wprost, jak jest? Nie ma żadnego cholernego Boga. Koniec, kropka. Gdyby ludzie po prostu przyjęli do wiadomości ten prosty fakt, wszystkim żyłoby się lepiej.

Niemal na przekór sobie czytał dalej: Rzecznik stowarzyszenia powiedział: „Ta kampania zmusi ludzi do myślenia, a myślenie wyklucza religię”. Bzdura, pomyślał Carlyle. Jeśli jesteś na tyle głupi, że wierzysz w Boga, to w czym ci pomoże jakieś cholerne hasło na autobusie?

Czując, jak policzki nabiegają mu krwią, spojrział błagalnie na Helen, która wciąż leżała zwinięta w kłębek na drugim końcu sofy. Jednak dobrze wiedziała, że jej mąż zaczyna się nakręcać, więc ostentacyjnie go ignorowała, wpatrzona w telewizor. Oglądała program, w którym różni „celebryci” zostali zrzuceni do australijskiej dżungli i z jakiegoś niezrozumiałego powodu musieli przez dwa tygodnie poniżyć się na oczach widzów.

Helen, kobieta poważna i myśląca, miała słabość do tego rodzaju idiotycznych programów telewizyjnych, co doprowadzało Carlyle’a do szału. Miał ochotę uciec z pokoju, ale brakowało mu energii, by zwlec się z sofy. Zerknął na ekran, na którym pokazywano talerz pełen wijących się robaków postawiony przed jednym z uczestników. Kamera zrobiła właśnie zbliżenie na skrzywioną w grymasie obrzydzenia twarz mężczyzny. Carlyle aż otworzył usta ze zdumienia.

– Chryste! – wykrzyknął. – Przecież to Luke Osgood!

– Sir Luke Osgood – poprawiła go Helen, przypominając, że były szef policji metropolitalnej otrzymał niedawno tytuł szlachecki, co miało mu choć trochę zrekompensować upokorzenia sprzed roku, kiedy to w mało elegancki sposób został zwolniony przez nowego burmistrza Londynu.

– Co on, u diabła, robi w dżungli? – Carlyle aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Musi w ciągu trzech minut zjeść wszystkie te robaki albo żaden z uczestników nie dostanie tego wieczoru nic do jedzenia.

– Tak, tak – mruknął inspektor. Nie cierpiał, gdy Helen próbowała być w ten sposób zabawna. – Ale jak tam w ogóle trafił?

– Po prostu stara się znaleźć sobie nowe miejsce w życiu jako uczestnik różnych Wydarzeń medialnych – wyjaśniła, jakby całkiem naturalne było to, że człowiek, który przez pięć lat kierował policją w całym kraju, zachowuje się w tak okropny sposób.

Carlyle wpatrywał się uważnie w telewizor. Mężczyzna opychający się teraz robakami tylko do pewnego stopnia przypominał wynędzniałego biurokrate, którego widziano po raz ostatni, gdy

opuszczał New Scotland Yard, ścigany przez dziennikarzy i pogardliwe opinie nowych zwierzchników. Osgood ściął włosy, rozjaśnił je (by ukryć siwiznę) i natarł żelem. Był opalony niemal na pomarańczowo i choć Carlyle nie miał co do tego pewności, wydawało mu się, że jego były szef poddał się jakiejś operacji plastycznej, by pozbyć się zmarszczek wokół oczu i uwydatnić usta.

– Dopadł go kryzys wieku średniego. – Uśmiechnął się drwiąco.

Jako komendant policji Osgood nigdy nie miał wpływu na pracę Carlyle'a, ale jego późniejsze zachowanie wzbudziło spore zdumienie. Zaledwie dwa miesiące po tym, jak go zwolniono, odszedł od żony i dzieci i oświadczył, że jest biseksualny, oraz zamieszkał z dwudziestopięcioletnim tancerzem, który przyjechał do Londynu z Bergamo. „Różowy policjant” pisał teraz cotygodniowe felietony do „Sunday” i wykorzystywał każdą okazję, by publicznie krytykować Christiana Holyroda, burmistrza, który go zwolnił, albo swoich byłych współpracowników i swojego następcę, sir Chestera Forsytha-Walkera, samozwańczego „gliniarza starej szkoły”.

Carlyle nie znał ani jednego policjanta, który nie uważałby, że Osgood powinien po prostu zabrać swoje pieniądze, trzy miliony funtów zgromadzone w funduszu emerytalnym, i zniknąć gdzieś na wieki, nie afiszując się ze swoją nowo odkrytą seksualnością. Jak ktoś, kto ma już pięćdziesiątkę na karku, może nagle dojść do wniosku, że jest gejem? Choć raz inspektor był dokładnie tego samego zdania, co większość jego kolegów po fachu, którzy uważali, że Osgood będzie sam sobie winien, jeśli ktoś wciągnie go w ciemną alejkę i nakopie mu do tyłka za to, że zachowuje się jak żalosny, skoncentrowany na sobie dupek.

– Jego chłopak czeka w pobliskim hotelu – poinformowała go Helen.

– Prawdziwe z niego ciacho.

Carlyle ściągnął brwi.

– Lulce Osgood? Ciacho?

– Nie! – Helen zachichotała. – Jego chłopak. Nazywa się Gianluca. – Uniosła teatralnie brwi. – Prawdziwy włoski ogier.

Carlyle postanowił zignorować zachwyt żony atrakcyjnym Gianluca i skupił się na Osgoodzie, który kończył właśnie wyjadać robaki z talerza.

- Ale po co on to wszystko robi? - zastanawiał się inspektor. - Bo przecież pieniędzy ma pod dostatkiem.

- Wydaje mi się, że on to po prostu lubi.

- Co? Robaki?

- Nie. - Helen dźgnęła go ostrzegawczo stopą. - Lubi być celebrytą. W końcu mógł uwolnić swoje ego. Pokazał swoją frywolną stronę, którą przez lata ukrywał przed systemem.

- Rozumiem. - Carlyle próbował złapać jej stopę, ale szybko ją cofnęła. - Ciesz się, że ja wciąż tkwię w systemie. Gdybym uwolnił swoje ego, nie mielibyśmy co jeść.

- Gdybyś zarabiał tyle, co sir Luke, pozwoliłabym ci jeść robaki codziennie - odrzekła Helen z uśmiechem. - Mógłbyś nawet mieć włoskiego chłopaka.

Carlyle obdarzył ją dziwnym spojrzeniem.

- Żartuję. Ale on zarabia naprawdę grube pieniądze. Podobno za udział w tym programie płacą mu sto dwadzieścia tysięcy. Jeśli policzyć wszystkie inne zarobki sir Luke'a, wyjdzie około siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy rocznie.

Carlyle gwizdnął przeciągle. Jako komendant policji, Osgood zarabiał trzy razy mniej. Co za świat, pomyślał. Co za głupi, popieprzony świat. Mogłeś zarobić dwieście pięćdziesiąt tysięcy rocznie, ale byłeś wtedy odpowiedzialny za pięćdziesiąt tysięcy ludzi, budżet wysokości trzy i pół miliarda funtów i bezpieczeństwo siedmiu milionów londyńczyków, nie wspominając o ciągłym użeraniu się z politykami. Z drugiej strony zarabiasz trzy razy więcej, wygadując jakieś bzdury w telewizji i jedząc robaki. Carlyle musiał przyznać, że w gruncie rzeczy nie była to trudna decyzja.

- A co z jego godnością? - spytał niezbyt przekonująco.

- A niby co ma być? - parsknęła Helen wpatrzona w telewizor. - Ile mu jej zostało, kiedy burmistrz go wywalił? A poza tym, ile jest warta twoja godność?

Carlyle nie musiał się długo zastanawiać, by dojść do wniosku, że warta jest znacznie mniej niż siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

- Boże, tyle pieniędzy! Wyobrażasz to sobie?

- Nie przejmuj się tym tak bardzo. - Znów dźgnęła go stopą, tym razem łagodniej. - Osgood musi się spieszyć, jego czas wkrótce się

skończy. – Wskazała stopą ekran. – Ile razy może robić coś takiego? Potem będzie już tylko gorzej.

– Chyba masz rację – zgodził się Carlyle.

– Ledwie się obejrzy, a będzie najwyżej sprzedawał rolety w telemarkecie.

– I otwierał supermarkety w Croydon – dodał ze śmiechem inspektor.

– Robią jeszcze takie rzeczy? – zdziwiła się Helena.

– Nie wiem. Pewnie tak. Otwieranie supermarketów i masowa produkcja celebrytów najpośledniejszego sortu to jedyne rzeczy, jakie nam jeszcze dobrze wychodzą w tym kraju.

Tymczasem po drugiej stronie świata Lulce Osgood przełknął ostatniego robaka i podniósł ręce w triumfalnym geście.

– Myślisz, że wygra? – spytał Carlyle.

– Nie – odrzekła Helen zdecydowanie. – Były policjant gej to zbyt niszowa kategoria. W dodatku za bardzo kojarzy się z klasą średnią. Ludzie tacy jak on zwykle docierają w tych programach tylko do połowy – nie są nieudacznikami, których wyrzucają na samym początku, ale nie są też na tyle popularni wśród mas, żeby dotrzeć do końca. Żeby to osiągnąć, trzeba być albo bezczelnym przystojniakiem z jakiejś telenoweli, na którego głosują mamuśki, albo piersiastą modelką w skąpym bikini, na którą głosują faceci. – Helen wymieniła nazwiska ludzi, o których Carlyle nigdy nie słyszał. – Jedno z tych dwojga wygra.

Kiedy oglądali triumfalny powrót Osgooda do obozu w dżungli, w drzwiach salonu stanęła Alice. Zręcznie rzuciła telefon w stronę sofy i bez słowa wycofała się do swojego pokoju. Carlyle złapał komórkę, nim uderzyła go w głowę. Poczł wibracje i odruchowo odebrał.

– Halo?

– Inspektorze, mówi Amelia Jacobs.

Cholera. Wyczuł napięcie w jej głosie i natychmiast zrozumiał, że nie ma dla niego dobrych wiadomości.

– Cześć.

– Ten gnojek zabrał Jake'a.

Ten gnojek. Michael Hagger. Facet, z którym miał pogadać. Sprawa, którą miał załatwić.

– Odebrał go z przedszkola.

Kurwa, kurwa, kurwa.

– Spóźniła się dziesięć minut – dodała Amelia łamiącym się głosem.
– I już ich nie było.

– Rozumiem... – Inspektor kopnął w stół, ogarnięty bezsilną złością. Ty pieprzony idioto, rugał się w myślach. Dlaczego nie ostrzegłeś tego kolesia? Zaufały ci.

– John? – Helen spojrzała na niego pytająco, ale inspektor tylko pokręcił głową.

– Mówili o tym w telewizji – dodała Amelia.

No tak, my nie oglądamy takich rzeczy, pomyślał z irytacją Carlyle.

– W wiadomościach.

– Bóg jeden wie, co się stanie z tym biednym chłopcem. Musi pan go odnaleźć.

Inspektor milczał przez moment, zbierając myśli.

– Kto prowadzi tę sprawę? – spytał w końcu. Amelia podała nazwisko. – Dobrze. – Westchnął ciężko. – Pogadam z nim i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Miał pan porozmawiać z Michaeliem – warknęła.

– Wiem, wiem, wiem – odparł ostro. – Zobaczymy, co da się zrobić. Odezwę się najszybciej, jak będę mógł. Czekaćcie cierpliwie. Wszystko będzie dobrze. – Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

– Co się stało? – spytała Helen.

– Stało się to, że spieprzyłem sprawę – mruknął. W tym samym momencie telefon znów zaczął wibrować. – Cholera! – syknął i odebrał. – Amelio... – zaczął, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

– Inspektor Carlyle?

Carlyle natychmiast rozpoznał głos i załamał się jeszcze bardziej. Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut powinien był poczekać i pozwolić, aż rozmówca nagra się na pocztę głosową.

– Tak?

– Mówi Rosanna Snowdon.

Snowdon była prezenterką lokalnych wiadomości BBC w Londynie. Carlyle poznał ją przy okazji jednego z trudniejszych śledztw i był jej winien przysługę – może nawet kilka przysług – między innymi za to, że skontaktowała go z politykiem Edgarem Carltonem. Dwa lata temu, gdy był jeszcze liderem opozycji, Carlton został wplątany w paskudną

sprawę związaną z morderstwem i gwałtem. Snowden, przyjaciółka rodziny Carltonów, pomogła Carlyle'owi dotrzeć do wiecznie zajętego polityka. Później, po dramatycznym finale tej historii, prawdopodobnie uratowała karierę Edgara, odwołując inspektora od upublicznienia kompromitujących materiałów.

Uniknąwszy skandalu, Carlton odniósł w wyborach przytłaczające zwycięstwo i został premierem. Tymczasem Snowden nadal robiła karierę w mediach. Oprócz lokalnych wiadomości prowadziła teraz cotygodniowy program Kryminalny Londyn, w którym przedstawiano rekonstrukcje nierozwiązanych przestępstw popełnionych w Londynie i apelowano do widzów o pomoc. Kilka miesięcy wcześniej w programie pokazano jedną ze spraw Carlyle'a, wyjątkowo okrutny napad na młodą matkę w Lincoln's Inn Fields, powiązany z serią innych ataków w Holborn i okolicy. Snowden zaprosiła Carlyle'a do programu, ale ponieważ wstydził się prosić ludzi o pomoc w telewizji, wysłał tam Joego. Owocem tej akcji było siedemdziesiąt telefonów i zero obiecujących tropów. Carlyle nawet nie chciał myśleć o tym, ile czasu straciła policja na bezsensowne działania.

Oczywiście sprawa pozostała nierozwiązana.

Świadomość, że jest dłużnikiem Snowden, bardzo irytowała Carlyle'a. Jego zdaniem prezenterka była wyzyskiwaczką, interesowną medialną prostytutką, która traktowała każdą sprawę i każdą ofiarę jako kolejny krok na drodze do kariery w ogólnokrajowej telewizji, małżeństwa z bogatym bankierem i sesji zdjęciowych w kolorowych czasopiśmie. Jednak bez względu na to, co o niej myślał, był jej winien przysługę.

– Co słyhać? – spytał, starając się, by zabrzmiała w tym choć nikła nuta zainteresowania.

– Zastanawiałam się, czy znalazłbyś czas na krótką rozmowę – odparła, nie bawiąc się w uprzejmości. – Może spotkalibyśmy się gdzieś na kawie?

– Chyba nie chodzi o sprawę Millsa, prawda? – spytał ostrożnie. Nie widział jeszcze w prasie informacji na ten temat, ale było to tylko kwestią czasu.

– Co?

– Nic. Więc o co chodzi?

– Nie martw się – odpowiedziała szorstko – to nie ma nic wspólnego z żadną z twoich spraw. Ale wolałabym pogadać w cztery oczy. Może jutro o dziewiątej rano?

Carlyle wciągnął głośno powietrze. Był ciekaw, co tak niepokoi Rosannę. Z pewnością było to coś ciekawszego niż to banalne małżeńskie zabójstwo. Z drugiej strony, to nie ona wypłaca mu pensję, a musi przecież prowadzić sprawę Henry’ego Millsa.

– To może być trudne – powiedział w końcu. – Mam teraz sporo na głowie.

– Proszę. – Nie zabrzmiało to jak prośba. – To naprawdę bardzo ważne. Nie zabiorę ci więcej niż pół godziny, a wyświadcysz mi naprawdę dużą przysługę.

W jej głosie pobrzmiwało zdenerwowanie, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszał. To nie była zwykła kokietyjna Rosanna, przy której zawsze czuł się nieswojo. Pozbawiony warstwy ironicznej obojętności, wydawał się bardzo spięty. W porównaniu z nadzwyczaj pewną siebie samicą alfa, na którą zwykle pozowała, teraz zachowywała się niemal ujmująco.

– Cóż... – Musiał przyznać, że coraz bardziej go to intryguje. Mogła to robić celowo, ale miał wrażenie, że mówi szczerze. Tak czy inaczej, może wreszcie wyrównają rachunki. Carlyle zastanawiał się przez moment. – No dobrze – powiedział w końcu. – Dziewiąta trzydzieści.

– Fantastycznie! – ucieszyła się. – Może wybierzemy się do Patisserie Valerie przy Marylebone High Street?

– Zgoda – odparł Carlyle, podniesiony nieco na duchu myślą, że przynajmniej zje dobre ciastko.

– No to jesteśmy umówieni. Do zobaczenia jutro. I miłego wieczoru, inspektorze.

– Nawzajem.

Carlyle odłożył telefon i spojrzał na Helen, która wciąż nie mogła oderwać się od programu. Lulce Osgood tańczył teraz na polanie ubrany tylko w żółte męskie stringi i czerwony kapelusz. W jednej ręce trzymał butelkę wina, a w drugiej cygaro. Inspektor pomyślał, że być może Osgood rzeczywiście nieco odmłodził sobie twarz, ale z pewnością nie zainwestował jeszcze w liposukcję. Zniesmaczony wstał i uciekł z pokoju.

Niemal przez dwie godziny leżał w łóżku i czytał ostatnie sto stron doskonałego kryminału jakiegoś włoskiego autora. Bohater książki musiał przedzierać się przez grzęzawisko „korupcji, oszustw, przekrętów i nikczemności”. Carlyle był zachwycony książką. Przeczytawszy ostatnią stronę, zamknął ją i pozwolił, by opadła na nocny stolik z miłym dla ucha odgłosem. Pomyślał, że takie książki powinny być lekturą obowiązkową w szkołach. Powinno się je rozdawać tak zwanym ekspertom od literatury, którzy uważają, że kryminały to tylko zawile zagadki. Ziewnął i przeciągnął się pod kołdrą. Przez krótką chwilę wpatrywał się w sufit i z przyjemnością poddawał sennemu otępieniu. Potem, porzuciwszy nadzieję na rychłe nadejście żony, zgasił światło i przygotował się na sny o złoczyńcach i ich niecnym uczynekach.

Dopijając resztki z niemal litrowej butelki piwa Tiger, Jerome Sullivan kiwał głową w rytm piosenki Dead and Gone amerykańskiego rapera T.I. i uśmiechał się łagodnie, choć muzyka była tak głośna, że drżały szyby w oknach. Nikt w promieniu pół kilometra od mieszkania z pewnością nie mógł zasnąć, ale sąsiedzi dobrze wiedzieli, że lepiej nie zwracać mu uwagi. Jerome źle znosił krytykę. Ostatnia osoba, która ośmieliła się poskarżyć na jego antyspołeczne zachowanie, trafiła do szpitala z połamanymi nogami.

Trzydziestjednoletni Jerome był największym dostawcą skunka i ecstasy w dzielnicach oznaczonych kodami pocztowymi N5, N7, NW5 i NW1. Kierował swoją siecią sprzedaży z przypominającego bunkier budynku Goodwin House. Wzniesiony w latach osiemdziesiątych czteropiętrowy blok z czerwonej cegły, idealnie nadawał się do tego rodzaju działalności, można by wręcz pomyśleć, że rada dzielnicy Camden wybudowała go specjalnie na jego zamówienie. Wyglądał jak forteca. Okna były wyjątkowo małe, a najniższe z nich znajdowały się na wysokości co najmniej sześciu metrów nad ziemią. Co istotniejsze, budynek miał tylko jedno wejście. Zrozumiawszy, jaki potencjał ma to miejsce, Jerome kupił dwa najwyższe piętra i jeszcze bardziej je ufortyfikował. Gdyby policja próbowała dokonać nalotu na jego siedzibę, potrzebowałaby dwóch godzin, by dostać się do środka. Budynek pod numerem czterdziestym siódmym był praktycznie nie do zdobycia – chyba że ktoś zdecydowałby się użyć czołgu Challenger i

ostrzelać kryjówkę Jerome'a pociskami kalibru sto dwadzieścia milimetrów.

Jerome rzucił pustą butelkę po piwie na sofę i poczuł, że ogarnia go znudzenie. Sięgnął po swoją nową zabawkę leżącą na stoliku do kawy, z trudem wstał i kopnął najbliższe ciała zalegające na podłodze.

– Wstawać! – wrzasnął. – Idziemy na dach!

Dwie minuty później wymachiwał glockiem siedemnastką nad głową i kołysał się w rytm muzyki dobiegającej z dołu. Półautomatyczny pistolet kalibru dziewięć milimetrów dotarł do niego kilka godzin wcześniej. Był to prezent od zadowolonego dostawcy, nagroda za przekroczenie zakładanej wysokości sprzedaży w pierwszym kwartale tego roku. Dostawca – albański handlarz żywym towarem, który rozszerzył działalność na narkotyki – dorzucił też kilka magazynków. Do tej pory Jerome nie miał pojęcia, że powinien realizować jakieś cele sprzedaży, kwartalne czy jakiegokolwiek inne, ale tak czy inaczej był zachwycony prezentem. Nigdy dotąd nie miał broni i na razie nie był pewny, co z nią zrobić.

Ale że coś zrobi, wiedział na pewno.

Poświęcił temu problemowi całe dziesięć sekund, co według jego standardów stanowiło poważny namysł. Pomyślał, że posiadanie broni ma sens tylko wtedy, gdy się z niej do kogoś strzela. Ale do kogo? Cóż, na razie wystarczyło, że trzymał ją w ręku. Ubrany tylko w czerwone szorty Adidasa i koszulkę zespołu Nickelback, zadrżał owiany nocnym powietrzem. W bladopomarańczowym świetle latarni, które docierało z ulicy, widział gęsią skórę na swoich ramionach, jednak gdy zacisnął mocniej dłoń na rękojeści glocka i poczuł płynącą z niego siłę, zapomniał o chłodzie. Wolną rękę włożył w szorty i podrapał się energicznie po jądrach. Przebiegł go przyjemny dreszcz. O tak, ten glock naprawdę go kręci, a przecież nawet jeszcze z niego nie strzelił.

– O stary! To się musi stać, po prostu musi... – jęknął do siebie.

Na dach wyszedł chwiejnym krokiem Eric Christian, jeden z najbliższych znajomych Jerome'a, przyjaciel od drugiej klasy z pobliskiej szkoły podstawowej Gospel Oak. Towarzyszyło mu kilku maruderów gotowych bawić się bez końca, nawet gdy gospodarz ma już dość. Eric spojrzał na Jerome'a i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Uważaj, żebyś nie spadł – wybełkotał, bezskutecznie próbując zapalić blunta zapalniczką Harleja-Davidsona.

– Spoko, stary... – odparł Jerome z uśmiechem. Podniósł pistolet na wysokość oczu, ujął go w obie dłonie i wycelował w Erica.

Eric otworzył szeroko oczy, a blunt wypadł mu z ręki.

– Hej, koleś! – krzyknął, starając się ukryć zdenerwowanie. – Nie mów, że to jest naładowane.

– Nie. – Jerome skierował lufę w niebo, jakby zamierzał wziąć udział w staromodnym pojedynku. – Wyjąłem magazynek. Jest gdzieś na dole.

Muzyka osiągnęła szczytowe natężenie. Jerome zaczął tańczyć i wycelował w pozostałych facetów, którzy wyszli z Erikiem na dach. Teraz już ich pamiętał. Dwaj mało znaczący kolesie, którzy czasem wykonywali dla niego jakieś drobne zadania, a czasem kupowali towar. Teraz wyglądali tak, jakby mieli narobić w portki. Jeden z nich podniósł nawet ręce, jak na filmie. Jerome uznał to za szalenie zabawne i parsknął śmiechem. Pomyślał, że gdyby broń była naładowana, mógłby właściwie pociągnąć za spust. Odwrócił się do Erica.

– Niedługo to wypróbujemy.

– Jasne – odparł Eric, również się śmiejąc. Wyjął z kieszeni komórkę i zaczął filmować przyjaciela. Przesunął kamerą wzdłuż dachu, a potem zatrzymał ją na Jeromie i zrobił zbliżenie na glocka. – Dajesz, stary, nakręcimy film!

– Wrzucimy to na YouTube! – wrzasnął Jerome do kamery. – Idę po ciebie, dzieciaku!

– Jesteś mistrzem, Jerome! – krzyknął jeden z frajerów.

– Jestem zabójcą, człowieku! – Jerome przysunął się bliżej i przystawił mu pistolet do skroni, uśmiechając się szeroko. – Tak się, kurwa, zabija! – oznajmił, chwiejąc się. – Wystarczy nacisnąć. – Palcem wskazującym nacisnął spust. Rozległ się przytłumiony trzask, a koleś przewrócił oczami tak, że widać było białka. Na sekundę czas stanął w miejscu. Potem, wciąż trzymając broń przy jego skroni, Jerome wykonał jakiś dziwny taniec, przesunął się na bok i zniknął.

Eric stał jak wmurowany, próbując zrozumieć, jak jego przyjacielowi udało się zrobić tak niesamowitą sztuczkę.

– O kurde! – rozległ się głos za jego plecami. – Nagrałeś to wszystko?

Autobus linii dwadzieścia pięć jechał na zachód Oxford Street, mijając sklepy z ubraniami, budki z telefonami komórkowymi, kawiarnie i sex shopy ze średnią prędkością około pięciu kilometrów na godzinę. Carlyle zapewne szybciej dotarłby na miejsce na piechotę, ale nie miał ochoty na spacer. Z górnego pokładu rozciągał się przygnębiający widok, niezbyt zachęcająca mieszanina nędzy Trzeciego Świata z piękną pogodą. Była to jedna z nielicznych części jego rodzinnego miasta, której Carlyle naprawdę się wstydził, wołał więc ją ignorować.

Tego ranka, w drodze na spotkanie z Rosanną Snowdon, siedział z przodu autobusu i czytał „Timesa”. Na trzeciej stronie znalazł reportaż o pewnym mężczyźnie z Walii, który spędził trzydzieści lat w więzieniu, skazany niesłusznie za zabicie młodej kobiety. Nowe testy DNA dowiodły, że nie mógł być mordercą. Komisja Rewizyjna Spraw Kryminalnych starała się teraz jak najszybciej doprowadzić do jego uwolnienia.

Czytając artykuł, Carlyle czuł ból w piersiach. Cała ta historia była przygnębiająco znajoma. „Morderca” został opisany jako umysłowo chory. Nic dziwnego – ktoś wykorzystał go, żeby pozbyć się szybko trudnej sprawy i uspokoić pogrążoną w żałobie rodzinę. Podczas procesu ława przysięgłych uznała go winnym w rekordowo krótkim czasie. Sędzia też dorzucił swoje trzy grosze, oświadczając: „Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest pan winny tej straszliwej, przerażającej zbrodni”.

Żadnych wątpliwości. Nie mogli się doczekać, kiedy będą mieli to z głowy, a potem odpoczną w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Apelacja została odrzucona. Dopiero wiele lat później, gdy nowy adwokat zaczął się domagać kolejnego rozpatrzenia sprawy, służby kryminalistyczne zbadały płyny organiczne znalezione na miejscu zbrodni.

Krótko mówiąc, sprawa okazała się całkowitą porażką, najgorszym koszmarem każdego policjanta. Wzbudziła również poważne obiekcje dotyczące słuszności wielu innych wyroków za morderstwo, które należało teraz zbadać w podobny sposób. Adwokat niewinnego Walijczyka apelował na łamach gazety: Każdy, kto uważa, że został niesłusznie skazany, i przypuszcza, że badania DNA pomogą mu to udowodnić, powinien natychmiast skontaktować się ze swoim prawnikiem.

Carlyle zastanawiał się ponuro, ile spośród spraw, które dotychczas rozwiązał, mogłoby zostać zakwestionowanych przez nowoczesną technologię. Właściwie bał się o tym myśleć. Nigdy nie wiadomo, co może się człowiekowi przydarzyć...

Powoli, bardzo powoli autobus podjechał kolejne pięćdziesiąt metrów, by zatrzymać się na czerwonym świetle. Carlyle złożył gazetę i przeszedł do wyjścia. Kolejne pięć minut, które spędził, czekając, aż autobus dowlecze się do następnego przystanku, a kierowca raczy otworzyć drzwi, nie poprawiło mu wcale humoru. Nie po raz pierwszy zatęsknił za starymi autobusami w stylu Routemaster z otwartą tylną platformą, z której można było w każdej chwili zeskoczyć na ulicę. Gdy wreszcie znalazł się na chodniku, jak najszybciej opuścił Oxford Street i ruszył na północ.

Dziesięć minut później szedł Marylebone High Street. Wciąż dręczony ponurymi myślami o tym, co musi czuć człowiek, który spędził trzydzieści lat w więzieniu za nie swoje winy, nie zastanawiał się ani przez moment, dlaczego ponętna dziennikarka z BBC chce się z nim spotkać. Kiedy dotarł do Patisserie Valerie, stwierdził zaskoczony, że kawiarnia jest zadziwiająco pusta jak na porę śniadaniową zwykłego roboczego dnia. Uznawszy, że zasłużył sobie na małą nagrodę, przyglądał się przez chwilę ciastom i ciastkom w gablocie, które mogłyby poprawić mu humor. W końcu zapłacił za duże pain au raisin i podwójne macchiato, usiadł przy stoliku stojącym przy oknie i zajął się krojeniem ciasta na ćwiartki, rozkoszując się jednocześnie perspektywą kilku minut niczym niezakłóconej przyjemności. Wcześniej zaznaczył sobie stronę, na której był artykuł o powrocie zespołu ska, Specials, z lat osiemdziesiątych. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie skoczną piosenkę You've done too much, much too young, zadowolony, że wciąż pamięta prawie cały tekst. Już miał

otworzyć gazetę i zabrać się do czytania artykułu, gdy nagle w polu jego widzenia pojawiła Rosanna Snowdon.

Odsunęła krzesło, postawiła przed sobą kubek z miętową herbatą i usiadła.

– Dzień dobry, inspektorze. – Przesunęła duże okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy. – Dziękuję, że przyszedłeś.

Carlyle skłonił uprzejmie głowę.

– Nie ma za co.

Odruchowo zmierzył ją spojrzeniem. Rosanna była jak zawsze zadbana i jak zawsze wyglądała seksownie, choć nie wulgarnie. Tego dnia włożyła dość poważny, drogi, szary kostium ze spodniami i perłową bluzkę, rozchyloną pod szyją na tyle, by wzbudzić zainteresowanie. Wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną, Carlyle miał też wrażenie, że odkąd widzieli się ostatnio, trochę schudła, co dobrze jej zrobiło. Z drugiej strony nawet on zauważył, że ma odrosty i powinna ufarbować włosy, co z kolei było dość niepokojącym sygnałem. Carlyle pomyślał, że w sumie nie wygląda najlepiej, ale i nie aż tak źle, by nie zaradziły temu dwa tygodnie na Karaibach albo w Priory, angielskim ośrodku odnowy biologicznej dla gwiazd.

Spojrzała na jego talerz.

– Nie przeszkadzaj sobie.

– Skoro nalegasz... – Carlyle się uśmiechnął. Odgryzł spory kęs jednej z ćwiartek ciastka i popił kawą. Przez kilka następnych minut siedzieli w milczeniu, Carlyle pochłaniał ciastko, a Rosanna popijała herbatę.

Poczekala, aż inspektor włoży do ust ostatni kawałek i wytrze usta serwetką i odezwała się:

– Mam pewien problem.

Carlyle, wciąż jedząc, otworzył szerzej oczy i czekał.

– Jest pewien mężczyzna...

Cierpliwe przeżuwanie.

Rosanna westchnęła głośno i przeszła do sedna:

– Ktoś mnie prześladowuje.

Napiła się herbaty, opadła na oparcie krzesła i złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Czy to nie normalne? – spytał Carlyle, robiąc minę, która w założeniu miała być łobuzerskim uśmiechem. Rosanna spojrzała na

niego pytająco. – Czy nie jest tak, że celebryci tacy jak ty przyciągają różnego rodzaju wielbicieli i prześladowców? No wiesz, cena sławy i tak dalej...

Teraz patrzyła na niego z urazą, dając mu do zrozumienia, że ten szczeniacki żart był niewypałem.

– Przepraszam. – Podniósł rękę, pokazując, że gotów jest potraktować jej problem poważnie. – Co się dokładnie dzieje? Opisz sytuację.

– Facet ma na imię Simon. Nie znam jego nazwiska. Pod czterdziestkę. Zaczął kręcić się koło mojego apartamentowca dwa miesiące temu. Stoi tam, kiedy wychodzę z domu. Czasami nawet idzie za mną do pracy.

Carlyle odruchowo spojrział w okno.

– Dziś nie – uspokoiła go. – Nie codziennie. Raz, dwa razy w tygodniu. Widywałam go też wieczorami.

– Czy groził ci w jakikolwiek sposób? – spytał inspektor oficjalnym tonem.

Ściągnęła brwi.

– Nie, nie jest groźny. Raczej... przerażający. Zawsze trzyma się na dystans, jakby wstydził się ze mną rozmawiać.

Umysłowo chory, pomyślał Carlyle. Następny. Zastanawiał się, jak taki człowiek postrzega świat. Czy rozumie swoje ograniczenie?

Dziennikarka zauważyła, że inspektor odpływa gdzieś myślami i zaczęła stukać wypielegnowanymi paznokciami w blat stołu.

– Przysyła mi też listy.

Listy? Jakie staroświeckie metody.

– Jakie listy?

O mało się nie zaczerwieniła.

– Propozycje małżeństwa – odparła, opuszczając wzrok. – W sumie już sześć.

– A dokładniej? – spytał, niezbyt zainteresowany wariatem, który zadurzył się w celebrytce.

– Pisał, że, jego zdaniem, powinniśmy się pobrać i że chce się mną opiekować.

Trafił na dziewczynę, która akurat najmniej tego potrzebuje, pomyślał Carlyle, ale zachował tę refleksję dla siebie.

– Mój chłopak uważa, że to żart – ciągnęła Rosanna. – Ale to nie jego problem. Zresztą rzadko się spotykamy. – Pochyliła się i dotknęła dłoni Carlyle’a. – To mnie naprawdę stresuje.

Inspektor odsunął się odruchowo i wyprostował. Starał się ukryć zakłopotanie i chociaż udawać, że jej współczuje.

– Rozumiem.

– Któregoś ranka Josh podszedł do niego i powiedział mu, co o tym myśli, ale facet zniknął tylko na kilka dni, a potem znów zaczął wystawać pod moim domem.

Chłopakiem Rosanny był Josh Harris, rugbista, reprezentant Anglii, jeden z tych facetów, którzy mają bary szersze od przeciętnych drzwi. Grał jako napastnik, filar czy coś takiego. Carlyle w ogóle nie znał się na rugby, które uważał za grę klasy średniej – jeszcze jeden z tych żalonych niszowych sportów niebędących piłką nożną. Widział jednak Harrisa ze Snowden na zdjęciach z jakichś imprez, zamieszczanych w bezpłatnych gazetach. Helen droczyła się z nim, nazywając dziennikarkę jego sławną przyjaciółką. Nie wiedział dlaczego, ale sprawiało go to w zakłopotanie.

– Rozmawiałaś z policją? – spytał.

– Ty jesteś policją – odparła z nadąsaną miną.

– Oficjalnie.

– Tak, spotkałam się oficjalnie z sierżant Singleton z komisariatu Fulham.

– Fulham? – powtórzył Carlyle.

– Tam mieszkam.

– Rozumiem.

– Dałam jej kopie listów.

– Masz je przy sobie? – spytał inspektor.

– Oczywiście.

Snowdon sięgnęła do dużej brązowej torby i wyjęła z niej mały plik kopert spiętych czerwoną gumką. Zdjęła ją i podała koperty Carlyle’owi.

– Dzięki.

Inspektor zaczął ostentacyjnie oglądać koperty. Dwie pieczętki były rozmazane, ale pozostałe bez wątplenia przeszły przez tę samą sortownię SW7, co mogło oznaczać, że tajemniczy wielbiciel Snowden mieszka w jej okolicy. Carlyle ostrożnie wyjmował kolejne listy z

kopert i układał je na stole. Wszystkie zostały napisane niebieskim długopisem na tanim, cienkim papierze formatu A5. Pismo było staranne, ale niewprawne, jakby wyszło spod ręki dziesięciolatka. Uznawszy, że przyglądał im się już wystarczająco długo, inspektor włożył kartki do kopert i oddał je Rosannie.

– Co powiedziała sierżant...

– Singleton.

– No właśnie. Co powiedziała sierżant Singleton?

– Że zaczną działać, jeśli tylko dostaną jakąś skargę.

– No właśnie, więc złożyłaś skargę?

– Nie.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. – Wyprostowała się i odgarnęła z oczu niesforny kosmyk. – Po pierwsze, nie sędzę, żeby to cokolwiek zmieniło.

Carlyle musiał przyznać, że to całkiem rozsądne założenie. Informacje, które dziennikarze uzyskali od policji metropolitalnej na podstawie Ustawy o wolności informacji, wskazywały na to, że połowa zgłoszeń o przestępstwach nie jest przyjmowana ze względu na nikłe szanse rozwiązania podobnych spraw. Nawet ktoś taki jak Rosanna Snowden nie mogła się spodziewać szczególnego zainteresowania, bo problem był błahy.

– A po drugie – ciągnęła dziennikarka – nie chcę rozgłosu.

Carlyle uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Naprawdę. Gdyby to wyszło na jaw, ucierpiałby mój wizerunek.

– A to dlaczego?

Patrzyła na niego przez chwilę, jakby nie chciała mówić tego głośno. Czekał.

– Bo to sprawiałoby wrażenie, że jestem słaba – powiedziała w końcu. – Jak niemądra dziewczynka. Poważni dziennikarze nie mają kłopotów z nachalnymi fanami. – Zastanowiła się przez moment nad ostatnim zdaniem. – Poważni dziennikarze w ogóle nie mają fanów.

Carlyle skinął głową z udawanym współczuciem. Czy istnieją jeszcze „poważni” dziennikarze? Przykuci do biurka, produkują masowo te same historie co wszyscy inni, choć każdy i tak może je przeczytać za darmo w internecie. W tych czasach dziennikarz może być albo anonimowym wyrobnikiem, albo celebrytą, który pokazuje

się w kolorowych magazynach. Oboje wiedzieli, która opcja jest lepsza.

Rosanna sięgnęła do torby i wyjęła komórkę.

– Mam kilka zdjęć tego faceta, które zrobiłam telefonem. – Nacisnęła kilka klawiszy i podała aparat Carlyle'owi.

Zdjęcia przedstawiały zmęczonego, nieogolonego faceta w średnim wieku, z lekką nadwagą, ubranego w sweter i marynarkę. Miał nieobecny wyraz twarzy i wyglądał nijako.

– Może prześlesz mi jedno z nich? – zaproponował, oddając telefon.

– Jasne.

Znów nacisnęła jakieś guziki, a Carlyle poczuł w kieszeni znajome wibracje.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Na przykład?

– E-maile, telefony, groźby... coś w tym rodzaju?

– Nie. Kilka razy prosiłam go, żeby sobie poszedł. Powlókł się gdzieś w głąb ulicy, a potem stał pod latarnią czy pod drzewem.

Carlyle podrapał się po głowie, zastanawiając się, co jeszcze mogłaby mu powiedzieć.

– Czy kiedykolwiek o coś cię poprosił?

– Na przykład o co?

Skrzywił się.

– No nie wiem... o autograf?

– Nigdy o nic nie prosił. – Uśmiechnęła się blado. – Oczywiście nie licząc tych listownych oświadczeń.

Carlyle postanowił zmienić taktykę.

– Co jeszcze mówiła sierżant?

– Właściwie nic. Stwierdziła, że facet jest prawdopodobnie nieszkodliwy, ale że powinnam być czujna i zadzwonić na dziewięć-dziewięć-siedem, gdyby zaczął mi grozić. – Po raz pierwszy tego ranka Rosanna spojrzała inspektorowi w oczy. – Prawdę mówiąc, jakoś mnie to nie uspokoiło. Wiesz, takie rzeczy już się zdarzały.

– Jak to? – zdziwił się Carlyle.

– Nie mnie. Ale nie jestem pierwszą prezydentką, którą ktoś prześladowa.

– Tak. – Carlyle przypomniał sobie sprawę sprzed dziesięciu lat. Prezydentka wiadomości została zastrzelona na ulicy. To też zdarzyło

się w Fulham, jeśli dobrze pamiętał. Może wszystkie prezenterki tam mieszkają? Od czasów, gdy mieszkał tam młody panicz Carlyle, status dzielnicy na pewno się podniósł.

– To była straszna historia. – Rosanna westchnęła.

– Ciemna strona sławy. Problem w tym, że rada Singleton jest całkiem rozsądna. – Wiedział, że nie to chciała usłyszeć, ale na razie nie miał dla niej nic innego.

– Posłuchaj, wiem, że uważasz mnie za narcystyczną dziunię...

– Za kogo?

– Za arogancką lalunię.

– Nie – zaprzeczył, starając się, by zabrzmiało to choć odrobinę przekonująco. – Oczywiście, że nie.

– Chcę tylko w spokoju wykonywać swoją pracę, inspektorze. To chyba normalne, prawda?

– Oczywiście.

– To kwestia jakości życia. Wiem, że ten facet to prawdopodobnie nic poważnego, ale zaczyna mi naprawdę przeszkadzać.

– To zrozumiałe. – Carlyle pokiwał głową niczym wcielenie zdrowego rozsądku.

Rosanna przesunęła palcem wskazującym po krawędzi kubka.

– Jesteś mi winien przysługę, pamiętasz?

Zaczyna się, pomyślał Carlyle. Od początku czekał na ten moment, więc teraz skinął tylko głową.

– Jeśli mi pomożesz, będziemy kwita. Co więcej, będziesz mógł występować w Kryminalnym Londynie, kiedy tylko zechcesz, choć oczywiście ta sprawa pozostanie między nami. Nowa seria zaczyna się w przyszłym tygodniu, moglibyśmy pokazać parę ciekawych historii.

– Zrobię, co będę mógł. – Carlyle się uśmiechnął. – I dziękuję, ale nie skorzystam. To nie dla mnie.

– Boże! – Rosanna przewróciła oczami, a on przyglądał się, jak pod cienką tkaniną bluzki falują jej piersi. – Jesteś chyba jedynym gliniarzem w Londynie, który nie chce się pokazywać w telewizji.

Skrzywił się lekko i powoli spuścił wzrok.

– Widzisz, moim zdaniem pokazywanie się w twoim programie, w jakimkolwiek programie, to publiczne przyznanie się do porażki.

– Niezupełnie. – Rosanna podnosiła do ust kubek z herbatą, lecz odstawiła go na stół. – Starasz się tylko wykorzystać telewizję w

dobrym celu.

– No dobrze, a jak często przynosi to jakieś rezultaty?

Rosanna milczała przez moment.

– Cóż...

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zadała sobie to pytanie. Jej program był w rzeczywistości tylko tanią rozrywką. Kogo obchodzi, czy udało się dzięki niemu złapać jakichś przestępców? Odsunął jednak od siebie te myśli – nie przyszedł tu, by ją rozliczać.

– Zaangażowałem się w sprawę Jake'a Haggera – powiedział, zmieniając temat. – Nie prowadzę jej, ale znam matkę.

– Ach tak, mały chłopiec, którego ojciec porwał z przedszkola.

– Zajmowałaś się tym?

– Nie, mieliśmy przerwę w emisji. Ale możemy pokazać tę historię w nowej serii, jeśli chcesz.

– Obawiam się, że już za późno.

– Dlaczego? – Przyjrzała mu się uważnie, zadowolona, że może porozmawiać o problemach kogoś innego. – Myślisz, że nie żyje?

Carlyle parsknął.

– Czasami zastanawiam się, czy nie wolałbym, żeby tak właśnie było.

– Ale... – Na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. – Boże, to straszne!

Carlyle wzruszył ramionami.

– Może podchodzisz do tego zbyt pesymistycznie? – rzekła po chwili. – W końcu nie zajmujesz się na co dzień takimi sprawami. Wiele dzieci udaje się odnaleźć. Statystycznie rzecz biorąc, co roku w Wielkiej Brytanii zostaje uprowadzonych około pięciuset dzieci. Prawie we wszystkich przypadkach porywaczami są rozczarowani rodzice, których pozbawiono praw rodzicielskich. Rzecz godna potępienia, ale zupełnie inna od tego, co masz na myśli.

Carlyle spojrzał na swoją pustą filiżankę.

– Nie jestem ekspertem, ale wierz mi, ostatnią rzeczą, jakiej chciałby Michael Hagger, jest opieka nad tym dzieckiem. Albo spróbował je sprzedać, albo wykorzystać w taki czy inny sposób w swoich podejrzanych interesach.

– Boże... – Rosanna włożyła palec do zimnej herbaty i zaczęła ją bezmyślnie mieszać. – W porównaniu z tym mój mały problem wydaje

się raczej żałosny, prawda?

Owszem, pomyślał Carlyle.

– Wcale nie – powiedział. – Ale najgorsze są sprawy związane z dziećmi. Zrozumiesz to, gdy zostaniesz mamą. – Uśmiechnął się do niej.

Rosanna posmutniała.

– Gdybym powiedziała Joshowi, że chcę mieć dzieci, pewnie kupiłby mi kota.

– Cóż... – mruknął Carlyle, wchodząc niechętnie w rolę ojca. – Gdybym kiedykolwiek miał okazję rozmawiać z nim na ten temat, powiedziałbym mu, że nie powinien się o nic martwić i robić swoje, a to akurat jest całkiem przyjemne.

– Inspektorze! – Dziennikarka się zaczerwieniła.

– To prawda. – Carlyle uśmiechnął się rad, że choć trochę ją rozweselił.

– Josh wcale nie byłby zadowolony.

Carlyle spojrzał na ulicę i rozsiadł się wygodniej.

– Mógłbym też wysłać do niego paru osiłków z kijami baseballowymi. Gdyby zagrozili, że połamią mu nogi, może zmieniłby zdanie.

Rosanna parsknęła śmiechem.

– Pewnie znasz wielu takich ludzi.

– Owszem – przyznał, starając się, by nie zabrzmiało to jak przechwałka.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Myślisz, że uda się znaleźć Jake'a Haggera? – spytała w końcu Rosanna.

Pamiętaj, że ona jest dziennikarką, upomniał się w duchu inspektor.

– Tylko między nami?

– Oczywiście.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Moim zdaniem szanse są tak małe, że właściwie nie warto o nich wspominać.

– Rozumiem.

Spojrzał na zegarek. Powinien już wracać do komisariatu i zająć się Henrym Millsem, ale jakoś nie mógł się zmobilizować. Wyglądało na to, że Rosanna również nie spieszy się do pracy.

– No dobrze, a jak tam twoi kumple z rządu? – spytał po chwili. – Spędzasz sporo czasu na Downing Street?

Rosanna zauważyła na ulicy jakąś znajomą i pomachała do niej, a dopiero potem spojrzała na Carlyle'a.

– Prawdę mówiąc, do tej pory byłam tam tylko dwa razy. Miłe spotkania, ale bez większego znaczenia. Bardzo dobrze znam szefa public relations premiera. Mogłabym ci załatwić zaproszenie, gdybyś chciał.

Ciekawe, co pomyślałaby o tym Simpson... Inspektor uśmiechnął się w duchu.

– Dziękuję, będę o tym pamiętał.

Rosanna oparła łokcie na stole i pochyliła się w jego stronę.

– Wydaje mi się, że nie bawi ich to tak bardzo, jak przypuszczali.

Biedactwa, pomyślał Carlyle.

– Edgar nie może sobie z tym wszystkim poradzić – ciągnęła. – Biedak jest opętany myślą, że został zdemaskowany, i że ludzie mają go za idiotę – jakby tylko geniusze byli premierami. Za każdym razem, gdy jego notowania spadają, czeka, aż w drzwiach pojawi się Christian i zabierze mu posadę.

– Wydawało mi się, że burmistrz Londynu ma wystarczająco dużo spraw na głowie – odrzekł Carlyle, ciekaw kolejnych rewelacji.

– Ależ skąd, przecież to jak praca na pół etatu. Człowiek czynu pokroju Christiana nie ma co robić na takiej posadzie. Tak naprawdę stara się tylko odwieść maszynistów metra od strajku, choć i tak nic to nie da, no i podwyższyć opłatę za wjazd do centrum Londynu, z czego i tak chce zrezygnować.

– Więc co właściwie robi? – spytał Carlyle.

Rosanna zatrzepotała rzęsami.

– Prawdę mówiąc, Christian Holyrod jest po prostu wyjątkowy. W tej pracy nie może się w pełni zrealizować. Jest żołnierzem z krwi i kości, chce działać na większą skalę.

– Rozumiem – mruknął Carlyle, choć jego zdaniem nie miało to większego sensu.

– Sporo osiągnął, odkąd został burmistrzem.

– Na przykład?

– Cóż, przede wszystkim został politykiem numer dwa w kraju. Ponadto objął stanowisko dyrektora konsultanta w kilku ważnych

firmach.

– To zgodne z prawem?

– Oczywiście. Politycy muszą przecież utrzymywać kontakt z rzeczywistością i obserwować, jak prowadzi się interesy. W końcu tak właśnie osiąga się bogactwo.

A ja się tyle razy nad tym zastanawiałem... – pomyślał Carlyle.

– Poza tym, jeśli politycy dobrze zarabiają, można mieć nadzieję, że nie będą korzystali z państwowych pieniędzy – podsumowała Rosanna z uśmiechem.

– Słusznie. – Carlyle też się uśmiechnął. – W jakich branżach pracuje Holyrod?

– Bardzo różnych. W mediach, rolnictwie, lotnictwie...

– Interesujące. Przy najbliższej okazji pozdrów ode mnie Edgara i Christiana.

Rosanna położyła dłoń na jego przedramieniu.

– Proszę, nie zrozum mnie źle, ale lepiej, żebyś się im nie przypominał jeszcze przez jakiś czas.

Wspominając kontakty z oboma politykami – przy okazji poprzedniej sprawy – Carlyle skłonił uprzejmie głowę.

– Oczywiście, nie zamierzam się narzucać. Rozumiem więc, że nie mam co marzyć o zaproszeniu na Downing Street?

– Dlaczego?

– A mam jakieś szanse?

– Mogłabym coś wykombinować. Wiesz, jakaś impreza charytatywna organizowana przez żonę Edgara, kiedy on będzie za granicą, czy coś w tym rodzaju.

Carlyle zrobił urażoną minę.

– To nie byłoby to samo.

Rosanna pokręciła głową.

– Wydaje mi się, że ty po prostu lubisz kłopoty – powiedziała z uśmiechem, po czym szybko spoważniała. – Muszę już iść. Dziękuję za spotkanie.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał Carlyle. – Porozmawiam z tą Singleton i wtedy pomyślę, co dalej. Kiedy znów zobaczysz tego swojego faceta, od razu do mnie zadzwoń.

– To nie jest mój facet.

Podniósł ręce w pojednawczym geście.

- Wiesz, co mam na myśli. Po prostu zadzwoń.
- Zrobię to.
- Przydałoby mi się jego nazwisko. Może powinien być pod opieką lekarza? Może nie zażywa lekarstw i potrzebuje pomocy.
- Hm... - Dziennikarka nie wyglądała na przekonaną. W końcu chodzi przecież o jej potrzeby, a nie potrzeby człowieka, który ją prześladowuje.
- Jeśli tylko coś się zmieni albo dowiesz się czegoś więcej, daj mi znać. - Odsunął krzesło od stołu i wstał, strzepując okruszki ze spodni. - Ale sama do niego nie podchodź. Trzymaj się na dystans i nie ryzykuj.
- Tak jest! - Zasalutowała z uśmiechem. Carlyle zauważył z zadowoleniem, że w jej oczach pojawił się na moment dobrze mu znany blask. Wstała, zarzuciła torbę na ramię i założyła okulary. Potem pochyliła się nad stołem i pocałowała inspektora w policzek. - Dziękuję ci. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna. Sama świadomość, że zajmujesz się tą sprawą, to dla mnie wielka pociecha.
- Tą sprawą? Carlyle poczuł, że się czerwieni.
- Wszystko b-b-będzie dobrze - wyjąkał, odwracając się do drzwi. - Odezwę się wkrótce.

Noc spędzona w celi nie zachęciła Henry'ego Millsa do zmiany zeznań. Twierdził z uporem, że kiedy jego żona umierała w kuchni, on spał snem sprawiedliwego. Carlyle, którego ani to szczególnie nie zaskoczyło, ani nie rozczarowało, oskarżył go oficjalnie o morderstwo i wrócił na górę, odwalić papierkową robotę. Z zadowoleniem myślał o tym, że za kilka godzin sprawą Millsa będzie się już zajmował ktoś inny.

Czekał, aż uruchomi się jego komputer, gdy podszedł do niego Joe Szyszlcowski z niebieską tekturową teczką pod pachą.

– Co masz ciekawego? – spytał Carlyle bez zbędnych wstępów.

Joe przysiadł na brzegu biurka, otworzył teczkę i przerzucił kilka kartek.

– Wygląda na to, że ta chilijska historia to nie jest tylko jego wymysł – powiedział.

– Tak? – mruknął bez zainteresowania inspektor wpatrzony w monitor.

– Agatha Mills miała brata – ciągnął Joe, nie zwracając uwagi na lekceważącą postawę szefa. – Nazywał się William Pettigrew. Mieli ojca Chilijczyka i matkę Angielkę.

– Pettigrew? To nie jest chyba typowe chilijskie nazwisko.

– Gdzieś tam w tle jest szkocki pradziadek albo prapradziadek – wyjaśnił Joe. – W latach czterdziestych i pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku przyłynęła tam spora grupa szkockich rolników. A chilijską marynarkę wojenną stworzył Szkot, lord Cochrane, gdy Chilijczycy walczyli z Hiszpanami o niepodległość.

– Interesujące. – Carlyle pokiwał z podziwem głową.

– Wikipedia to potęga. – Joe wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że zawsze utrzymywaliśmy bliskie stosunki z Chile. Wysłali nawet swoich ludzi do Iraku.

– Jezu! Po co im to?

– Nie wiem. Tak czy inaczej, William został katolickim księdzem w Valparaiso, mieście portowym na północ od Santiago. Zniknął w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku w czasie wojskowego zamachu stanu, kiedy armia obaliła rząd.

– Tak, tak się zwykle dzieje podczas wojskowego zamachu stanu – wtrącił Carlyle ze śmiertelnie poważną miną.

Joe nie dał się sprowokować.

– Rodzinie powiedziano w końcu, że William Pettigrew nie żyje, ale jego ciała nigdy nie odnaleziono.

– Cóż, to też zdarza się dość często.

– Ale Agatha Mills przez ostatnie trzydzieści lat kursowała między Londynem i Chile, próbując się dowiedzieć, co właściwie stało się z jej bratem i kto go zabił. Nigdy nie straciła nadziei, że postawi zabójców przed sądem.

– Powodzenia – mruknął Carlyle.

– Mimo wszystko kobieta zasługuje na szacunek. Zajmowała się tym przez dziesięciolecia, choć wiele razy dostawała pogróżki od chilijskich wojskowych.

– Grozili jej śmiercią? – Carlyle nieco się ożywił.

– Tak... przynajmniej tak wynika z reportaży prasowych. Wtedy były to raczej drobiazgi, a to ukradli jej laptop, a to pocięli opony w samochodzie. Ale czytałem też, że dostała kiedyś list z pociskami.

– Prasa to nie jest wiarygodne źródło – parsknął Carlyle. – Nie będę rozpoczynał nowego śledztwa tylko na podstawie kilku wycinków z prasy.

– Nie – zgodził się Joe. – Ale mimo wszystko...

Inspektor burknął coś pod nosem.

– To ty kazałeś mi to sprawdzić – zauważył Joe.

– No dobra – prychnął Carlyle. – Wkurzyła paru Chilijczyków, którym tęskno do starych dobrych czasów pod rządami generała... – Umilkł, szukając w pamięci nazwiska. – Tego koleżki Maggie Thatcher.

– Pinocheta.

– O właśnie, Pinocheta.

– Zdaje się, że parę lat temu aresztowano go w Londynie – przypomniał sobie Joe. – Kiedy korzystał z naszej wspaniałej brytyjskiej gościnności.

Carlyle uniósł brwi.

- I?
- I nic. Burza w szklance wody, a potem wrócił do domu.
- I mu się upiekło. - Carlyle westchnął.
- Chyba tak.
- Zawsze tak jest.
- Zwycięzców nie sądzą.
- Tak, masz rację, Josephie. - Inspektor poświęcił chwilę na rozmyślanie nad niesprawiedliwością losu. - Czy on już przypadkiem nie umarł?
- Pinochet? - Joe się skrzywił. - Nie mam pojęcia.
- Tak czy inaczej - rozmyślał głośno Carlyle, nieco bardziej zainteresowany tą historią - wszystko to działo się dawno, dawno temu. Dlaczego ktokolwiek prócz Agathy Mills, lojalnej siostry, miałby się tym przejmować?
- Bo Chile ma nowego prezydenta - odparł sierżant. - Kobieta i socjalistkę.
- Interesujące połączenie - uznał Carlyle, który wciąż nie widział związku tego faktu ze sprawą.
- Sama była ofiarą tortur - tłumaczył Joe. - Kazała wznowić śledztwa w sprawach takich jak śmierć Williama Pettigrew.
- Rozumiem...
- Rewizja sprawy Pettigrew zakończyła się w zeszłym roku. Ustalono, że z całą pewnością był torturowany, a potem zastrzelony na pokładzie okrętu marynarki wojennej o nazwie... - sierżant zajrzał do notatek - „Biała Dama”.
- Co mu robili?
- Pewnie to, co zwykle. Razili prądem jądra i tak dalej.
- Przydałoby się nam to na dole. - Carlyle uśmiechnął się szelmowsko.
- To były inne czasy.
- Mówisz tak, jakbyś coś o tym wiedział - droczył się z nim inspektor. - Ile wtedy miałaś? Rok?
- Za to ty na pewno doskonale to pamiętasz - odparował Joe.
- Odwal się! Nie jestem aż taki stary.
- Tylko tak staro wyglądasz.
- To dlatego, że pracuję z tobą, słoneczko. - Wrócił myślami do 1973 roku. Co pamiętał z tamtych czasów? Niewiele. Na pewno nie miał

pojęcia, co działo się w małym kraju na drugim krańcu świata.

– Tak czy inaczej – Joe wrócił do tematu – w zeszłym roku sędzia kazał aresztować dwóch oficerów marynarki wojennej.

– Nazwiska?

– Nie znam. Ale jesienią mają odpowiadać przed sądem za zamordowanie Williama Pettigrew.

– Po tylu latach?

– Są świadkowie, którzy chcą zeznawać na tym procesie.

– No dobrze, więc rodzina w końcu doczeka się sprawiedliwości, ale po co ktoś miałby zabijać Agathę Mills? Przecież ona nie miała być świadkiem. – Spojrzał pytająco na Joego. – Zgadza się?

– O ile mi wiadomo, nie.

– No właśnie, więc nie mogłaby nikomu zaszkodzić.

– Ale właściwie to dzięki niej sprawa trafiła do sądu – wyjaśnił Joe. – Może ludzie, którzy to zrobili, wciąż żyją. Może chcieli ją powstrzymać albo zastraszyć innych świadków. Motywy mogły być różne.

„Oni”. Gdy tylko człowiek wchodzi w konflikt z „nimi”, może być pewny, że czekają go kłopoty.

– Może. – Calryle odchylił się na krześle i założył ręce za głowę. – Może, może, może. Spisek osiemdziesięcioletnich faszystów? To mało przekonujące.

– Wiem.

– Więc co nam właściwie mówi ta mała lekcja historii? Że pani Mills, z domu Pettigrew, miała ciekawe życie.

Joe skinął głową.

– Jakaś osoba, lub osoby, z chilijskiej prawicy miały... co? Powiedzmy, możliwy...

– Teoretyczny – wtrącił sierżant.

– Teoretyczny motyw, żeby ją zabić. Ale czy mamy jakiegokolwiek dowody, że tamtej nocy w jej mieszkaniu był ktoś oprócz Agathy Mills i jej męża?

– Nie.

– Czy ktokolwiek informował nas o jakichś podejrzanych obcokrajowcach, którzy podejrzenie się zachowywali? Może mamrotali coś po hiszpańsku? Maszerowali krokiem defiladowym i tulili do piersi zdjęcie El General?

– Nie.

- Jakieś nagrania z telewizji przemysłowej?
- Nie. Kamery w Ridgemount Mansions są tam tylko na pokaz – wyjaśnił Joe. – Nie są do niczego podłączone. Inaczej wzrósłby czynsz.
- A co z kamerami na ulicy? Codziennie przechodzą tamtędy tysiące turystów. Na pewno zdarzają się napady. I na pewno ktoś to nagrywa.

Joe wzruszył ramionami.

- O ile mi wiadomo, nikt tego nie sprawdzał. Chcesz, żebyśmy to zrobili?

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie. To by za długo trwało. Coś jeszcze?

- Nie. – Joe uporządkował papiery, zamknął teczkę i położył ją na biurku inspektora.

- No dobrze. – Carlyle westchnął. – Pamiętajmy o zasadzie numer jeden naszego zawodu. Najpierw zawsze trzymamy się najoczywistszego wyjaśnienia. – Usiadł prosto, gotów podjąć nierówną walkę z okropnym systemem informatycznym policji metropolitalnej.

Nadszedł czas złożenia raportu.

- Henry Mills został oskarżony. Teraz jest w rękach wymiaru sprawiedliwości. A tymczasem my, mój mały Sancho Panso, zajmujemy się czym innym.

Na twarzy Joego odmalowało się zdumienie.

- Co?

Carlyle napisał tylko kilka akapitów raportu, bo szybko się tym znudził i zaczął czytać najnowsze plotki ze świata piłki nożnej na stronach BBC. Potem zdecydował, że raport może poczekać do następnego dnia, a siłownia nie. Obiecał sobie, że nazajutrz przyjdzie wcześniej, żeby się tym zająć, i że jeszcze przed lunchem cała dokumentacja trafi na biurko komendant Carole Simpson.

Kiedy szedł do wyjścia, zauważył znajomego policjanta, który prowadził śledztwo w sprawie Jake'a Haggera. Komisarz Oliver Cutler pracował w policji metropolitalnej od dwunastu lat, a na początku roku przeniesiono go do komisariatu Charing Cross. Ubrany w marynarkę, zmierzał zdecydowanym krokiem do windy, jakby i on wybierał się już do domu. Carlyle przyspieszył i go dogonił.

- Cutler!

Komisarz zerknął w jego stronę, ale nie zwolnił.

- Tak?

- Carlyle.

- Wiem.

Zatrzymali się przy windzie. Cutler nacisnął guzik i milczał.

- Chodzi o Jake'a Haggera.

- A tobie co do tego? - warknął Cutler, nie odrywając wzroku od drzwi windy.

Właściwie Carlyle nigdy mu się dobrze nie przyjrzał. Cutler był drobnym mężczyzną, wyglądał na zmęczonego i znudzonego, jak ktoś, kto w krótszej perspektywie czasowej chce jak najszybciej wypić kufel piwa London Pride, które czeka już na niego w pubie Sherlock Holmes za rogiem, a w dłuższej marzy o jak najszybszej i jak najwyższej emeryturze. Z pewnością nie należał do ludzi, którym Carlyle powierzyłby jakąś sprawę, gdyby naprawdę zależało mu na jej rozwiązaniu.

Cutler znów wcisnął guzik w nadziei, że przybycie windy uwolni go od niechcianego towarzystwa.

- Znam matkę - wyjaśnił Carlyle.

- Stały klient, tak? - Komisarz uśmiechnął się drwiąco.

- Ojciec twierdzi, że chce go sprzedać - powiedział spokojnie inspektor, ignorując kiepski żart.

Cutler wzruszył ramionami.

- Takie tam gadanie.

Carlyle zajął pozycję przy drzwiach windy.

- Nie wydaje mi się. Hagger nie trzymałby chłopca tak długo. Nie umiałby opiekować się dzieckiem nawet przez dziesięć minut.

- Może wyjechali z kraju?

- Żaden z nich nie ma paszportu.

- Da się to zrobić i bez paszportów - zauważył Carlyle.

- Hagger to drobny kryminalista, a nie mafioso z międzynarodowymi powiązaniem. Nie jeździ dalej niż na Camden High Street. - Cutler podrapał się w roztargnieniu po nosie. - No cóż, jeśli rzeczywiście go sprzedał, to już po sprawie. Ale wątpię w to. Nie wydaje mi się, żeby znał zbyt wiele par, które chcą adoptować dziecko.

- Raczej nie.

– Więc jakiś zboczeniec pewnie już się zabawiał z tym biednym gnojkiem – powiedział Cutler bez cienia współczucia. – W takim wypadku jego ciało najprawdopodobniej leży już na dnie West Reservoir.

Carlyle skinął głową. Na przestrzeni lat kilka razy wylawiał szczątki ofiar z zamkniętego zbiornika. Kilka kilometrów dalej, w Stoke Newington, zbiornik był wykorzystywany jako ośrodek sportów wodnych. Carlyle nigdy tam nie był – „zaciszne” otoczenie przyciągało przestępców i dziwaków różnego autoramentu. Uważano powszechnie, że gdyby osuszyć West Reservoir, znaleziono by tam znacznie więcej ludzkich szczątków.

– Takich spraw jest tyle – ciągnął Cutler – że ludzie już się nimi nie przejmują. A nawet gdyby się przejmowali, to społeczeństwo, jak sam dobrze wiesz, do niczego się nie przydaje. Nikt nie zwraca uwagi na to, co dzieje się dokoła.

– Więc sprawa jest zamknięta? – spytał Carlyle.

Cutler patrzył w jakiś punkt ponad ramieniem inspektora.

– Nie, ale jakby już właściwie była. Chyba że coś dla mnie masz?

– Nie, ale obiecałem Sam Laidlaw, że popytam o jej synka. Jeśli coś się pojawi, dam ci znać.

– Wiedziałem. – Cutler się uśmiechnął. Wreszcie przyjechała winda i mógł do niej wsiąść. – Przeleć ją też ode mnie.

Kołysząc się na piętach, Carlyle czekał, aż zamkną się drzwi. Potem odetchnął głęboko i ruszył w stronę schodów.

Zakuty w kajdanki, ale wciąż w swoim ubraniu, Henry Mills wyszedł na wewnętrzny dziedziniec komisariatu Charing Cross. Prowadziło go dwóch strażników, a za nim szli jeszcze dwaj inni więźniowie, dziewiętnastoletni uliczny bandyta uzależniony od wączania kleju i pięćdziesięciodwuletni złodziejaszek. Wszystkich trzech zamierzano przewieźć przez Londyn do Wormwood Scrubs, wiktoriańskiego więzienia, gdzie mieli czekać na procesy.

Dochodziła dopiero ósma rano i w cieniu budynku było przejmująco chłodno. Mills drżał lekko, ale jednocześnie głęboko oddychał. Po raz pierwszy od niemal dwóch dni miał okazję zaczerpnąć świeżego powietrza i doceniał to. Noc, którą spędził w celi, była wyjątkowo nieprzyjemna. Obfitość środków dezynfekujących, których użyto, nie mogła zabić smrodu kału. Przez ostatnie dwanaście godzin oddychał przez usta i w ogóle nie spał. Nie miał też okazji umyć się ani ogolić. Najgorsze było to, że nie mógł też umyć zębów i teraz czuł się tak, jakby w jego ustach zdechło jakieś zwierzę.

Przesuwając się do przodu drobnymi, niemal dziecięcymi krokami, starał się skupić wyłącznie na wąskim pasie asfaltu pod stopami.

– Stój! – Jeden ze strażników, wychudzony skin o imieniu Jeremy, z wytatuowanym aniołem na karku, podniósł rękę.

Drugi strażnik wyszedł zza więźniów i spojrzał posepnie na pojazdy policyjne zgromadzone na dziedzińcu.

– Gdzie jest furgonetka?

Odwrócił się do mechanika, który grzebał właśnie pod maską hybrydowej toyoty priusa.

– Hej, kolego! – zawołał, wskazując głową więźniów. – Gdzie jest transport dla naszych miłych gości?

Mechanik wyprostował się i spojrzał na niego pytająco.

– Co?

– Furgonetka do Scrubs.

– A, jest na zewnątrz. – Mechanik wskazał kluczem zamkniętą bramę dziedzińca. – Nie mogli wjechać do środka, bo jakiś geniusz zaparkował przed wjazdem. Czekamy, aż go odholują.

Strażnicy spojrzeli po sobie.

Mills podniósł na nich wzrok. Za nic w świecie nie chciał wracać do celi.

Jeden z dwóch pozostałych więźniów, dziewiętnastolatek, pierdnął wyjątkowo głośno i przeciągle, na co złodziejaszek zareagował gromkim ochrypłym śmiechem.

– Będę ich wyprowadzał pojedynczo – zdecydował po chwili Jeremy.
– Ty pilnuj pozostałych.

– Dobra. – Jego kolega skinął głową. – Kończę zmianę o wpół do dziesiątej, dobrze byłoby się uwinąć do tej pory.

Jeremy położył dłoń na ramieniu Millsa.

– Chodź, słońce – powiedział, wskazując drzwi obok głównej bramy.
– Tam.

Niecałą minutę później Henry Mills był na ulicy, w realnym świecie, który, jak mu się wydawało, opuścił już na dobre. Zmrużył oczy przed słońcem i się rozejrzał. Jakaś para spiesząca się do pracy minęła go bez najmniejszego zainteresowania, ulicą przemknęła taksówka. Życie toczyło się normalnym trybem.

Więzienna furgonetka stała dziesięć metrów od bramy, widoczna z daleka ponad innymi autami zaparkowanymi przy Chandos Place. Jeremy kopnął bez przekonania skodę yeti zaparkowaną przed bramą i poprowadził Millsa do furgonetki, po drodze pozdrawiając kierowcę skinieniem głowy. Mills czekał cierpliwie na chodniku, podczas gdy strażnik wspiął się na pomost i pociągnął za tylne drzwi auta.

Nawet nie drgnęły.

– Chryste! – Jeremy zeskoczył na chodnik i podbiegł do kabiny. – Są zamknięte na klucz! – krzyknął do kierowcy. – Otwórz je!

Nagle na ulicy pojawiła się niebieska furgonetka przewożąca kwiaty, która zmierzała w ich stronę. Mills spojrzął na kierowcę, który rozmawiał z ożywieniem przez komórkę, kierując jedną ręką. Czy to nie wbrew przepisom? – zastanawiał się przez moment więzień. Tak czy inaczej, kierowca jechał za szybko. Co więcej, dodał jeszcze gazu, a jakaś kobieta, która przechodziła właśnie przez ulicę, wskoczyła wystraszona na krawężnik. Ignorując pisk opon i klakson, Henry Mills

uśmiechnął się do siebie. Spojrzał na błękitne niebo i poczuł, jak się ku niemu unosi. Zamrugał szybko, odpędzając natrętne łzy. Słyszał, jak furgonetka z kwiatami pędzi w jego stronę. Wiedział, że właśnie nadszedł jego czas.

– Idę do ciebie, Agatho – wyszeptał, po czym wyszedł na środek ulicy i zamknął oczy.

Przez kilka pierwszych dni pobytu Williama Pettigrew na pokładzie „Białej Damy” jego oprawcy realizowali rygorystyczny program pozbawiania snu. Regularnie bili i polewali swoje ofiary zimną wodą z węża. Co godzina robili zbiórkę i liczyli więźniów. Jeśli ktoś przysnął w tym czasie w hamaku, marynarz zwany Ptakiem Tortur walił w metalowe drzwi i przeganiał w ten sposób sen. Więźniów karmiono raz dziennie: podawano im wodę i rzadką owsiankę. Niektórzy zjadali wszystko, większość jednak grzebała tylko w talerzach bez większego zainteresowania. Zawsze zostawało mnóstwo jedzenia dla mew.

Co jakiś czas w celi pojawiała się grupa marynarzy i zabierali trzy lub cztery osoby na niższy pokład, do kajut zamienionych w sale tortur. Nie dało się uciec od dobiegających z dołu krzyków i jęków ludzi rażonych prądem. Przesłuchanie mogło trwać dwadzieścia minut, ale mogło się też przeciągnąć do dziesięciu godzin. Później niektóre ofiary wracały do celi, inne nie.

Kiedy Pettigrew po raz pierwszy trafił do sali tortur, wypróżnił się, gdy tylko metalowy oścień dotknął jego jąder. Jego oprawcy śmiali się, a potem kazali mu zjeść własny kał. Śmiali się jeszcze bardziej, kiedy natychmiast wszystko zwrócił. Wtedy kazali mu zjeść wymiociny. Próbował, ale tym razem nie mógł nawet wziąć tego do ust. Po serii przekleństw, kopniaków i szturchnięć polali go wodą z węża.

I znów zaczęli razić go prądem, tym razem w odbytu. Zaczął srać krwią, na podłodze pojawiały się kolejne czerwone plamy, które błyskawicznie ciemniały i krzepły w upale. To znów bardzo rozbawiło marynarzy. I znów polali go wodą. Tym razem chętnie się temu poddał. Przynajmniej był czysty.

Rzadko o coś go pytali, a jeśli już, to były to pytania powierzchowne i nieistotne. Nie zależało im na gromadzeniu informacji, jego odpowiedzi ich nie interesowały. Musieli przesłuchać wielu ludzi, więc

nie mogli poświęcać im zbyt dużo czasu. Nikogo nie obchodziło, co ma do powiedzenia. Nikt niczego nie nagrywał ani nie zapisywał. Był jak mucha, której banda okrutnych dzieciaków wyrzywa skrzydła.

Wszystko to było jedną wielką farsą. Pettigrew zamknął się w sobie. Czuł ból, ale w ogóle o nim nie myślał. Nie miał do powiedzenia niczego, co ci ludzie mogliby uznać za przydatne, nie znajdował w sobie żadnej myśli, która mogłaby w nim wyzwolić determinację, wolę życia. Chodziło tylko o to, żeby przez to przejść, zostawić za sobą.

Jedyne pytanie, jakie mu zadawali, brzmiało: „Co wiesz?”

– Nie wiem nic – odpowiadał tak spokojnie, jak tylko mógł.

– Co wiesz?

– Nie wiem nic. – Właściwie było to zgodne z prawdą, nawet na samym początku. Kiedy zadawali mu to pytanie po raz trzeci lub czwarty, z trudem przypominał sobie, jak ma na imię.

Uderzali go wtedy kilkakrotnie, czasem razili prądem, i znów pytali:

– Co wiesz?

Uderzenie.

– Nie wiem... nic. – Pettigrew nie potrafił niczego wymyślić. Jakieś nazwiska? A czy ktokolwiek jeszcze został, nim do niego dotarli? Kogo mogli pominąć?

– Co wiesz?

Uderzenie.

– Nic.

Pettigrew nie chciał zresztą zmyślać. Wiedział, że gdyby zaczął podawać jakiegokolwiek „informacje”, to tylko przedłużyłoby mękę, a on chciał, by to wszystko jak najszybciej się skończyło.

– Co wiesz?

Uderzenie.

– Co wiesz?

Nie miał nic więcej do powiedzenia. Nie znajdował słów. Wracał do czasów, gdy nie było jeszcze języka, nie było słów – gdy jedyne, co można było robić, to wyc.

Po drugiej sesji tortur powiedziano Pettigrew, że zostanie natychmiast zastrzelony, bo był „pierdoloną komunistyczną kurwą”, zdrajcą Kościoła i zdrajcą kraju.

Zawiązali mu oczy i postawili pod ścianą. Ktoś stanął przed nim i powiedział cicho:

– To twój koniec. Teraz wracają dobrzy księża. Ci, którym Allende zabronił nauczać, ci, którzy nie mogli spowiadać, ci, którzy musieli pracować jako taksówkarze, żeby zarobić na życie. Mówię o księżach, którzy bronili Sądu Najwyższego i Konstytucji Republiki Chile, którzy sprzeciwiali się powstaniu komunistycznego państwa. Mówię o tych, którzy kochają Kościół i nie chcą, żeby zniszczyli go tacy pierdoleni zboczeńcy jak ty.

Pettigrew milczał. W głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: nareszcie koniec.

– Zrozum: marksistowska inwazja na Kościół właśnie się kończy. Teologia wyzwolenia umarła.

Czuł, jak ogarnia go radosne podniecenie, serce bije coraz szybciej. „Dziękuję, Boże”.

– Już nie żyjesz.

Głos zamilkł, zapadła cisza, która przeciągała się przez pięć, dziesięć, piętnaście sekund. Rozległ się trzask odbezpieczanego pistoletu. Ktoś krzyknął:

– Ognia!

W górze rozległ się krzyk mewy.

Drżał, nie rozumiał, dlaczego wciąż żyje. Powinien być już martwy.

Kiedy wracał do hamaka, ktoś uderzył go w głowę, przekonany, że jego szloch to wyraz ulgi, a nie rozczarowania.

Oprawcy Pettigrew się znudzili. Po piątej sesji zostawili go przykutego do metalowej ramy łóżka, z kapturem na głowie. W pewnym momencie usłyszał krzyki, tupot nóg i odgłosy krzątania. Powoli podnoszono kotwicę.

Po chwili drzwi kajuty się otworzyły. Pettigrew usłyszał kilka podnieconych młodych głosów. Wprowadzili kobietę i przykuli ją do łóżka obok niego. Potem kłócili się, kto będzie pierwszy.

Nie widział nikogo prócz kilku niewyraźnych sylwetek przesuwających się na obrzeżu jego pola widzenia.

Ale słyszał jej krzyki.

A może już umarł? Umarł i trafił do piekła? Odgłosy były okropne, ale zapach jeszcze gorszy. Stracił rachubę, kiedy zgwałcili ją po raz

piąty. Większość uwijała się szybko, ale jeden robił to przez całą wieczność.

– Pospiesz się, Julio – drwił jeden z jego towarzyszy. – Później znajdziemy ci następną.

– Możesz też zająć się nim – powiedział ktoś inny, kopiąc w ramę łóżka Pettigrew z taką siłą, że aż uniosła się nad podłogę. – Przewróć go tylko na brzuch, a nawet nie zauważysz różnicy.

Usłyszał śmiech, a potem poczuł ślinę na klatce piersiowej.

Inny głos, nieco bliżej, powiedział:

– Co ty na to, księżulku? Możesz być następny. Jeśli jesteś jeszcze wystarczająco ciasny, oczywiście.

W końcu sobie poszli. Gdy zamknęli za sobą drzwi, słyszał jej szloch.

Potem zawodzenie.

Potem już nic.

Jakiś czas później przesunął głowę w kierunku kobiety. Ich łóżka dzieliło nie więcej niż piętnaście centymetrów. Była niemal tak blisko, że mógł jej dotknąć. Gdyby rozprostował palce lewej dłoni, musnęłyby nimi jej prawe przedramię. Starał się zignorować bicie serca, chrapliwy oddech i buczenie w uszach, skupił się na słuchaniu. Ale nie słyszał nic. Może była to kwestia jego słuchu – wielokrotnie uderzali go w uszy. Nazywali tę torturę „telefonem”. Może odebrał o jedno połączenie za dużo. Tak czy inaczej, cisza była prawdziwym błogosławieństwem. Miał nadzieję, że jego nieznana towarzyszka odeszła. Że śmierć okazała jej w końcu litość. Miał też nadzieję, że wkrótce i on doświadczy tej łaski. Mijały godziny, jego ciało pulsowało w łagodnym rytmie bólu. W pewnym momencie wyobraził sobie, że unosi się pod sufitem i patrzy z góry na łóżka: ramy bez materacy, koców i poduszek, nic prócz ich nagich, zakrwawionych, posiniaczonych ciał.

Chciał płakać, ale zabrakło mu łez.

Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć głosu.

Chciał opuścić to miejsce, ale nie mógł się ruszać.

Po chwili poczuł dotyk dłoni na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył posłańca z niebiańskiego dworu. Ubrany tylko w przepaskę na biodra, wyglądał jak mężczyzna z zatroskaną miną. Zawisł nad nim i spojrzał mu w oczy ciepło i serdecznie.

„Jestem Dyzma, twój anioł stróż”, powiedziała wizja.

Ksiądz uśmiechnął się do niego. Wiedział, że Dyzma był dobrym łotrem, którego ukrzyżowano obok Chrystusa na Golgocie i który towarzyszył mu potem w drodze do raju. Był jedynym człowiekiem kanonizowanym przez samego Jezusa. I patronem skazanych przestępców.

– Zabierz mnie ze sobą – zapłakał Pettigrew.

„Nie mogę. – Dyzma pogładził jedną ręką postrzępioną brodę, a drugą wskazał zmasakrowane ciało Pettigrew leżące na łóżku. – Musisz wrócić i stawić czoło udreće, której sam jesteś winny”.

– Ale ja niczemu nie jestem winny! – zaprotestował Pettigrew. – Jak możesz tak mówić?

„Mój synu – Dyzma uśmiechnął się smutno. – Zdradziłeś Kościół. Musisz pogodzić się ze swoim losem”.

– Nie! – Czuł, jak narasta w nim gniew, którego nie potrafili obudzić jego oprawcy, jak rozpala w nim na nowo wygasłe siły życiowe. – Kroczyłem śladami Chrystusa. Służyłem biednym. Właśnie dlatego tu jestem. Właśnie dlatego nie uciekłem, kiedy jeszcze mogłem to zrobić! Wiedziałem, że muszę być z nimi, bo taka jest rola kapłana. Nie zdradziłem Kościoła. To Kościół zdradził mnie!

„Cóż za pycha! Cóż za arogancja! – Dyzma ujął głowę Pettigrew w dłoń. Ksiądz poczuł, że robi mu się słabo. Pomieszczenie wypełniło się łagodnym białym światłem. – Musisz się cofnąć, by pójść do przodu. Dopiero wtedy będziesz mógł odpowiedzieć na miłość Boga i wejść do jego radości. Nie martw się. Od tej pory nie spotka cię żadne zło, a nieszczęścia omijać będą twój dom, bo Bóg polecił ci swym aniołom. Oni poniosą cię ku niebu. Oni będą strzec wszystkich ścieżek twoich”.

Pettigrew czuł, jak po policzkach spływają mu łzy. Gdy spojrzął w dół, zobaczył, że spadają na jego okaleczone ciało i zwilżają rany.

– Czy to może być prawda? – spytał.

„Czyń pokutę, synu – Dyzma się uśmiechnął. – Żałuj swojego nikczemnego życia. Zostań uosobieniem skruszonego złoczyńcy. Bóg gotów jest przebaczać bez końca. Dzięki Jego miłości nigdy nie jest za późno”.

– Dzięki Jego miłości... – powtórzył Pettigrew, szukając pocieszenia w twarzy wizji. Lecz Dyzma już się rozpląwał, łączył z białym

światłem. Ksiądz patrzył na jego znikającą sylwetkę i czekał, aż jego dusza powróci do ciała. Światło wypełniło go spokojem i miłością, wreszcie, wreszcie, wreszcie poczuł, że naprawdę znalazł się na drodze prowadzącej do nieba.

Kiedy wrócili, był gotowy. Słyszał odległe głosy – dwóch, może trzech ludzi. Zdjęli mu kajdanki. Roztarł nadgarstki i skrzyżował ręce na piersiach, ale nie ruszał się z łóżka. Natychmiast poczuł znajomy dotyk lufy na skroni.

– Wstawaj, Świnio!

Wciąż z kapturem na głowie, ksiądz powoli opuścił nogi na podłogę i stanął niepewnie. Kiedy zakręciło mu się w głowie i ogarnęły go mdłości, próbował usiąść, ale czyjaś ręka złapała go za kark i pchnęła do przodu.

– Wychodź!

Kiedy spuścił wzrok, zobaczył fragment poplamionej podłogi między swoimi posiniaczonymi stopami. Była przyjemnie chłodna. Gdy próbował przenieść cały ciężar ciała na którąś stopę, czuł straszliwy ból, powłóczył więc nogami, pokonując w ten sposób korytarz i wchodząc po schodach. Gdy znalazł się na pokładzie, przystanął, by zaczerpnąć powietrza.

– Ruszaj się!

Pokład był mokry, świeżo umyty, w powietrzu unosił się lekki zapach środków odkażających. Poczował łagodny dotyk słońca na plecach. Ktoś ściągnął mu kaptur z głowy. Ksiądz zmrużył oczy, oślepiiony. Spojrzał na swoje dłonie, na paznokcie, za którymi wciąż była zielona farba, i po raz pierwszy dotknął twarzy.

Gdzieś w górze krzyczały mewy. Niebo było łagodnie niebieskie. Nadchodziło lato.

Nieunikniony proces dobiegał końca.

To miał być ostatni akt procesu inkwizycyjnego, jego autodafe, akt wiary, skazanie i egzekucja jednocześnie. Pettigrew myślał o tym z uśmiechem. Właśnie w ten sposób ucieknie przed pułapką nienawiści i zemsty.

Jeden z marynarzy wskazał otwartą bramkę w relingu. Pettigrew podszedł do tego miejsca i spojrzał w dół. Od powierzchni wody dzieliło go jakieś dwadzieścia metrów. Przed nim rozciągała się tafla

Oceanu Spokojnego. Po lewej widać było wybrzeże. Przypuszczał, że znajdują się w odległości około półtora kilometra od Valparaiso. Pomyślał o Cerro Los Placeres, o tym, co za sobą zostawia. O tym, co już zostawił, o rodzicach, siostrze. Co będą o nim myśleli? Jak go będą opłakiwali?

– Odwróć się.

Wykonał polecenie i spojrział spokojnie na swoich katów. Było ich czterech. Trzech mierzyło z karabinów w jego pierś. Wyglądali na śmiertelnie przerażonych, jakby ten wyczerpany, nagi, oszołomiony i zmasakrowany mężczyzna mógł nagle wpaść w szal i się na nich rzucić.

Pettigrew patrzył wyczekująco. Ci trzej byli jeszcze nastolatkami, mieli okrągłe, gładkie twarze. Nie tak dawno temu wyglądał tak jak oni. Ale ci chłopcy nie byli tacy jak on. Byli oprawcami, mordercami, kłamcami i złodziejami. Brakowało im czegoś, co uczyniłoby z nich prawdziwych ludzi. Nie potrafił ich jednak nienawidzić. Mimo wszystko czuł, że trochę ich rozumie. Jak trudne musiało być dla nich to wszystko, jak bardzo źle czuli się w rolach, w które wepchnięto ich siłą? Czy za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat będą pamiętali ten dzień? Czy będzie to jakiś ważny moment w ich życiu? Czy kiedykolwiek będą cierpieli na depresję? Bezsenność? Czy będą ich dręczyły koszmary? Czy kiedykolwiek odpokutują za grzechy?

Trzymali palce na spustach starych karabinów. Jeden z nich odwrócił się do czwartego towarzysza. Wyglądał na starszego od nich, miał dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć lat.

– Mam go zastrzelić? – spytał chłopiec drżącym głosem.

– Co? – Mężczyzna próbował się zaśmiać, ale z jego gardła wydobyło się tylko chrapliwe rżenie. – I zmarnować kulę?

Chłopak zaczerwienił się ze wstydu i opuścił broń. Jego towarzysze zrobili to samo, po czym cała trójka odeszła z pochylonymi głowami, niczym dzieciaki, którym rozzłoszczony sąsiad zabrał właśnie piłkę. Mężczyzna prychnął teatralnie i splunął pod stopy księdza. Zakołysał się na piętach i zrobił krok w jego stronę, nie patrząc na niego, ale i nie odwracając wzroku. Kolejne sześć kroków i stał tuż przed Pettigrew. Miał przekrwione oczy. Wyglądał na wykończonego.

Ksiądz czuł, jak ogarnia go euforia. Jego czas w końcu nadszedł.

Oto ja, dobry i najśłodszy Jezus.

Przez jego twarz przemknął wyraz zrozumienia, nim oficer dotknął czubkami palców jego piersi. Ksiądz spojrział na jego dłoń, a potem na jego twarz. Była to twarz człowieka, który nikogo nie osądzał.

Z największą gorliwością ducha proszę Cię i błagam, abyś wszczepił w moje serce najżywsze uczucia wiary, nadziei i miłości...

Marynarz zrobił jeszcze jeden krok, pchając go łagodnie, jakby otwierał uchylone drzwi.

Nie zważając na ból, Pettigrew uśmiechnął się od ucha do ucha. Agatha mnie zabije, pomyślał. Powoli, jakby w zwolnionym tempie, poleciał do tyłu i rozłożył szeroko ręce, by w końcu przyjąć swoje przeznaczenie.

...oraz prawdziwą skruchę za moje grzechy i silną wolę poprawy.

Carlyle i Joe szli na północ ulicą Endell Street, napawając się ciepłym porannym słońcem. Walka z przestępczością w stolicy szła tego dnia dość opornie, a atmosfera w komisariacie Charing Cross była wyjątkowo senna. Pomimo najlepszych chęci Carlyle nadal nie skończył raportu w sprawie Millsa – po części z powodu lenistwa, a po części ze względu na odziedziczoną po rodzicach przezorność, która kazała mu bardzo dokładnie zagłądać w zęby każdemu darowanemu koniowi. Gdy z jezdni zmyto ostatnie ślady żonobójcy Henry'ego, sprawa została ostatecznie zamknięta. Rozwiązała się sama. Carlyle wiedział równie dobrze jak wszyscy, którzy mieli jakiś związek z tą historią, że było to naprawdę najlepsze możliwe wyjście. Dwie tragiczne śmierci, które bez trudu można wyjaśnić i opisać, to piękny prezent dla statystyków i dowództwa policji. Jedyne, co musiał zrobić, to zrelacjonować wszystko w odpowiedni sposób i wręczyć Carole Simpson. Gdyby miał teraz jakąś inną ważną sprawę, która wymagałaby od niego czasu i uwagi, może tak by właśnie zrobił. Ale oprócz Millsa zajmował się tylko skargą męża bitego przez żonę i serią kradzieży kieszonkowych w okolicach Cambridge Circus. Z pewnością nie były to sprawy, które mogłyby zadowolić dorosłego mężczyznę.

Między innymi dlatego, że nie miał ochoty zajmować się tamtymi bzdurami, Carlyle nie chciał jeszcze zamykać śledztwa dotyczącego Millsów. Joe nie był zachwycony, gdy inspektor powiedział mu, że powinni jeszcze raz obejrzeć mieszkanie, w którym popełniono morderstwo. Przekonał go jednak argument, że po drodze będą mogli kupić coś do jedzenia.

Gdy dotarli do końca Endell Street, zobaczyli potężny korek, który tworzył się codziennie o tej porze. Właśnie tu zbiegały się High Holborn, St Giles High Street, Bloomsbury Street i Shaftesbury Avenue. Kierowcy, którzy wiedzieli, dokąd jadą, mieszały się z kierowcami, którzy zabłądzili w skomplikowanym systemie jednokierunkowych ulic Covent Garden. Carlyle dokonał w głowie

szybkich obliczeń: żeby dotrzeć do Ridgemount Mansions muszą przejść pięć ulic i czternaście pasów, choć w linii prostej dzieli ich od tego miejsca nie więcej niż czterysta metrów. Nie po raz pierwszy przeklął w duchu nieudolnego burmistrza Londynu. Choć aby przypodobać się publice, raz lub dwa razy w miesiącu jeździł do pracy na rowerze, Christian Holyrod nie był wcale skory do podniesienia opłaty za wjazd samochodem do centrum Londynu wprowadzonej przez jego poprzednika, który chciał w ten sposób nakłonić ludzi do korzystania z transportu publicznego, a nie z samochodów. Carlyle, jako mieszkaniec centrum stolicy, uważał, że taka opłata powinna wynosić pięćdziesiąt funtów dziennie albo nawet sto. Właściwie można by w ogóle wyrzucić prywatne samochody z centrum albo wpuszczać tylko pojazdy napędzane prądem.

Zdaniem inspektora wysokość opłaty, czyli dziesięć funtów, zakrawała na kiepski żart. Ruch wcale się nie zmniejszył. Jednocześnie wciąż było słycać narzekania leniwych bogaczy, którzy uważali, że mają niezbywalne prawo do blokowania ulic swoimi wielkimi paliwożernymi SUV-ami, znanymi powszechnie jako traktory z Chelsea. Właśnie ci ludzie wybrali Holyroda, więc nie należało się spodziewać, że w najbliższym czasie dojdzie do jakiejś rozsądnej podwyżki.

Dopiero gdy przedarli się przez dwa zakorkowane pasy, Carlyle zrozumiał, że ten zator spowodowany został głównie przez autobus linii pięćdziesiąt pięć, który zatrzymał się pod kątem czterdziestu pięciu stopni na trzech pasach Bloomsbury Street i St Giles High Street. Po chwili inspektor uświadomił sobie również, że autobus musiał zboczyć z trasy. Pięćdziesiątkapiątka jeździła z Leyton przez Bloomsbury Way i New Oxford Street, a kończyła trasę przy Oxford Circus. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ten czerwony piętrus znalazł się przecnicę dalej na południe od miejsca, w którym powinien być.

Zbity z tropu, Carlyle zrobił jeszcze kilka kroków i przyjrzał się uważniej autobusowi, od którego dzieliło go jeszcze jakieś sześć metrów. Nic nie wskazywało na to, że pojazd jest zepsuty, dostrzegł też w środku kilku pasażerów. Kierowca również nie wyglądał na rannego czy zemdłego. Siedział w szoferce jak idiota i patrzył na rosnący

korek. Nie zwracał też uwagi na dwoje turystów, którzy stali przed autobusem i go filmowali.

Robiło się coraz głośniejsze, coraz więcej rozwścieczonych kierowców naciskało na klaksony. Wydawało się, że w ciągu ostatnich kilku minut temperatura podniosła się co najmniej o pięć stopni, a spaliny przyprawiły Carlyle'a o mdłości. Czuł, jak zanieczyszczenia zbierają się z tyłu jego gardła. Znajome mrowienie w miejscu, gdzie kręgosłup łączy się z czaszką, zwiastowało potężny ból głowy. Inspektor najchętniej ruszyłby w dalszą drogę i zostawił to komuś innemu.

– Lepiej sprawdźmy, o co tu właściwie chodzi! – krzyknął do Joego.

Podeszli do autobusu. Carlyle zapukał w przednie drzwi. Chorobliwie blady mężczyzna miał jakieś dwadzieścia kilka lat, okropną cerę i jeszcze gorszą fryzurę. Spojrzał na nich, a potem odwrócił głowę. Pasażerowie na tylnych siedzeniach gapili się bezmyślnie przez okna. Przywykli do kaprysów londyńskiej komunikacji miejskiej, najwyraźniej nie przejęli się za bardzo sytuacją.

Carlyle przeszedł przed autobus i przyłożył do szyby legitymację, dokładnie naprzeciwko twarzy kierowcy.

– Policja! – krzyknął. – Otwórz drzwi!

Mężczyzna zamrugał, ale poza tym nie zareagował na wezwanie inspektora. Siedział nieruchomo z rękami na kierownicy i patrzył przed siebie. Może jest naćpany? – pomyślał Carlyle. Czuł, jak w błyskawicznym tempie opuszcza go dobry humor. Zauważył też, że za jego plecami gromadzi się coraz większy tłum, musiał więc jak najszybciej rozwiązać jakoś ten problem.

– Facet chce koniecznie trafić do pudła – westchnął Joe.

Inspektor uderzył pięścią w okno.

– Otwórz te cholerne drzwi!

Joe położył mu rękę na ramieniu.

– Poczekaj chwilkę.

Carlyle przeszedł za nim na bok autobusu. Obserwował w milczeniu, jak Joe otwiera małą klapkę przy drzwiach. Pod klapką znajdował się zielony guzik, nad nim zaś widniał napis: AWARYJNE OTWIERANIE DRZWI. Joe wcisnął guzik i drzwi posłusznie się otworzyły.

– Dlaczego od razu tego nie zrobiłeś? – warknął Carlyle.

Joe uśmiechnął się tylko i odsunął na bok, by przepuścić szefa.

- Pozbądź się jakoś gapiów - polecił inspektor. - I wezwij mundurowych.

Wskoczył do autobusu i uderzył otwartą dłonią w tafłę pleksiglasu oddzielającą kierowcę od pasażerów.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - spytał. - Zgubiłeś się?

Kierowca wciąż patrzył przed siebie, ignorując Carlyle'a.

- To twój autobus?

W końcu mężczyzna odwrócił się i spojrzał na inspektora. Wziął w palce klapę marynarki i wskazał plakietkę ze swoim imieniem.

- Tak - powiedział drżącym głosem. - To mój autobus. A to jest protest. A na co innego to wygląda?

- Wygląda to na chujowe parkowanie - odparł Carlyle, trochę się uspokajając. Wydawało się przynajmniej, że ten dupek jest w pełni władz umysłowych. - Jak się nazywasz?

- Clive.

- I przeciwko czemu właściwie protestujesz, Clive?

- Przeciwko ogłoszeniu.

Zdezorientowany Carlyle ściągnął brwi.

- Jakiemu ogłoszeniu?

- Ogłoszeniu, które jest na tym autobusie - odpowiedział Clive z urazą, jakby to było oczywiste.

Carlyle odwrócił się, wysiadł z autobusu i spojrzał na napis umieszczony między dolnym i górnym pokładem: PRAWDOPODOBNIENIE NIE MA ŻADNEGO BOGA. PRZESTAŃ SIĘ MARTWIĆ I CIESZ SIĘ ŻYCIEM.

Carlyle zamrugał, a potem parsknął śmiechem. Wrócił do autobusu i podszedł do kierowcy.

- A co jest złego w tym ogłoszeniu?

- Obraża moją wiarę. - Clive naprawdę wyglądał na zranionego.

- A cóż to dokładnie za wiara? - spytał Carlyle tonem, który świadczył jednoznacznie o tym, że gównem go to obchodzi.

- Jestem członkiem Baptistycznego Kościoła Misyjnego Tabernakulum ze wschodniego Londynu - oświadczył z powagą Clive.

- Od prawie sześciu lat nie opuściłem ani jednej niedzielnej mszy.

- Imponujące. - Carlyle pokiwał głową. Nie miał pojęcia o religii i nigdy się nią nie interesował. Jego zdaniem ludzie mogli sobie wierzyć, w co tylko chcieli, byle nie śpiewali o tym na ulicach i nie łamali

prawa. – No dobrze, skoro już to sobie wyjaśniliśmy, to czas stąd odjechać.

– Nie.

Pierdol się, pomyślał Carlyle. Nie będziemy się dłużej bawili w uprzejmości.

– Odjedź stąd albo cię aresztuję.

Clive spojrzał na niego wzrokiem skrzywdzonego szczeniaka, ale nadal uparcie milczał.

– Pójdziesz do więzienia, a to oznacza, że na dłuższy czas będziesz musiał zapomnieć o misyjnym... jak mu tam, Kościele.

Po raz pierwszy na twarzy Clive'a pojawił się wyraz zakłopotania.

– W więzieniu siedzą sami ateści – tłumaczył Carlyle. – Co noc będą cię rznąli w dupę. Bóg cię wtedy nie uratuje.

Dolna warga Clive'a wyraźnie zadrżała, ale chłopak nie zamierzał się poddawać.

No tak, to tyle, jeśli chodzi o podejście psychologiczne, pomyślał Carlyle. Uderzył w pleksi z taką siłą, że zaboląła go ręka.

– Poczekaj tylko, aż cię stąd wyciągnę, sukinsynu. Jedź stąd, kurwa!

– Nie – odpowiedział cichutko kierowca.

– Do ciężkiej cholery, Clive! – Rozwścieczony Carlyle odwrócił się i wpadł na kobietę, która trzymała w ręku małą kamerę wideo. Cofnęła się w stronę schodów prowadzących na wyższy pokład i podniosła kamerę do oka, by filmować inspektora.

– Co ty, kurwa, robisz? – warknął Carlyle. Żałował, że nie został w komisariacie. W jego głowie kiełkowało podejrzenie, że jakaś kosmiczna siła postanowiła za wszelką cenę spieprzyć mu cały dzień. Odruchowo chciał zakryć ręką obiektyw, jednak w porę się powstrzymał. Tymczasem kobieta zrobiła kolejny krok do tyłu, w stronę faceta z naburmuszoną miną. Carlyle uzmysłowił sobie, że to para „turystów”, którą widział wcześniej przed autobusem.

Kobieta przestała w końcu kręcić i opuściła kamerę.

– Jesteśmy Córkami Dyzmy. Nagrywamy ten protest, żeby potem umieścić relację na naszej stronie.

– Kim jesteście?

– Córkami Dyzmy – powtórzyła kobieta powoli. – To feministyczne skrzydło Kościoła Tabernakulum.

Carlyle wskazał mężczyznę, który stał za nią.

– Więc co on tutaj robi?
– Stuart jest honorowym członkiem CD. I moim chłopakiem.
– Szczęściarz. – Inspektor uśmiechnął się złośliwie, mierząc kobietę spojrzeniem. Chuda, blada, ubrana w czerwony podkoszulek i zielone bojówki, mogła mieć równie dobrze osiemnaście, jak i trzydzieści osiem lat. Pomyślał, że wygląda jak chuderława heroinistka z jednego z tych przeklętych filmów Mike’a Leigh, które kazała mu czasem oglądać Helen: opowieści o nudnych, zgnuśniałych ludziach, nazywane szumnie realizmem społecznym.

Kobieta zignorowała jego sarkastyczny ton.

– Dyzma był dobrym łotrem, przyjacielem Jezusa.
– I bardzo dobrze – odparł, nie mając zielonego pojęcia, o czym mówi członkini CD. Dla niego Dyzma równie dobrze mógł być postacią z Ulicy Sezamkowej. Albo nowym lewym obrońcą Fulham z Węgier. Wyciągnął prawą rękę. – Oddaj mi kamerę.

Kobieta natychmiast podniosła kamerę do oka i zaczęła filmować.

– Mamy prawo tu być. Aresztujecie Clive’a?

Carlyle zerknął przez ramię na Joego, który stał w drzwiach i z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Odwróciwszy się do kobiety, inspektor powiedział najspokojniej jak potrafił:

– Oddaj mi kamerę. Proszę.

Podjudzana przez swojego chłopaka, kobieta kopnęła Carlyle’a w goleń.

Inspektor odruchowo odpowiedział równie celnym kopniakiem.

– Au! – zapiszczała. – To bolało!

Nie czekając, aż zacznie wrzeszczeć o „brutalności policji”, Carlyle wyrwał jej kamerę i rzucił ją do Joego.

– Jesteś aresztowana – oznajmił, obracając ją w miejscu i błyskawicznie zakładając jej kajdanki – za zakłócanie porządku publicznego i napaść na policjanta. – Wskazał jej chłopaka. – Ciebie też to dotyczy, Stuart.

– Szefie! – zawołał z tyłu Joe. – Są mundurowi.

– Dobrze. Powiedz im, żeby zabrali na komisariat tych dwoje i kierowcę, tam ich oficjalnie oskarżymy. I ściągnij tu kogoś, kto zabierze wreszcie ten cholerny autobus.

– Tak jest, szefie.

– Co z moją kamerą? – jęknęła kobieta.

- To materiał dowodowy, złotko - odparł Joe z uśmiechem. - Ale nie martw się, zaopiekujemy się nią.

Dziś nie piszę, by się pysznić. Dziś piszę, by się pożegnać.

Carole Simpson rzuciła list na stół i westchnęła. Nie mogła pojąć, dlaczego jej mąż, genialny ekspert od zarządzania funduszami, postanowił napisać do swojego środowiska i do klientów list, którego treść sprowadzała się zasadniczo do krótkiego „walcie się”. Simpson nigdy też do końca nie rozumiała, jak jej małżonek, Joshua Hunt, który przed ślubem był nieśmiałym informatykiem po Imperial College, zmienił się w finansowego guru, dysponującego majątkiem o wartości netto przekraczającej sto dwadzieścia milionów dolarów (przynajmniej taką informację znalazła w gazetach). Przez długi czas cieszyła się myślą, że dom w Highgate o powierzchni niemal czterystu metrów, drogie restauracje, bogaci klienci i znajomości w świecie polityki nie sprawiły, że Joshua stał się innym człowiekiem i nie pozbawiły go tego, co niegdyś ją urzekło. Teraz jednak nie była już tego taka pewna. Może pieniądze uderzyły mu jednak do głowy.

Firma Joshuy Hunta, McGowan Capital, przez ostatnie sześć lat z rzędu była najlepszą firmą inwestycyjną w Londynie. W ciągu minionych dwóch lat, gdy światowe rynki finansowe przeżywały zapaść, on uzyskał nieprawdopodobną stopę zwrotu w wysokości siedmiuset dwudziestu czterech procent, głównie na akcjach banków i kursie funta. Jednak w ostatnim kwartale, gdy zaczął działać na rynku ropy naftowej, podwinęła mu się noga i coraz trudniej przychodziło mu przekonać klientów, że nie powinni jeszcze wycofywać pieniędzy. Dwa tygodnie temu, gdy siedzieli przy kuchennym stole, powiedział jej, że zamyka firmę. Chce się wycofać i zająć czymś innym. Czym? Tego jeszcze nie wiedział. Mimo wszystko Simpson za bardzo się tym nie przejęła – Joshua nigdy nie był człowiekiem, który pozwalał, by rządziła nim praca. Teraz jednak napisał ten pożegnalny list. To ją zaniepokoiło. W ogóle nie wspominał o ostatnich niepowodzeniach, a jego słowa zdawały się świadczyć o nieposkromionej pysze.

Zajmując się pracą na rynku inwestycyjnym, zrozumiałem, że tego nienawidzę. Robiłem to wyłącznie dla pieniędzy. Łatwy zarobek – idioci, których rodzice płacili za prywatne szkoły i studia MBA – był w zasięgu ręki, wystarczyło po niego sięgnąć. Tak naprawdę ci ludzie nie byli wariaci tego, co dostawali, gdy bez wysiłku piełi się na szczyty życia publicznego i biznesowego, jakby im się to należało – co w pewnym sensie było prawdą. To zachowanie, wspierające i utrwalające dotychczasowy establishment, pozwalało mi znaleźć ludzi na tyle głupich, bym mógł na nich zarobić. Niech Wam wszystkim Bóg błogosławi.

Jest wiele osób, którym powinienem szczerze podziękować za mój sukces. Nie chcę jednak zachowywać się jak łatwowierny aktor, który przyjmuje pozbawioną znaczenia nagrodę. Wystarczającą nagrodą były pieniądze. Co więcej, ludzie na długiej, bardzo długiej liście tych, którzy zasługują na wyrazy wdzięczności, mają z pewnością za mało rozumu, by zrozumieć, kim naprawdę są.

Nie będę już dłużej obracał pieniędzmi innych. Mam wystarczająco dużo swoich. Jestem bardziej niż zadowolony z dochodów, jakie przyniosło dziesięć najlepszych lat mojego życia. Moje przesłanie do Was wszystkich brzmi: wyrzucie blackberry i cieszcie się życiem.

Do widzenia i powodzenia.

Carole Simpson nie miała pojęcia, skąd w nim tyle zółci. To zupełnie do niego nie pasowało. Decyzja o odejściu z City z olbrzymim majątkiem to jedno, ale obrażanie wszystkich dookoła, to zupełnie co innego. Szczególnie że Joshua nie wyzbył się ambicji politycznych – wręcz przeciwnie, wydawało się, że coraz bardziej zależy mu na tego rodzaju karierze. Simpson obawiała się, że ten list pożegnalny kiedyś odbije mu się czkawką. Jest szczeniacki. Człowiek nigdy nie powinien kąsać ręki, która go karmi.

List nie został jeszcze wysłany do inwestorów ani opublikowany na oficjalnej stronie McGowan Capital, Simpson miała więc nadzieję, że odwiedzie męża od tego zamiaru podczas wieczornego przyjęcia. Drinki i kolacja. Kolejny wieczór zmarnowany na odgrywanie oddanej żony, jakby nie miała własnej kariery. Zaproszenie leżało na jej biurku. Simpson zerknęła na nie i obliczyła, że musi wyjść za jakieś piętnaście minut. Nie potrzebowała więcej czasu.

Podniosła słuchawkę, wcisnęła guzik i połączyła się ze swoją asystentką w sąsiednim pomieszczeniu.

– Przyślij go tutaj – rzuciła krótko i nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się.

Drzwi gabinetu się otworzyły. Simpson obserwowała w milczeniu, jak Carlyle wchodzi i staje przed biurkiem. Kolejny człowiek, który przysparza jej kłopotów. Odczekała kilka sekund i zmierzyła go wzrokiem w nadziei, że dostrzeże coś, co pozwoli jej lepiej zrozumieć tego nieprzewidywalnego człowieka. Bezskutecznie.

Zapisała coś w notesie i gestem zaprosiła, by usiadł.

– Co słysząc, inspektorze? – spytała.

– Wszystko w porządku.

Carlyle siedział sztywno wyprostowany, jakby przeniósł się trzydzieści lat w przeszłość, do gabinetu dyrektora w szkole średniej, i czekał na karę za jakieś drobne przewinienie. Nie chcąc wdawać się w nieszczerą uprzejmości, poprzestał na tej krótkiej odpowiedzi i rozglądał się dyskretnie. Od czasu jego ostatniej wizyty w tym miejscu nic się nie zmieniło. W gabinecie były tylko niezbędne sprzęty i meble, na biurku leżały jakieś dokumenty i stało zdjęcie jakiegoś pewnego siebie mężczyzny w średnim wieku. Carlyle przypuszczał, że to mąż Simpson.

Podczas spotkań z szefową inspektor zawsze miał się na baczności. Należeli do zupełnie różnych gatunków i dobrze o tym wiedzieli. Pięć lub sześć lat młodsza od Carlyle'a, Simpson mogła realistycznie zakładać, że zdoła jeszcze parę razy awansować, nim jej czas się skończy. Inspektor znał ją od prawie dwunastu lat, objęła bowiem dowództwo nad komisariatem Charing Cross wkrótce po tym, jak przeniesiono tam jego. Musiał przyznać, że zabrała się do pracy z werwą i czuła się w roli zarządcy jak ryba w wodzie. Potrafiła też być czarująca – głównie w stosunku do mężczyzn w określonym wieku (to jest od dziesięciu do piętnastu lat starszych od niej), od których czegoś chciała.

Simpson rzadko chciała czegokolwiek od inspektora Johna Carlyle'a. Dobrze wiedział, że irytuje ją jego podejście, które postrzegala jako odmowę udziału w jej grze. Równie istotne – a może i ważniejsze – było to, że nie potrafił ukryć uczuć, które w nim budziła. A właściwie braku jakichkolwiek pozytywnych uczuć. Carlyle nie mógł znieść

myśli, że został wciągnięty w misję, która ma na celu przysporzenie jej chwały. Jakoś tak się zawsze składało, że wspólne dobro zbiegało się z interesami komendantki. Uważał, że pracując w policji, skupia się właściwie wyłącznie na sobie. Była zbyt pochłonięta wspinaczką po śliskich szczeblach kariery, by zwracać uwagę na cokolwiek innego.

Jego zdaniem świadczyło to o tym, że Simpson jest albo wyjątkową egoistką, albo ma samoświadomość złotej rybki. Tak czy inaczej, zawsze traktował ją wyjątkowo nieufnie i czuł do niej antypatię. Potrafił jednak opanować się na tyle, by tolerować ją w małych dawkach. Gdy spotykali się zbyt często lub rozmawiali zbyt długo, miał wrażenie, że lada moment zagotuje mu się mózg i powie jej, co o niej myśli.

Simpson spojrzała w notes.

– W sprawie tego autobusu...

– Tak?

– Złożono skargę – powiedziała neutralnym tonem.

– Tak? – zdziwił się Carlyle, robiąc minę niewiniątka.

– Niejaka Sandra Groves twierdzi, że na nią napadłeś. Mówi, że wszystko zostało sfilmowane.

Sandra Groves? Carlyle uświadomił sobie nagle, że chodzi zapewne o tę nawiedzoną wariatkę z autobusu – dotąd nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, jak się nazywa. Uśmiechnął się nieśmiało i odezwał tonem człowieka, którym nie kierują żadne osobiste pobudki.

– Cóż, sytuacja wyglądała następująco...

Przez kilka minut opisywał incydent z minionego tygodnia, dorzucając mniej lub bardziej istotne szczegóły i starannie unikając bezpośrednich odniesień do zarzutów panny Groves. Mógł sobie na to pozwolić, bo wiedział, że raport sierżanta Szyszkowskiego w stu procentach potwierdza jego wersję wydarzeń. Co więcej, Groves i jej chłopak byli już kiedyś karani za zakłócanie porządku, mieli też do zapłacenia kilka wyjątkowo wysokich mandatów za parkowanie. Jediną rzeczą, która mogłaby przysporzyć mu kłopotów, było nagranie wideo, ale dawno już zostało wymazane z karty pamięci. Na wszelki wypadek sama kamera została przypadkiem przejechana – kilkakrotnie – tylnymi kołami policyjnego range rovera w garażu komisariatu Charing Cross, a potem wyrzucona do kosza. Carlyle był pewny, że jej szczątki są już w drodze na jakieś nielegalne wysypisko w

Indiach. Skarga mogła doprowadzić do wszczęcia oficjalnego śledztwa, ale inspektor wiedział, że nic mu nie grozi.

– A potem...

Monolog Carlyle'a przerwał dzwonek telefonu komórkowego. Zirytowana Simpson przerzucała papiery leżące na biurku, nim w końcu znalazła aparat. Sprawdziła, kto dzwoni, i rzuciła do słuchawki:

– Poczekaj chwilkę.

Wstała zza biurka, pokazała Carlyle'owi na migi, że zaraz wróci, i wyszła szybko z gabinetu.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, inspektor spojrzał na biurko. Wiedziony nieodpartą pokusą, pochylił się do przodu i przesunął wzrokiem po papierach leżących na blacie. Na przestrzeni lat nauczył się doskonale czytać teksty odwrócone do góry nogami. Teraz od razu zauważył, że poza raportami ze sprawy Case'a, które równie dobrze mógł przeczytać po powrocie do komisariatu, na biurku leży eleganckie zaproszenie. Druk był dość mały, ale inspektor mógł przeczytać wszystko, nie podnosząc się z krzesła.

Christian Holyrod, burmistrz Londynu, oraz Claudio Orb, ambasador Chile w Wielkiej Brytanii, zapraszają na przyjęcie w ratuszu organizowane przez angielsko-chilijskie Stowarzyszenie Technologii Obronnych. Wydarzeniem tym chcemy uczcić długą historię współpracy i wzajemnego wsparcia naszych wielkich krajów, a także długoletnie związki z bohaterem chilijskiej marynarki wojennej, Augustinem Arturo Pratem Chacónem.

Znowu Chilijczycy. Czy to możliwe, że mają jakiś związek ze sprawą Millsów? Carlyle zastanawiał się właśnie, kim jest Augustin Arturo Prat Chacón, kiedy wróciła komendantka.

Uśmiechnęła się blado i usiadła za biurkiem.

– Na czym stanęliśmy? – spytała, krzyżując ręce na piersi i odchylając się do tyłu.

– Sandra Groves – podsunął usłużnie Carlyle. – Po tym, jak na mnie napadła, obezwładniliśmy ją i jej chłopaka...

Simpson jeszcze mniej więcej przez minutę słuchała jego monologu, po czym podniosła rękę. Nie musiała znać całej historii. Wiedziała, że ten irytujący sukinsyn nie da się złapać na tak prostej sprawie. Nie mogła liczyć na tyle szczęścia.

- No dobrze, inspektorzy - powiedziała znużona. - Rozumiem. Jestem pewna, że gdyby nawet ktoś potraktował tę skargę poważnie, związki zawodowe nie zostawiłyby na nim suchej nitki. Ale następnym razem staraj się okazywać nieco większą powściągliwość.

- Powściągliwość to moje drugie imię - odparł Carlyle z powagą.

- Tak, cóż... - Nawet Simpson musiała się uśmiechnąć, słysząc tę bezczelną uwagę. - A swoją drogą, dobrze poradziłeś sobie z tym Millsem.

- Dziękuję. - Carlyle skłonił głowę.

- Szybko i sprawnie - podsumowała, choć miała wielką ochotę dodać: „Choć raz”.

- Na to wygląda - zgodził się Carlyle. - Choć została jeszcze do wyjaśnienia pewna rzecz.

- Mianowicie? - Simpson jęknęła w duchu. Dlaczego ten irytujący typek musi zamieniać najprostszą sprawę roku w problem?

- Pani Mills, ofiara, miała wrogów.

- W tym swojego męża.

- Może.

- On też nie żyje, prawda? - prychnęła Simpson. - Wiesz równie dobrze jak ja, że w takich sprawach samobójstwo jest właściwie równoznaczne z przyznaniem się do winy. Odbierz wygraną i zajmij się następną sprawą.

- Tak zrobię - powiedział, wstając. Doszedł do wniosku, że nie powinien przeciągać struny.

- To dobrze - odrzekła Simpson sztywno, zbierając z biurka papiery. - Znasz drogę do wyjścia.

Przy stoliku przed kawiarnią Cafe La Marquise na Edgware Road siedział samotny młody mężczyzna. Przyłożył kostkę cukru do powierzchni gęstej, mocnej, tureckiej kawy i patrzył, jak białe kryształki brązowieją, by w końcu wrzucić ją do filiżanki. Wziął łyżeczkę i zamieszał powoli napój, obserwując grupę manifestujących przeciwko wojnie.

Co za motłoch, pomyślał. W manifestacji uczestniczyło najwyżej siedemdziesiąt osób, mniej więcej tyle samo policjantów pilnowało porządku. Nie robili niczego pożytecznego, wstrzymywali tylko ruch i utrudniali normalnym, praworządnym obywatelom dotarcie do pracy, maszerując środkiem ulicy w stronę Hyde Parku. Były tam wszystkie transparenty, z którymi ostatnio się zetknął: Robotnik socjalistyczny, „Nie” dla koalicji wojny, Studenci w walce o sprawiedliwość, i tak dalej, i tak dalej. Nieśli je bladzi, chuderławi ludzie, których każdy normalny człowiek omijałby szerokim łukiem – w gruncie rzeczy była to banda żałosnych, nieorganizowanych egocentrycznych nieudaczników.

Upił łyk kawy, pozwalając, by jej słodycz poprawiła mu nastrój. W końcu dostrzegł na samym końcu kolumny transparent, którego wypatrywał. Dwie kobiety trzymały jego drzewce, a trzecia rozdawała ulotki, próbując od czasu do czasu skandować hasła, które jednak niemal natychmiast ginęły w ulicznym hałasie.

Czego chcemy!

Wyjścia wojsk!

Kiedy!

NATYCHMIAST!

Rozmowy przy stole ucichły, bo pozostali goście również przyglądali się manifestantom. Ach, ci Brytyjczycy i ich pasje! Dla cudzoziemców mieszkających w Londynie byli nieustającym źródłem rozrywki. Przywoławszy gestem zapatrzonemu w tłum kelnera, zamówił jeszcze jedną kawę.

Znalazłybyście sobie jakieś normalne zajęcie, pomyślał. Wyglądało na to, że cała organizacja składa się tylko z trzech kobiet zachęcających do skandowania haseł, a mimo to przysporzyła mu tylu problemów. Czuł, jak narasta w nim wściekłość. To absurd, że marnuje przez nie tyle czasu – absurd, a zarazem konieczność, zarówno ze względu na niego, jak i jego towarzyszy.

Dotknął ulotki, którą zostawił na jego stoliku inny manifestant przechodzący obok. Kolejne hasła i frazesy, kolejne beznadziejne pozy.

Sprawiedliwość dla ofiar masakry w Ishaqi!

Jakby te ofiary cokolwiek teraz obchodziło, pomyślał.

ZAKOŃCZCIE WOJNĘ!

Ja tam byłem, wy nie.

DOŚĆ ZABÓJSTW Z RĄK NAJEMNIKÓW!

Znów wezbrał w nim gniew. Nie macie pojęcia, o czym mówicie.

Pochylił się, podniósł z chodnika jeszcze jedną ulotkę, złożył ją na pół i schował do kieszeni marynarki. Kelner przyniósł mu kolejną kawę. Wypił ją jednym haustem, wyjął z portfela banknot pięciofuntowy i położył pod spodem. Rozsiadł się wygodniej na krześle i odprowadził wzrokiem demonstrację, której towarzyszyło trąbienie zdenerwowanych kierowców oraz śmiech grupy Arabów palących sziszę przy sąsiednim stoliku.

Wyjął papierosa z paczki Royal Crown Blue leżącej na stole, włożył go do ust i zapalił, zaciągając się głęboko. Potem wrzucił zapałkę do popielniczki i ruszył powoli ulicą, w tę samą stronę co manifestacja.

Nim dotarł do Hyde Parku, trwały już przemówienia. Stojąc pod drzewem, wypalił kolejnego papierosa, obserwując uważnie trzy kobiety i starając się nie słuchać oskarżeń skierowanych pod adresem Ameryki, Wielkiej Brytanii i różnych narzędzi imperializmu, na których mogli położyć łapska.

Na szczęście przemówienia się skończyły, nim zabrakło mu papierosów. Obserwował, jak kobiety zwijają transparent, zegnają się i rozchodzą, każda w swoją stronę. Po chwili zastanowienia postanowił śledzić tę starszą. Kiedy dowie się, gdzie mieszka, będzie mógł zacząć.

Carlyle stał na pomoście, który wznosił się spiralnie za szklaną fasadą ratusza, patrzył w dół i słuchał dobiegającego stamtąd szumu rozmów i brzęku kieliszków. Od kilku minut wypatrywał w tłumie Simpson i jej męża, lecz jak dotąd bez powodzenia. Widział za to burmistrza Christiana Holyroda, przechadzającego się po sali w towarzystwie mężczyzny, który był zapewne chilijskim ambasadorem.

Ze względu na przyjęcie górny taras został zamknięty dla publiczności, więc Carlyle był sam. Gdy burmistrz wszedł na podwyższenie, by przywitać gości, inspektor odwrócił się plecami do tłumy i podziwiał widok miasta na drugim brzegu Tamizy, aż po Tower. Przez kilka następnych minut błędził gdzieś myślami. Od czasu do czasu z dołu dolatywały pojedyncze zdania, były to jednak nic nieznaczące banały, towarzyszące zwykle tego rodzaju wydarzeniom. Ignorował je i przyglądał się łodziom płynącym po Tamizie, rozmyślając jednocześnie o swoich dotychczasowych kontaktach z burmistrzem.

Christian Holyrod był ucieleśnieniem skautowskich ideałów, wzorem dzielnego i prawego Brytyjczyka. Samo to wystarczyło, by Carlyle nabrał co do niego podejrzeń, nim jeszcze skrzyżowali szpady podczas jednego z najbardziej nieprzyjemnych śledztw, jakie inspektor prowadził do tej pory.

Nim zajął się polityką, burmistrz Holyrod dowodził 2 Batalionem Pułku księcia Wellingtona (motto: „Odważnym szczęście sprzyja”), jednym z pierwszych brytyjskich oddziałów, które prowadziły działania w prowincji Helmand w Afganistanie. Była to część nieudanej brytyjskiej kampanii w tym najmniej gościnnym państwie świata. Przemiana z niedocenianego bohatera w polityka rozpoczęła się, gdy do Afganistanu przyjechała ekipa filmowa ze Stanów Zjednoczonych, która chciała udokumentować operację „Mechaniczna Pomarańcza”, czyli złapanie przywódcy terrorystów ukrywającego się na pustkowiu. Misja okazała się klapą, chłopcy Holyroda wpadli w

pułapkę i musieli szybko się wycofać, ale wymiana ognia i ogólny chaos towarzyszący odwrótowi doskonale prezentowały się w telewizji. Drżący, kręcony z ręki film, na którym major krzychał: „Odwrót, odwrót!”, strzelał całymi seriami z karabinu szturmowego SA80-A2 i próbował odciągnąć do tyłu rannego rekruta, był bardziej poruszający niż najlepsze produkcje Hollywood. Trafił do wszystkich serwisów informacyjnych w Wielkiej Brytanii, nim jeszcze pokazano go w USA. Przez niemal dwa dni był to najczęściej oglądany film na YouTube, miał ponad czterdzieści pięć milionów wyświetleń na całym świecie.

Holyrod z dnia na dzień stał się prawdziwym celebrytą. W ciągu dwóch tygodni zaproponowano mu prowadzenie programu radiowego, dostał rubrykę w pewnej gazecie, zatrudnił agenta i otrzymał ponad sto propozycji małżeństwa.

Ministerstwo Obrony początkowo bardzo chętnie chwaliło się majorem i kontaktowało go z mediami, traktując jego historię jako jedną z niewielu „dobrych wieści” dotyczących przedsięwzięcia od samego początku skazanego na klęskę. Holyrod też chętnie udzielał się w różnych mediach, jednak coraz częściej wyrażał obawę, że minister obrony nie docenił trudności zadania, jakim była walka w Afganistanie. W wywiadach z coraz większym pesymizmem mówił o „ogólnej sytuacji”. Kiedy powiedział pewnej miłej dziennikarce z „Sunday Express”, że „cała ta operacja wzięła w łeb”, wezwano go do Londynu na „konsultacje”. Wrócił na front, ale wkrótce znów został odwołany, gdy obsztorcował przed kamerą ministra spraw zagranicznych wizytującego brytyjskie wojska i zarzucił mu, że rząd Jej Królewskiej Mości nie wspiera jego „chłopców”.

Oczywiście media chłonęły to wszystko jak gąbka. Z badań opinii publicznej wynikało, że Holyrod cieszy się poparciem niemal dziewięćdziesięciu procent społeczeństwa. Żaden polityk nie mógł się z nim mierzyć. To była życiowa szansa majora, musiał tylko zdecydować, jak ją wykorzysta. Właśnie wtedy przywódca opozycji, Edgar Carlton, przekonał swojego dawnego kolegę ze studiów (a zarazem szwagra, bo osiem lat wcześniej Christian ożenił się z siostrą Edgara, Sophią), by kandydował na burmistrza Londynu.

Carlyle poznał obu tych dżentelmenów podczas kampanii przed wygranymi przez partię Carltona wyborami. Była to naprawdę paskudna sprawa, zabito kilku przyjaciół obu polityków. Świadomi, że

ich kariery mogą legnąć w gruzach, Holyrod i Carlton nie chcieli, by ujawniono przyczynę tych zbrodni. Jak nietrudno się domyślić, policja metropolitalna musiała ulec ich żądaniom. Choć sprawa została oficjalnie rozwiązana, prawda – a właściwie najistotniejsze fakty leżące u jej podstaw – nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Zażegnawszy niebezpieczeństwo, Holyrod i Carlton scementowali swój polityczny sojusz. Ostatnio jednak na tym pozornym monolicie pojawiły się pierwsze rysy. W parlamencie uznano, że Christian Holyrod jest oczywistym następcą Carltona, a tym samym jego rywalem.

Przypominając sobie wszystkie te fakty, Carlyle poczuł znajome ukłucie gniewu i frustracji, które towarzyszyły mu zawsze, gdy myślał o nierozwiązanych sprawach. Był bardzo niezadowolony z tego, co się wówczas stało, i wciąż się zastanawiał, czy nie mógł rozegrać tego lepiej. Przede wszystkim irytowała go własna niemoc, która nie pozwoliła mu należycie zamknąć sprawy, ujawnić wszystkich faktów i doprowadzić do tego, by prowodyrzy odpowiedzieli za swoje czyny. Gdy śledztwo właściwie dobiegło końca, Carlyle próbował naciskać na Holyroda i zmusić go, by przyznał chociaż, że to on i jego koledzy są po części winni tej tragedii. Jednak burmistrz nie dał się zastraszyć podrzędnemu policjantowi i nie ustąpił ani na krok.

Podrzędny policjant.

Właśnie to bolało go najbardziej. Lekceważące, protekcyjne traktowanie. Jakby był ich sługusem. Szaraczkiem, który wszedł w drogę możliwym tego świata.

Jednym z maluczkich.

Cóż, teraz ich ścieżki znów się skrzyżowały. Może będzie miał okazję wyrównać rachunki.

Inspektor ściągnął brwi, pochylił się nad poręczą i spojrzał w dół, na tłum. Holyrod przemawiał, korzystając z notatek zapisanych na małej kartce:

– Wielką Brytanię i Chile łączy wiara w sprawiedliwość, demokrację i wolność... – Zrobił pauzę, czekając na brawa.

Carlyle ziewnął i spojrzał na zegarek.

Na szczęście tego wieczoru Holyrod okazał litość i przemawiał krótko. Po kilku minutach zakończył odniesieniem do „naszych wieloletnich powiązań politycznych, wojskowych i społecznych z

Chile”, zapraszając chilijskich gości do Londynu na konferencję TEMPO, która miała się odbyć we wrześniu. Potem poczekał, aż oklaski ucichną, i oddał mikrofon ambasadorowi.

Jako że Claudio Orb zaliczał się raczej do dyplomatów niż polityków, jego przemówienie było jeszcze krótsze i bardziej ogólnikowe. Gdy odsunął się od mikrofonu, również odprowadzany oklaskami, Carlyle zszedł na dół.

Darmowy bar był zapewne zamknięty aż do zakończenia przemówień, bo sala opustoszała w ciągu zaledwie trzydziestu lub czterdziestu sekund, których potrzebował inspektor, by znaleźć się na sali. Mijając ostatnich gości spieszących na darmowy poczęstunek, ruszył w stronę burmistrza, który wciąż rozmawiał z ambasadorem i jakimś mężczyzną stojącym przed sceną.

Przywoławszy na twarz szeroki uśmiech, Carlyle podszedł do Holyroda i wyciągnął do niego rękę.

– Panie burmistrzu – zaczął serdecznym tonem, stwierdzając z cichą satysfakcją, że były żołnierz przytył ładnych parę kilogramów. Wyglądał tak, jakby w ciągu zaledwie roku postarzał się co najmniej o piętnaście lat. – Jak miło znów pana widzieć.

Holyrod przerwał rozmowę i podniósł wzrok. Ujrawszy policjanta, z trudem ukrył grymas niezadowolenia.

– Inspektorze... – Uścisnął mocno dłoń Carlyle’a, starając się jednocześnie odsunąć go od swoich gości. Inspektor jednak nawet nie drgnął, więc obaj musieli stać koło Orba.

– ...Carlyle – podsunął inspektor. – John Carlyle z komisariatu Charing Cross.

Holyrod odchrząknął i wbił wzrok w jakiś bardzo interesujący punkt w oddali.

– Tak, tak, oczywiście.

– Dobre przemówienie – zauważył Carlyle, spoglądając na ambasadora.

– Dziękuję – odparł Holyrod, coraz bardziej zaniepokojony.

Wciąż szczerząc zęby w idiotycznym uśmiechu, inspektor zwrócił się do burmistrza:

– Może nas pan przedstawi?

– Ach tak, oczywiście – mruknął Holyrod ze zboląłą miną. – Panie ambasadorze – zaczął oficjalnym tonem – to jest inspektor John

Carlyle z policji metropolitalnej.

– Miło pana poznać, inspektorze.

Claudio Orb wyciągnął do niego rękę i obdarzył uśmiechem człowieka, który nie ma się czego obawiać ze strony policji. Był szczupłym zadbanym mężczyzną, ubranym w elegancki granatowy garnitur, białą koszulę i jasnoczerwony krawat. Miało około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, gęstą siwą czuprynę i niebieskie oczy. Wyglądał na siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt pięć lat. Mam nadzieję, że zestarzeję się równie ładnie, pomyślał Carlyle, choć wiedział, że to mało prawdopodobne. Spojrzał na znacznie młodszego towarzysza Orba. Miał najwyżej czterdziestkę, był opalony i wysportowany. Jego twarz okalała najstaranniej utrzymana broda, jaką Carlyle kiedykolwiek widział. Najwyraźniej nie zamierzał się przedstawiać, inspektor uznał więc, że to jakiś pionek i odwrócił się do ambasadora.

– Zastanawiałem się, czy znalazłby pan kilka minut na krótką rozmowę – odezwał się tonem pełnym szacunku, ignorując nienawistne spojrzenie Holyroda.

– Oczywiście! – W oczach ambasadora pojawił się radosny błysk. Carlyle pomyślał, że być może Chilijczyk wypił już kilka drinków. – Z przyjemnością pomogę w pracy brytyjskiej policji. – Skinął głową pozostałej dwójce. – Panowie wybaczą – powiedział, po czym wziął inspektora za łokieć i ruszył w stronę pomostu. – Może wyjdziemy na chwilę na zewnątrz? Chętnie zaczerpnąłbym świeżego powietrza.

Gdy znaleźli się na pustym tarasie, Carlyle poczuł na twarzy chłodny podmuch znad rzeki i uświadomił sobie, jak duszno było w środku.

– Jaki przyjemny wieczór – powiedział Orb, opierając dłonie na poręczy i oddychając głęboko. – Miło dla odmiany odetchnąć świeżym powietrzem, prawda?

– Na tyle, na ile może być świeże w Londynie – odparł Carlyle.

– Ha! – Ambasador się uśmiechnął. – Powinien pan pojechać kiedyś do Santiago. – Umilkł na moment i spojrzał na policjanta. – Był pan kiedyś w Chile, inspektorze?

– Nie.

– Powinien się pan wybrać. Naprawdę warto. Oczywiście nie jestem obiektywny, ale uważam, że to naprawdę wspaniały kraj.

- Może kiedyś. - Carlyle wzruszył ramionami.
- No dobrze... co mogę dla pana zrobić? - spytał Orb pogodnym tonem. - Proście, a będzie wam dane, jak to mówią. I tak jestem już pana dłużnikiem, bo choć na chwilę uwolnił mnie pan od towarzystwa burmistrza.

Carlyle parsknął śmiechem.

- Więc pan też za nim nie przepada?

- Nie, nie - ambasador pogroził mu żartobliwie palcem - nie chodzi o to. Jestem dyplomatą, więc moje sympatie i antypatie nie mają tu znaczenia. Poza tym pan Holyrod jest pod wieloma względami człowiekiem godnym podziwu. Trzeba pamiętać, że był doskonałym żołnierzem.

- Ale? - Carlyle rozluźnił się nieco, ciekaw opinii Chilijczyka o burmistrzu.

- Ale trochę za bardzo próbuje z nami pogrywać.

- Jak to?

- O ile dobrze pamiętam, jestem ambasadorem Chile w Wielkiej Brytanii, a nie na dworze Christiana Holyroda. Burmistrz chce wykorzystać ludzi takich jak my, by prowadzić na boku swoją własną politykę zagraniczną, a jednocześnie rozwijać działalność biznesową. Chce być następnym premierem i musi wypełnić luki w życiorysie. Dlatego tak głośno zachwala TEMPO.

- Co to takiego? - zainteresował się Carlyle.

- TEMPO to duże targi broni, które co dwa lata odbywają się w Londynie - wyjaśnił Orb. - Chile ma dobrze rozwinięty i prężny przemysł zbrojeniowy, więc to dla nas ważna impreza. Ale nie zależy nam na reklamie.

- Nie?

- Takie interesy wymagają dyskrecji. Jeśli burmistrz Holyrod zamieni targi w wydarzenie polityczne, nikomu nie przyniesie to korzyści.

- Owszem - zgodził się Carlyle. Nigdy nie zastanawiał się nad problemami, jakie stoją przed międzynarodowymi handlarzami bronią, ale dobrze rozumiał ambasadora.

- Do tego dochodzi kwestia konfliktu interesów - ciągnął Orb. - Myślałem, że wy, Brytyjczycy, zawsze traktujecie... tego rodzaju rzeczy właściwie.

– Jaki konflikt interesów? – spytał Carlyle, starając się nie okazywać podejrzenia dużego zainteresowania.

– Christian Holyrod jest dyrektorem konsultantem firmy Pierrepont Aerospace.

Carlyle wzruszył ramionami, bo ta nazwa nic mu nie mówiła.

– Obecnie słowo „Aerospce” w nazwie firmy to powszechnie znany eufemizm oznaczający producenta broni, inspektorze. Broni nowoczesnej i skomplikowanej, owszem, ale mimo wszystko służącej zabijaniu. Holyrod próbuje zdobyć klientów dla swojej firmy – i zgarnąć prowizję dla siebie – w tym samym czasie, w którym powinien zarządzać miastem.

Carlyle skrzywił się z niesmakiem.

– Myślałem, że kiedy obejmuje się taki urząd, trzeba zrezygnować ze wszystkich innych posad.

– Najwyraźniej nie – parsknął Orb.

– A pan uważa to za niewłaściwe?

– To nie mój kraj – zastrzegł się ambasador, podnosząc rękę. – I nie mój interes. Nie powinienem wyrażać żadnych opinii na ten temat. Poza tym byłem już świadkiem znacznie gorszych działań władzy.

– Z pewnością. – Carlyle uśmiechnął się lekko.

– Jestem tylko bezstronnym obserwatorem.

Spoglądając na statek wycieczkowy płynący w górę rzeki, inspektor rozmyślał przez chwilę o tym, co właśnie powiedział mu ambasador.

– Więc mamy tu do czynienia z korupcją? – spytał w końcu.

Od rzeki nadciągnął zimny powiew wiatru, który przyprawił Orba o dreszcz.

– To bardzo niejednoznaczny termin – odparł. – Powiedzmy, że nie ma żadnych szans, żeby trafił do więzienia. Chcę tylko powiedzieć, że trochę obracam się w tych kręgach i wiem, że interesy robi w określony sposób. Nikt nie lubi pracować z kimś, kto staje się zbyt bezczelny.

– To samo można powiedzieć o całym współczesnym świecie – zauważył inspektor.

– Ma pan całkowitą rację. – Teraz to Orb się uśmiechnął.

– Poza tym – dodał, rozkładając ręce – nie przyszedł pan tutaj, żeby słuchać moich niedyplomatycznych wywodów, inspektorze. Jestem pewny, że zapomni pan o mojej niedyskrecji.

- Oczywiście.

- Koniec mojej kariery jest już bliski – oświadczył z powagą Orb. – Nie muszę się martwić o każde słowo, które pada z moich ust, ale mimo wszystko...

- Nie mam powodu, żeby robić panu kłopoty – przerwał mu Carlyle.

- W końcu nie w tej sprawie chciałem zasięgnąć pańskiej opinii.

- To dobrze. Dziękuję panu. A o czym właściwie chciał pan ze mną porozmawiać?

- Cóż... – Carlyle spojrzął na swoje buty i stwierdził, że zdecydowanie przydałoby się je wyczyścić i wypastować.

- Prowadzę śledztwo, w którym może się pojawić chilijski wątek. Pomyślałem, że warto zasięgnąć pańskiej rady w tej sprawie.

Ambasador słuchał uważnie, kiedy inspektor opisywał sprawę Millsów, a także historię Williama Pettigrew i zabiegów jego siostry, która chciała po latach postawić zabójców przed sądem. Gdy Carlyle skończył, Orb milczał przez chwilę.

- Wygląda na to, że zrobił pan już to, co do pana należało, inspektorze – powiedział w końcu. – Jakiej pomocy pan ode mnie potrzebuje?

- Zastanawiałem się, czy to, co Henry Mills mówił o chilijskich wrogach swojej żony, mogło być prawdą.

- Wszyscy mamy wrogów.

- Chodzi o wrogów, którzy chcieli ją zabić – sprecyzował Carlyle.

Orb ściągnął brwi, co zdecydowanie go postarzyło.

- Wydawało mi się, że sprawa jest już zamknięta. Oskarżył pan jej męża?

- Tak – odparł Carlyle, nie wspominając, że oskarżony pożegnał się już z tym światem.

Orb spojrzął mu prosto w oczy.

- Nie wierzy pan, że to on ją zabił?

Carlyle nie zamierzał dzielić się swoimi przemyśleniami z człowiekiem, którego dopiero co poznał.

- Próbuję po prostu wyjaśnić wszystkie szczegóły – odparł swobodnym tonem. – To bardzo poważna sprawa i nie chciałbym, żeby jakiś cyniczny obrońca zarzucił nam, że nie zbadaliśmy dokładnie wszystkich wątków.

– Oczywiście, oczywiście. – Orb się zamyślił. – Nie znam oczywiście osób, o których pan wspominał, ale prawdą jest, że ten rozdział naszej historii nie został jeszcze zamknięty. W tamtym czasie zniknęło mnóstwo ludzi, nie tylko księży. Wielu z nich nie odnaleziono do tej pory. – Spojrzał na Carlyle'a. – Wyobraża pan sobie, co wycierpiały ich rodziny?

Carlyle milczał. Nie chciał wyobrażać sobie takiego cierpienia.

– Skoro, jak pan mówi – ciągnął Orb – tego rodzaju sprawa wraca do sądu, to być może otworzyły się stare rany. Inaczej być przecież nie może. Jesteśmy tylko ludźmi, a to były bardzo trudne czasy.

– Rozumiem.

– Proszę tylko spojrzeć, jakie kontrowersje wywołuje nadal wojna domowa w Hiszpanii, a przecież miała miejsce znacznie wcześniej niż nasza... sytuacja. Ale dopóki żyją pokolenia, które dotknęło to bezpośrednio, ten temat zawsze będzie budził silne emocje.

– Na tyle silne, żeby kogoś zabić? – spytał Carlyle.

– To bardzo trudne pytanie. – Ambasador przesunął ręką po włosach. – Teoretycznie tak. Ale jak podpowiada mi doświadczenie, teoria i praktyka często się rozmiągają. Rzeczywiście, taka sytuacja jest możliwa, ale nie chcę powiedzieć, że ludzie gotowi są wziąć prawo w swoje ręce i postępować w taki sposób, szczególnie w obcym kraju. Czasy są teraz inne, ale wtedy... – Orb umilkł i spojrzał na rzekę, być może szukając czegoś, co oderwałoby go od tych rozmyślań. Po chwili odwrócił się do Carlyle'a. – Cóż, wtedy nie pomagałbym tak chętnie policjantowi w śledztwie.

– Ludzie mogli bezkarnie zabijać? – spytał inspektor.

– Tak, mogli. Ludzie tacy jak pan.

Carlyle odpowiedział uśmiechem, by pokazać, że nie czuje się urażony.

– Z pewnością ma pan rację, ale co z ludźmi takimi jak pan?

– Takimi jak ja? Cóż, ludzie tacy jak ja nigdy nie muszą sobie brudzić rąk.

– Więc wyszedł pan z tego bez szwanku?

– Oczywiście. To były straszne czasy, ale życie toczy się dalej. Trzeba pracować, wydawać przyjęcia, zabierać dzieci do zoo. Świat nie staje w miejscu tylko dlatego, że na stadionie kilka przecznic dalej morduje się ludzi. Nawet jeśli o tym wiem, nawet jeśli słyszę strzały, to co mogę

z tym zrobić? Nic. Więc zajmuję się swoim życiem. Trudno to sobie teraz wyobrazić, ale tak właśnie było.

– Wcale nie tak trudno – mruknął Carlyle.

– Co? – zdumiał się Orb. – Tutaj, w Anglii? W jednym z najbardziej cywilizowanych krajów na świecie? I mówi to właśnie pan, człowiek, który nie przeżył wojny ani poważnych niepokojów społecznych?

– Wiem, mam wielkie szczęście. Ale przynajmniej wiem, że je mam. Wiem też, jak łatwo to wszystko może się rozpaść. W sprzyjających – a raczej niesprzyjających okolicznościach – to, co zdarzyło się w Chile, co przytrafiło się Williamowi Pettigrew, może zdarzyć się wszędzie.

– To prawda – przyznał ambasador.

Zmierzchało. Carlyle uznał, że powinien już poprosić o to, czego naprawdę chce.

– Czy ma pan listę ludzi, którzy zostali tu dziś zaproszeni?

– Oczywiście. Moje biuro zajmowało się rozsyłaniem zaproszeń.

– Czy mógłbym dostać kopię?

– Tak. Prześlę ją panu jutro rano.

– Dziękuję. – Carlyle podawał właśnie ambasadorowi wizytówkę, gdy nagle tknęła go pewna myśl. – Co pan wtedy robił?

– Ja? – Na twarzy ambasadora pojawił się wyraz zaskoczenia. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim?

– Tak.

Chilijczyk podniósł wzrok ku ciemniejącemu niebu.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim byłem, że się tak wyrażę, wschodzącą gwiazdą w Chrześcijańskiej Partii Demokratycznej. Wykładałem ekonomię na Chilijskim Uniwersytecie Katolickim w Santiago. Specjalizowałem się w reformach rolnych. To było bardzo dawno temu. – Westchnął.

Wydawało się, że rozmowa o przeszłości nie wprawia ambasadora w zakłopotanie, więc Carlyle pytał dalej:

– Popierał pan Pinocheta?

Orb wzruszył ramionami.

– Tu nie chodziło o to, czy ktoś był za, czy przeciw, inspektorze. To się po prostu działo. Dopilnowałem, by moja rodzina zbytnio nie ucierpiała.

– Twarda z pana sztuka.

– Miałem długą karierę. Teraz pracuję dla socjalistycznego prezydenta, w dodatku kobiety. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, więc lepiej nie obnosić się za bardzo ze swoimi przekonaniem. – Delikatnie dotknął ramienia Carlyle’a. – Jestem pewny, że pan też już o tym wie.

– Tak – odparł Carlyle, który przez całe życie obnosił się ze swoimi poglądami i nigdy nie wyszedł na tym dobrze. – Myślę, że ma pan rację.

– Pan wybaczy, ale muszę już iść – rzekł ambasador. – W końcu wraz z pana wszechstronnym burmistrzem jestem gospodarzem tego przyjęcia. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Przekażę mu pańskie pozdrowienia, bo zdaje się, że jest pan jego zagorzałym zwolennikiem.

– Obejrzyj to, jest naprawdę zabawne – powiedział Dominic Silver.

Carlyle mruknął coś niezobowiązująco i wypił łyk zdecydowanie za zimnej jak na jego gust latte. Zawsze prosił o „bardzo gorącą”, a młody Brazylijczyk/Hindus/Ukrainiec/ i tak dalej kiwał z uśmiechem głową, a potem podawał mu coś, co można było nazwać najwyżej letnim. Doprowadzało go to do szaleństwa. Często wracał do sprzedawcy, reklamował kawę i kazał zaparzyć nową. Pewnego razu zrobił taką awanturę, że kierownik kawiarni wyszedł za nim na ulicę i groził, że skopie mu tyłek. Był to wspaniały przykład brytyjskiej uprzejmości i właściwego podejścia do klienta. Carlyle chętnie od razu by go aresztował, gdyby nie spieszył się na rozprawę, na którą i tak był już spóźniony.

Tego ranka postanowił jednak trzymać nerwy na wodzy. Zależało mu głównie na tym, żeby wprowadzić do swojego organizmu jak najwięcej kofeiny i zrekompensować tym to, że nie leży już w łóżku. Dwadzieścia metrów dalej Alice piszczała radośnie, gdy dwóch małych chłopców goniło ją wokół drzewa. Gdy w końcu ją dopadli, piszczała jeszcze głośniej. Carlyle uśmiechnął się mimowolnie, obserwując córkę. Choć nie był szczególnie zadowolony, że musi stać pośrodku Regent's Park w niedzielę o dziesiątej rano, dałby znacznie więcej za przyjemność oglądania radości swojego dziecka w słoneczny letni poranek, gdy świat wydawał się pełen obietnic. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, ilu traci tylko dlatego, że jest dzieckiem, a ilu na tym zyskuje.

Dwaj chłopcy ścigający Alice, Tom i Oliver, byli niemal jej rówieśnikami – Tom urodził się rok wcześniej, a Oliver rok później niż ona. Byli najmłodszymi z pięciorga dzieci Dominica Silvera i Evy Hollander. Myśląc o dużej rodzinie Dominica, Carlyle zawsze martwił się, że Alice nie ma żadnego rodzeństwa. Zdaniem praktycznej jak zawsze Helen nie powinni byli narzekać, lecz być wdzięczni losowi, że ich córka ma chociaż takich towarzyszy zabaw.

Żona inspektora i Eva zaaranżowały to spotkanie kilka dni wcześniej, ale Carlyle dowiedział się o nim dopiero poprzedniego wieczoru, nie zdążył więc przygotować sobie żadnej wymówki, która pozwoliłaby mu zostać w domu i dłużej pospać. Zastanawiał się, czy to samo spotkało Dominica.

Ludzie z jego branży nie należeli raczej do rannych ptaszków, ale Dominic był przecież ojcem licznej rodziny, więc siłą rzeczy musiał wyrobić sobie odpowiednio stoickie podejście. Ich kobiety zapewne wylegiwały się jeszcze w łóżku, ale obaj przywykli już do tego, że lepsze połowy co jakiś czas perfidnie wyprowadzają ich w pole.

Zadowoleni, że dzieciaki bawią się razem, Carlyle i Dominic usiedli na ławce i kontemplowali w milczeniu widoki. Znali się na tyle dobrze, że nie czuli potrzeby wypełniania ciszy rozmową. Ich znajomość sięgała początku lat osiemdziesiątych, kiedy to obaj przeszli policyjne szkolenie w Hendon College.

Dominic był stuprocentowym cockneyem, pochodził ze wschodniego Londynu i kibicował drużynie West Ham. Carlyle pochodził z zachodniej części miasta i był kibicem Fulham. Po ukończeniu szkoły policyjnej pracowali razem przy tłumieniu strajku górników, wspomagając się przy tym amfetaminą sprowadzaną przez Dominica. Obaj byli outsiderami, prześmiewcami, którzy lubili zadawać niewygodne pytania. Jednak obaj traktowali swoje obowiązki z należytą powagą, zawsze gotowi pracować tak długo, jak to konieczne. Łączyło ich na tyle dużo, że podczas czternastogodzinnych zmian, które spędzali razem z dala od domu, zdążyli się zaprzyjaźnić.

Po zakończeniu strajku Dominic nie wrócił do pracy w policji. Był zbyt przedsiębiorczy i energiczny, by zadowolić się posadą stróża prawa. Kilka miesięcy po powrocie do Londynu odszedł z policji metropolitalnej i zajął się prowadzeniem interesów. Kiedyś, na samym początku biznesowej kariery, zaproponował Carlyle'owi, by do niego dołączył, ten jednak nie mógłby pracować dla handlarza narkotyków. Choć nie potępiał Dominica ani jego życiowych wyborów, w taką działalność nie chciał się angażować.

Na przestrzeni lat ich ścieżki wiele razy schodziły się i krzyżowały, czasami przypadkowo, czasami z inicjatywy któregoś z nich. Nie było w tym nic dziwnego – ze względu na to, czym zajmował się Dominic, mieli sporo wspólnych spraw. Prawie trzydzieści lat później, gdy

Carlyle wciąż był zwykłym gliniarzem, Dominic Silver stał się w niektórych wydziałach policji metropolitalnej swego rodzaju legendą. Syn i bratanek policjantów był typowym przykładem dobrego chłopaka, który zszedł na złą drogę, ale zrobił to w stylu budzącym życzliwość nawet najbezwzględniejszych stróżów prawa. Do dziś w oczach niektórych policjantów w odpowiednim wieku Dom uchodził do pewnego stopnia za „jednego z nas”.

Jednak generalnie Dominic Silver bardzo oddalił się od tego, co stanowiło istotę życia jego ojca i stryja. W ostatnich kilku latach osiągnął szczyt kariery, zajmując miejsce na trzecim lub czwartym poziomie londyńskich handlarzy narkotyków. Jego pozycja była bardzo wygodna, pozwalała mu uniknąć problemów, z którymi borykali się ci wyżej i ci niżej. Zarabiał kilka milionów rocznie, a wśród jego klientów była grupa pomniejszych celebrytów i kilka nowych nazwisk z Kto jest kim. Miał nawet paru klientów korporacyjnych, którzy pomimo recesji kupowali jego towar na rachunek.

Budował swój biznes powoli, krok po kroku, starając się w miarę możliwości unikać konfliktów i nie rozwiązywać problemów siłą. W miarę upływu lat jego reputacja była coraz lepsza. W branży, w której mało komu udawało się przeżyć trzy lata, on przeżył już niemal trzydzieści, co zakrawało na cud. Nigdy go nie aresztowano, nigdy nie postawiono mu zarzutów. Nie był narwańcem, nie pozwolił, by sukces i tak zwane łatwe pieniądze uderzyły mu do głowy. Nie zajmował się też nigdy paskudnymi interesami kojarzonymi często z jego działalnością, szczególnie prostytutką, współczesnym niewolnictwem i handlem ludźmi.

Krótko mówiąc, nie był typowym przestępcą.

O jego sukcesie decydowało przede wszystkim pragmatyczne podejście do pieniędzy. Dominic nigdy nie mówił o tym otwarcie, ale Carlyle domyślał się, że jego przyjaciel oddaje znaczną część zarobków swoim najważniejszym dostawcom w zamian za ochronę.

– Jestem wolnym strzelcem i nim nie jestem – wyznał kiedyś inspektorowi. – Jestem niezależny, ale nie do końca. Można powiedzieć, że to swego rodzaju outsourcing. Pracuję w ich imieniu, a że robię to szybciej, taniej i dyskretniej niż inni, nie narzekam na brak zleceń.

Carlyle, człowiek pragmatyczny i samokrytyczny, uważał, że mają ze sobą sporo wspólnego. Lubił Dominica Silvera za wiele rzeczy. Niegdyś wesołkowaty i rozrywkowy, Dom z biegiem lat spoważniał i się ustatkował. Skończył studia z biznesu i zarządzania w Queen Mary College, nosił długie włosy i okulary bez oprawek, w których wyglądał jak pisarz albo nauczyciel akademicki, albo członek jakiegoś umiarkowanie rockowego zespołu w rodzaju Genesis. Jak na kogoś, kto dysponuje majątkiem sięgającym pięćdziesięciu milionów funtów, prowadził bardzo spokojne życie. Nie obnosił się ze swoim bogactwem, starał się nie wyróżniać z tłumu. Nie zażywał narkotyków. Nie palił, pił tylko okazyjnie. Regularnie chodził na siłownię i trzymał formę. Choć miał prawie metr osiemdziesiąt, ważył nie więcej niż siedemdziesiąt kilogramów.

Krótko mówiąc, Carlyle i Dominic utrzymywali trwałe i serdeczne relacje, niezbyt skomplikowane, ale zarazem niejednoznaczne. Być może, gdyby kontakt się urwał, żaden z nich nie chciałby odnowienia znajomości, ale obaj dostrzegali zalety i wady tej relacji. Oczywiście Carlyle nigdy nie mógłby go ścigać, nawet gdyby chciał, bo wyszłyby na jaw wszystkie przysługi, jakie Dom wyświadczył mu w przeszłości. Z drugiej jednak strony inspektor był pewny, że jego przypadek nie jest odosobniony – od lat słyszał plotki, że Silver ma protektorów na wyższych szczeblach hierarchii policyjnej, zarówno w policji metropolitalnej, jak i poza nią. Dominic korzystał też z pomocy kręgu bliskich doradców, do którego w razie potrzeby dołączał również Carlyle.

Inspektor miał do ich znajomości ambiwalentny stosunek. Wiedział, że gdyby ktoś chciał ją wykorzystać przeciwko niemu, byłby skończony, ale zdawał sobie sprawę, że i tak jest już za późno, żeby to zmienić.

Carlyle przyglądał się, jak Dominic szuka w telefonie właściwego nagrania. Gdy w końcu je znalazł, wcisnął guzik odtwarzania i odwrócił się do inspektora.

– Na początku są jakieś bzdury, ale fragment z imprezy warto obejrzeć – powiedział, wręczając mu telefon. – Weź, sam zobacz.

Carlyle wziął aparat, obserwując jednocześnie, jak Alice przebiega przez środek boiska, które ktoś urządził na trawniku, ścigana przez

Toma i Olivera. Potem spojrział bez większego zainteresowania na drżący obraz na wyświetlaczu komórki. Jego zdaniem telefony służyły do dzwonienia. Odkąd to każdy musi kręcić filmy? Zerknął na dzieci, by sprawdzić, czy nie odbiegły za daleko.

- Co to jest? - spytał.

- Nie co, tylko kto. Niejaki Jerome Sullivan.

- Kim jest Jerome Sullivan?

- Działa... działał w tej samej branży co ja. Właściwie nie był dla mnie konkurencją, ale spotkaliśmy się parę razy.

- Co się z nim stało? - pytał dalej Carlyle, choć skoro przeszli do poważnych spraw, wolał zachować ostrożność.

- Strzelił sobie w głowę - odparł Dominic wyraźnie rozbawiony.

- Co? - Carlyle spojrział na telefon. - Nagrał swoje samobójstwo? Nie sądziłem, że ludzie w twojej branży cierpią na depresję.

- Niezupełnie. - Teraz Dom uśmiechał się szeroko. - Popisywał się przed kumplem, ale nie wiedział, że w zamku został jeszcze jeden nabój.

Carlyle patrzył, jak Jerome przykłada sobie lufę do skroni.

- Tak właśnie działa dobór naturalny - mruknął.

- Ale nie to go zabiło - tłumaczył pogodnym tonem Dominic. - Pocisk odbił się od kości i nie trafił w mózg.

- Który prawdopodobnie był bardzo mały - dorzucił Carlyle.

- Tak. Zabił go upadek z wysokości trzydziestu metrów, z dachu budynku.

- Chłopak musiał się naprawdę starać. Skąd masz to nagranie?

- Ma je wiele osób - odparł Dominic. - Znajomi Jerome'a wyjątkowo chętnie współpracowali z policją. Nikt nie chciał zostać oskarżony o morderstwo.

- To rozumiałe - mruknął Carlyle. Kiedy nagranie dobiegło końca, inspektor odruchowo wcisnął guzik odtwarzania i raz jeszcze obejrzał ostatnie chwile Jerome'a Sullivana. Gdyby nie znał prawdy, nie potrafiłby powiedzieć, czy to autentyczne nagranie, czy zwykłe oszustwo.

- Pewnie chcą pić - powiedział nieoczekiwanie Dominic, wskazując dzieciaki, które biegły właśnie w ich stronę.

- Tak - zgodził się Carlyle. Natychmiast jednak o tym zapomniał, tknięty zupełnie inną myślą. Zatrzymał nagranie i przewinął je na

początek. Oglądał je przez kilka sekund i zatrzymał w miejscu, gdzie jeden z mężczyzn przebywających na dachu podniósł ręce w geście poddania. Carlyle przysunął telefon do oczu, nie dalej niż na dziesięć centymetrów. Jakość nagrania była kiepska, ale bez trudu rozpoznał dobrze mu znaną twarz.

- Dominicu - zaczął - co na tym nagraniu robi Michael Hagger?

Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, nie przeszkadzajcie im, do takich bowiem należy królestwo Boże.

Amen.

Helen była wściekła, że znów pokrzyżował jej niedzielne plany. Zapisła się na warsztaty jogi, a Carlyle miał w tym czasie zabrać Alice do zoo. Upierał się jednak przy swoim i próbował tłumaczyć, że jest zobowiązany zająć się tą sprawą. Obiecał przecież Amelii Jacobs, że porozmawia z Michaelem Haggerem i nie pozwoli, by sprawy wymknęły się spod kontroli. Ale nie porozmawiał. A sprawy się wymknęły.

Odkąd Hagger zabrał syna z przedszkola, minęły już prawie dwa tygodnie. Od tamtej pory nie widziano żadnego z nich – nie licząc nagrania, które Carlyle zgrał na swój telefon. Spędził to popołudnie w Kentish Town, próbując wytropić porywacza. Bez skutku. Teraz musiał wypić piwo, którego nawarzył.

Sam Laidlaw mieszkała w odległości pięciu minut spaceru od apartamentowca Carlyle'a. Idąc przez Covent Garden, inspektor naliczył dziewięć plakatów z napisem ZAGINIONY przyklejonych do latarni lub sklepowych witryn. Na kartkach formatu A4 widniało nieco rozmazane zdjęcie zachmurzonego Jake'a Haggera, poniżej zaś tekst, w którym oferowano dwa tysiące funtów za informacje o miejscu jego pobytu. Carlyle nie miał pojęcia, kto wyłożył te pieniądze, ale był pewny, że i tak nikt się o nie nie upomni. Już teraz plakaty były brudne i postrzępione. Jake właściwie niczym się nie wyróżniał, może prócz tego, że jego matka była dziwką, a ojciec pozbawioną skrupułów kanalią. Z pewnością nie był ślicznym dzieciakiem wygadanych rodziców z klasy średniej, którzy wciągnęliby w poszukiwania media i starali się wzbudzić powszechne współczucie. Jake pojawił się w mediach tylko na moment, a jego historia wkrótce musiała ustąpić miejsca wiadomości o chorym psychicznie mężczyźnie, który wszedł na wybieg lwa w londyńskim zoo.

Policyjne śledztwo nie przynosiło żadnych rezultatów, gdyż wszystkie tropy prowadziły donikąd. Jak w każdym przypadku zaginięcia dziecka, na policję zgłaszali się z „informacjami” ludzie, którzy marnowali tylko czas swój i policjantów – wariaci, wizjonerzy, marzyciele i „życzliwi” uwielbiający pławić się w cudzym nieszczęściu. Ale nawet tacy nieszczęśnicy nie byli szczególnie zainteresowani sprawą Jake’a Haggera. Carlyle westchnął ciężko, omijając turystów i chowając się przed słońcem. Wiedział, że plakaty z podobizną Jake’a nie przetrwają kolejnego tygodnia.

Dwie minuty po przybyciu do Phoenix House siedział na tej samej sofie z pomarańczowej skóry, której miał okazję przyjrzeć się podczas poprzedniej wizyty. Tym razem sofa była jeszcze brudniejsza, pojawiła się na niej cała kolekcja nowych plam i śladów po papierosach. Sam Laidlaw siedziała w fotelu naprzeciwko niego i wpatrywała się uparcie w podłogę. Carlyle próbował doszukać się w niej jakichś oznak życia, ale dziewczyna nadal wyglądała jak zombie. Nie licząc pojedynczych chlipnięć, nie wydawała żadnych dźwięków.

Amelia Jacobs prezentowała się znacznie lepiej. Ubrana w czarne dżinsy i szarą bluzę, przechadzała się nerwowo między nimi. Carlyle milczał, gdy w końcu się zatrzymała i zmierzyła go surowym spojrzeniem. Po chwili zapytała:

– Rozmawiał pan w ogóle z Michaellem?

– Próbowałem. – Inspektor pochylił się do przodu i spojrzał jej w oczy. – Nie mogłem go znaleźć. – Choć nie za bardzo się starałem, pomyślał. – Znacie może niejakiego Jerome’a Sullivana?

Laidlaw nawet nie drgnęła, jakby w ogóle nie słyszała pytania.

Jacobs ściągnęła brwi.

– Nie. Dlaczego pan pyta? On ma z tym coś wspólnego?

– Nie wiem – odparł szczerze Carlyle. – Ale wiem, że Michael niedawno się z nim spotykał.

– Więc facet musi być takim samym gnojem jak on – warknęła Amelia. – Rozmawiał pan z nim już?

– Nie żyje – wyjaśnił inspektor.

– Wspaniale! No i co z tym teraz zrobimy?

Pytanie Amelii było całkiem rozsądne. Carlyle podziwiał jej determinację. Wydawało się, że jest jedyną osobą, której naprawdę zależy na dzieciaku. Nawet gdyby udało się uratować Jake’a, trafiłby

prosto do opieki społecznej. Jego matka zmarnowała ostatnią szansę. To byłby cud – a właściwie skandal – gdyby kiedykolwiek go odzyskała. Amelia była tego świadoma, ale mimo wszystko nie zamierzała się poddawać.

– To nie moja sprawa. – Inspektor wzruszył ramionami.

– Tamtego drugiego gliniarza w ogóle to nie obchodzi – parsknęła Amelia.

– Cutlera?

– Tak. Facet liczy tylko na darmowy numer, nic więcej.

– Rozmawiałem z nim niedawno o tej sprawie.

– I?

– Robią, co mogą – odparł wymijająco Carlyle.

– Jasne. – Amelia wyglądała tak, jakby chciała go uderzyć. Wcale jej się nie dziwił.

– Jestem pewny, że go znajdą... że go znajdziemy – poprawił się szybko. W rzeczywistości wcale takiej pewności nie miał.

Amelia zacisnęła dłonie w pięści, jej oczy miały pioruny.

– Ktoś musi się wreszcie zainteresować tym dzieciakiem.

Carlyle wbił wzrok w czubki swoich butów.

– Inaczej będzie tak, jakby ten biedak nigdy nie pojawił się na tym świecie.

– Tak.

– A ten skurwysyn, jego ojciec, nie mógł tak po prostu zniknąć.

– Nie.

– Minęły już dwa tygodnie...

Carlyle wciąż nie podnosił wzroku.

– Wiem.

Tak, dobrze o tym wiedział. Mógł zamknąć oczy i odtworzyć w myślach całą historię. Ale to nie oznaczało, że mógł cokolwiek z tym zrobić.

Kiedy Carlyle obudził się następnego ranka, Helen szła właśnie do kuchni, by zrobić sobie zieloną herbatę. Podziękował, gdy zaproponowała mu kawę, wstał, przeciągnął się i poszedł do łazienki. Kiedy był już ubrany, postanowił, że raz jeszcze spróbuje ją udobruchać. Telewizor był włączony, ale Alice musiała już wychodzić

do szkoły. Wszedł do kuchni. Helen stała przy oknie, popijała kawę i patrzyła na panoramę Londynu.

– Może odprowadzę Alice do szkoły? – zaproponował.

Odwróciła się do niego.

– Nie trzeba.

Sięgnęła po czajnik i dołała sobie gorącej wody.

Carlyle przyjrzał jej się uważniej. Doszedł do wniosku, że to jakaś próba i że musi się bardziej starać.

– To naprawdę żaden problem – zapewnił ostrożnie. – Będziesz miała trochę czasu przed pracą.

Helena upiła łyk herbaty.

– Prawdę mówiąc, rozmawiałam z nią o tym wczoraj, kiedy ty prowadziłaś swoje śledztwo. – Na jej ustach pojawił się tajemniczy uśmiezek. – Pójdzie sama.

– Co? – Carlyle czuł, że ogarnia go panika. Jak jego córka może sama poruszać się po Londynie? Przecież jest za mała. Wszędzie czyhają na nią różne niebezpieczeństwa, całe hordy wariatów i zбочeńców, którzy tylko wypatrują okazji, by dopaść takie niewinne istoty jak ona. Nie wspominając o kierowcach białych furgonetek gotowych rozjechać każdego nieostrożnego przechodnia. Co ta Helen znowu wymyśliła, do diabła?

Żona inspektora obserwowała, jak wszystkie te emocje ukazują się na jego twarzy, i uśmiechała się coraz szerzej.

– Nie martw się, da sobie radę.

– Tak?

– Tak. Alice, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, jest bardzo rozsądnym dzieckiem. Poza tym musi to robić.

Carlyle ściągnął brwi.

– Naprawdę?

– Tak. Zbliża się koniec roku szkolnego. Po wakacjach będzie musiała sama chodzić do szkoły.

– Kto tak powiedział?

– Szkoła. Dostaliśmy list na ten temat, pamiętasz?

Carlyle odchrząknął niepewnie. Pamiętał wiele listów, ale żadnego konkretnie.

– Szkoła... – zaczęła Helen, odstawiając kubek do zlewu – wymaga, żeby dzieci w wieku Alice same przychodziły na zajęcia. Dyrektor

mówi, że to część procesu dorastania i uniezależniania się od rodziców.

– Uniezależniania się? – prychnął Carlyle.

– Otóż to. – Helena położyła mu rękę na ramieniu. – Nie możesz być bez końca nadopiekuńczym tatusiem.

Nie mogę? – zaprotestował w duchu inspektor. No to jeszcze się przekonamy.

Helen delikatnie ścisnęła jego ramię.

– Kiedyś musi zacząć.

– Wiem, wiem... – Carlyle przycisnął kciuki do skroni. Czuł nachodzący ból głowy. Musiał coś zjeść. Śniadanie nie mogło jednak rozwiązać jego problemów. Znacznie gorsze od niebezpieczeństw dużego miasta (wyołbrzymionych w znacznej mierze przez media, o czym dobrze wiedział), była świadomość, że złote czasy dobiegały końca. Jego córka chce go zostawić.

W tej samej chwili z przedpokoju dobiegło wołanie Alice:

– Wychodzę!

Helen wyszła szybko z kuchni i ją uściskała. Carlyle ruszył za nią. Uśmiechnął się do córki, nie zwracając uwagi na nieprzyjemny ucisk w brzuchu.

– Bądź ostrożna.

– Tak, tato!

Zmierzył ją spojrzeniem. W szkolnym mundurku wyglądała młodziej niż w dżinsach i podkoszulku.

– Pojedziesz autobusem? – spytał, wciąż zmagając się ze strachem.

Alice obciągnęła marynarkę.

– Mam dużo czasu, więc pójdę na piechotę. Po drodze mogę zgarnąć Sarah.

Carlyle spojrział pytająco na Helen.

– Koleżanka z klasy – wyjaśniła. – Mieszka w Hatton Garden.

Inspektor odwrócił się do córki.

– Ale masz przy sobie kartę miejską?

– Tak. – Alice westchnęła teatralnie.

– A komórkę?

Kolejne, jeszcze głośniejsze westchnienie.

– Tak. I wyślę mamie SMS-a, kiedy dojdę do szkoły.

Carlyle spojrział pytająco na Helen, a ta skinęła głową.

– A ty wyślesz wiadomość do mnie, prawda? – upewnił się.
– Tak, na twoją służbową komórkę. Może dzięki temu ją przeczytasz.

Helen nie mogła zrozumieć, dlaczego właściwie jej mąż używa dwóch telefonów. Oprócz służbowej komórki Carlyle zawsze nosił przy sobie tani aparat na kartę. Obecnie był to Sony Ericsson J132, który kosztował zaledwie pięć funtów w Carphone Warehouse na Long Acre. Kupił go kilka tygodni temu i za parę miesięcy zamierzał wymienić. Tylko bardzo małe grono ludzi wiedziało, że ma prywatny telefon, a jeszcze mniejsze znało jego numer. Carlyle próbował w ten sposób zachować choć odrobinę prywatności w coraz bardziej inwigilowanym świecie. Trzymał to w tak wielkiej tajemnicy, że czasem całymi dniami, a nawet tygodniami, zapominał sprawdzić, czy ktoś próbował się z nim skontaktować.

– No dobrze. – Westchnął, po czym przyciągnął córkę do siebie i mocno uściskał. – Miłego dnia – dorzucił, gdy Alice wyzwoliła się w końcu z jego objęć.

– Dzięki. – Dziewczynka pocałowała matkę w policzek i wyszła. – Na razie! – zawołała z korytarza, po czym minęła windę i zaczęła zbiegać po schodach.

Carlyle słuchał jej kroków, dopóki nie ucichły. Potem odwrócił się do Helen i zobaczył w jej oczach łzy.

– Wiem. – Objął ją. – Dobrze wiem.

Rosanna Snowden siedziała na przednim fotelu bmw i przeklinała w duchu londyńskie korki, które paraliżowały miasto nawet o tak późnej porze. Miała nadzieję, że uda jej się dotrzeć do domu, zanim zwymiotuje. Przed nagraniem kolejnego odcinka Kryminalnego Londynu wypła dla kurażu dwie podwójne wódki, a potem dołożyła do tego całą butelkę kupionego w supermarkecie wina Rio ja, co zdecydowanie nie było dobrym pomysłem. Wcześniej obiecywała sobie, że się nie upije, musiała jednak zapomnieć o tym planie, gdy szef jej szefa po raz nie wiadomo który zaczął się do niej dobierać. Alkohol był kluczowym elementem strategii obrony przed niechcianymi zalotami grubych, podstarzałych dyrektorów, z którymi już nieraz musiała sobie radzić.

W BBC od lat kultywowano tradycję „promowania” młodych talentów. Rosanna zawsze zdecydowanie się temu opierała, nawet jeśli jej niedoszli zalotnicy robili wszystko, by przełamać ten opór. Ian Dale, szef działu programów dokumentalnych, uganiał się za swoją „gwiazdeczką” niemal od roku. Rosanna nie mogła powiedzieć mu wprost, żeby się odwalił, ale też w żaden sposób go nie zachęcała. Teraz zaproponował, że podwiezie ją do domu. Wiedziała, że zapewne nie robi tego bezinteresownie, ale była pijana i zmęczona, a o tej porze musiałaby czekać na taksówkę całe wieki. W dodatku dochodziła północ, a Rosanna musiała nazajutrz stawić się w studiu przed ósmą. Doszła do wniosku, że jakoś poradzi sobie z Dale’em. W najgorszym wypadku może skorzystać ze swojej karty atutowej, czyli numeru komórki jego żony Eryki, który przezornie wzięła od sekretarki Dale’a, gdy tylko zrozumiała, że nie uwolni się od niego tak łatwo. Zapisała numer w swoim telefonie. Jeśli Dale będzie jej się za bardzo naprzykrzał, zadzwoni do Eryki i odda mu komórkę, żeby się wytłumaczył.

W końcu samochód pokonał ostatnie skrzyżowanie i wjechał w Gladstone Terrace. Dale zatrzymał się w zatoczce z napisem „Tylko

motocykle” przed jej apartamentowcem i wrzucił luz. W radiu zaczęła się właśnie piosenka Gold zespołu Spandau Ballet. Rosanna zastanawiała się, czy zdąży wejść do mieszkania, nim zbierze jej się na wymioty. W najgorszym wypadku skorzysta z krzaków rosnących po obu stronach chodnika przed wejściem. Z żalem pomyślała, że zdarzy się to nie pierwszy raz.

– Świetnie, Ian, dziękuję ci bardzo. – Nim samochód się zatrzymał, próbowała odpiąć pas i rzucić się do ucieczki, ale okazało się, że ze względu na swój stan nie może sobie poradzić nawet z tak prostym zadaniem.

Widząc jej zmagania, Dale uśmiechnął się lubieżnie.

– Chwileczkę, pomogę ci.

Położył jedną rękę na jej kolanie, a drugą sięgnął do klamry, dotykając przy okazji jej lewej piersi.

– Ian! – zaprotestowała Rosanna, choć zabrzmiało to raczej jak przytłumiony pisk, a nie krzyk. Pas wypiął się z cichym trzaskiem, a Dale rzucił się na nią. Czowała zapach jego potu, słyszała podniecone sapanie. – Zostaw mnie! – powiedziała stanowczym tonem.

Tymczasem Dale nadal ją obmacywał, próbował wsunąć język do jej ust. Przygniatał ją i był zbyt ciężki, by Rosanna mogła go z siebie zepchnąć. Coraz bardziej chciało jej się wymiotować. Poczwała, jak Dale wsuwa jej rękę między nogi. Wyprostowała kciuk i dźgnęła go w lewe oko.

Zakrył twarz obiema rękami i zsunął się na fotel kierowcy.

– Kurwa! Moje oko! Wybiłaś mi oko!

Rosanna uświadomiła sobie, że nie musi już rozpinąć pasa. Jednak gdy sięgała do klamki, poczuła straszliwy ból w brzuchu. Odwróciła się do Dale’a i zdążyła jeszcze dojrzeć grymas przerażenia na jego twarzy, nim zaczęła wymiotować. Wydawało się, że obfity strumień wymiocin, które odbijały się od jego koszuli i zbierały na kolanach, wypływa z ust Rosanny przez całą wieczność. Gdy w końcu ustał, odetchnęła głęboko kilka razy i sięgnęła do torebki. Wyjęła chusteczkę, wytarła starannie usta, po czym zgmiotła ją w kulkę i rzuciła w kałuże wymiocin.

– Uff! – sapnęła, uśmiechając się szeroko. – Teraz czuję się o wiele lepiej.

Ian Dale wciąż miał jedno oko zamknięte. Drugim patrzył na nią w niemym szoku. Wyglądał tak, jakby miał się za moment rozpłakać. Wnętrze samochodu wyglądało okropnie i jeszcze gorzej śmierdziało.

Rosanna otworzyła drzwi i wysunęła nogi na zewnątrz.

– To samochód twojej żony, tak? – spytała, rzucając okiem obrzyganą tapicerkę. – Będziesz się miał z czego tłumaczyć, kiedy wrócisz do domu.

– Mogę przynajmniej wejść do ciebie na moment i się umyć? – jęknął Dale.

– Chyba żartujesz! – pchnęła Rosanna. – Po tym, jak próbowałeś mnie zgwałcić?

– Co? – Tym razem z jego ust rzeczywiście wydobyło się ciche chlipnięcie. – To nie był gwałt.

– Jeszcze nie, ale byłby. – Rosanna czuła się teraz trzeźwiejsza i bardziej pewna siebie. – Można powiedzieć, że jesteśmy kwita, ale kiedy wjadę na górę, a ty tu jeszcze będziesz, zadzwonię na policję. A potem do Eryki.

– Ale... – próbował protestować Dale.

– Jestem pewna, że pani Dale będzie pod wrażeniem, kiedy się dowie, że w tym wieku wykazujesz się jeszcze taką jurnością.

Na wzmiankę o żonie Dale wrzucił w końcu bieg i zwolnił ręczny hamulec.

– Otóż to – powiedziała Rosanna, wysiadając z samochodu. – Grzeczny chłopak. Pamiętaj, że i tak ci się upiekło. Dobrej nocy i do zobaczenia jutro.

Zatrzasnęła drzwi, wyprostowała się i ruszyła nieco chwiejnym krokiem w stronę wejścia do budynku.

Wszystkie okna starego zardzewiałego peugeota 307 były otwarte, ale w środku nadal unosił się obrzydliwy smród, jakby ktoś najpierw tam zwymiotował, a potem ułożył się pod siedzeniem i umarł. Choć mężczyzna siedzący za kierownicą miał gumowe rękawiczki i tak brzydził się czegokolwiek dotykać. Już wcześniej postanowił, że po powrocie do domu weźmie prysznic – dwa razy.

Starając się wciągać powietrze z zewnątrz, wystawił głowę przez okno i zapalił następnego papierosa, wrzuciwszy niedopałek poprzedniego do kieszeni marynarki. Gdy dym wypełnił jego płuca,

poczuł się trochę lepiej. Już od ponad dwóch godzin czekał przed wyjściem obskurnego studenckiego pubu w północnym Londynie. Za każdym razem, gdy ze środka wychodziła grupa klientów, sięgał do stacyjki, gotów przejść do czynów. Jednak jego ofiara jeszcze się nie pojawiła.

Z każdą minutą, odmierzaną przez elektroniczny zegarek w samochodzie, jego irytacja rosła. Musiał zrezygnować z pokera, a uwielbiał tę grę, nawet jeśli sporo go kosztowała. Zgrzytając zębami, rozmyślał o tym, w jak idiotycznej jest sytuacji. W każdym normalnym kraju kazałby po prostu pójść komuś do tego pubu, wpakować parę kulek w głowę dziewczyny, rzucić broń na podłogę i wyjść. Żadnych pytań, żadnych problemów. Ale ten kraj nie należał do normalnych, dobrze o tym wiedział. Pogoda była podła, palenie uważano niemal za przestępstwo, nie mówiąc o strzelaniu do ludzi w miejscach publicznych.

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzecia piętnaście. Ziewnął i zaczął dłużyć w nosie.

Kiedy się w końcu pojawiła, rzucał właśnie kożą w jakiegoś kundla.

– Jak miło cię widzieć – mruknął.

W końcu się doczekał. Dziewczyna była sama, śpiewała pod nosem do melodii, która płynęła z iPod'a. Kołysała się w rytm muzyki. Prawdopodobnie była pijana.

Doskonale.

Uruchomił silnik i obserwował, jak wchodzi między zaparkowane auta dwadzieścia metrów dalej. Wysunęła głowę z za małego forda i upewniła się, że nic nie jedzie. Była na środku drogi, gdy zauważyła, że chodnik po drugiej stronie został zagrodzony ze względu na jakieś prace remontowe. Odwróciła się i ruszyła w stronę świateł na następnym skrzyżowaniu.

Mężczyzna wrzucił bieg i wyjechał powoli na ulicę. Dzielilo go od niej mniej więcej trzydzieści metrów, gdy wcisnął pedał gazu. Nim zrozumiała, co się dzieje, było już za późno. Zdążył jeszcze zobaczyć wyraz niedowierzania na jej twarzy, a potem usłyszał głuchy huk, gdy przetoczyła się przez maskę i runęła na asfalt.

Zastanawiał się, czy go rozpoznała. Miał nadzieję, że tak. Chciał, by wiedziała, dlaczego ją to spotkało, dlaczego musiała zginąć. To powinna być ostatnia myśl, która pojawi się w jej głowie, nim umrze.

Spojrzał we wsteczne lusterko. Ulica była pusta – żadnych świadków, żadnej reakcji. Miał mnóstwo czasu, by wrócić i sprawdzić, czy zadanie zostało należycie wykonane. Jednak uśmiech zadowolenia znikł z jego twarzy, gdy nagle tuż obok rozległ się klakson. Nieświadomie wjechał na skrzyżowanie na czerwonym świetle, o mało nie uderzając w bok taksówki, która przemknęła tuż przed jego maską.

– Cholera jasna! – zaklął, gwałtownie hamując.

Taksówka zatrzymała się z piskiem opon. Widział, jak rozwścieczony kierowca wysiada i idzie w jego stronę. Taksówkarz nie widział jeszcze dziewczyny, ale teraz nie było już mowy o powrocie. Nieważne – we wstecznym lusterku widział, że leży nieruchomo na jezdni. Kiedy w nią uderzył, jechał już bardzo szybko. Był pewny, że nie miała szans na przeżycie. Wdepnął gaz i zostawiając za sobą wzburzonego taksówkarza, zniknął w ciemnościach nocy.

Rosanna zamknęła drzwi i stanęła w holu apartamentowca Reith Mansions, wsłuchana w warkot silnika bmw. Upewniwszy się, że niechciany zalotnik w końcu odjechał, westchnęła triumfalnie.

– Krzyżyk na drogę, wstrętny grubasie – mruknęła. – Ciekawe, jak wytłumaczysz się z tego, kiedy wrócisz do domu.

Wyjęła z kieszeni żakietu komórkę i odszukała numer Eriki Dale. Już podnosiła drugą rękę, by nacisnąć guzik wybierania, jednak się zawahała i w końcu rozmyśliła.

– Dość już miałaś przygód jak na jeden dzień, dziewczyno – wymamrotała. – Czas się trochę przespać.

Przypomniała sobie, że winda jest zepsuta i weszła powoli po schodach na drugie piętro. Stanęła przed drzwiami swojego mieszkania i chwiejąc się lekko, zaczęła szukać w torebce kluczy. Po chwili, zirytowana, odwróciła torebkę do góry nogami i wysypała jej zawartość na dywan w korytarzu. Co za śmiecie, pomyślała. Muszę zrobić z tym porządek. Uklękła i rozgarnęła stertę różnych drobiazgów.

– Hurra!

Wzięła klucze i wstała powoli. Kiedy sięgała do zamka, uświadomiła sobie, że nie jest sama. Skrzywiła się, gdy jej oszołomiony mózg zdołał przetworzyć tę informację.

– A co ty tu robisz? – spytała, nie podnosząc wzroku. – Jest późno, a ja muszę iść rano do pracy. Poza tym nie czuję się dobrze.

Próbowała włożyć klucz do zamka, ale nie trafiła. Gdy spróbowała ponownie, klucz upadł na podłogę.

– Cholera! – Gdy pochyliła się, by go podnieść, zakręciło jej się w głowie.

Potem poczuła, jak mocna dłoń łapie ją za kołnierz i ciągnie do tyłu.

– Hej!

Rosanna próbowała stanąć prosto, ale ugięły się pod nią nogi. Poczowała bolesny ucisk w żołądku i pomyślała, że znów zwymiotuje. Zatoczyła się w stronę schodów. Spadł jej jeden but i nagle straciła

grunt pod nogami. Ta sama ręka sięgnęła w jej stronę, ale Rosanna nie zdążyła jej złapać i runęła plecami na schody.

Było gorąco, a Carlyle nie mógł uciec przed słońcem. Stał na placu Covent Garden, za zwiotczałą policyjną taśmą, ocierał pot z czoła i zerkał posepnie na tłum turystów, którzy się na niego gapili. Naprawdę nie mają nic lepszego do roboty niż wpatrywanie się w biedaka, który wykitował, grając na bongosach dla ich przyjemności? Przez ostatnią godzinę ludzie przychodzili i odchodzili, ale tłum powoli rósł. Teraz liczył ponad sto osób, prawdopodobnie więcej niż biedny Dennis Felix zgromadził kiedykolwiek za życia. Carlyle miał ochotę przejść się wśród turystów z kapeluszem zmarłego i zebrać datki na pogrzeb. Może nie byłoby tego dużo, ale przynajmniej większość gapiów na pewno by sobie poszła.

Obok niego stał zlany potem sierżant Dave Prentice. Opuściwszy niechętnie swoje ulubione stanowisko w recepcji komisariatu, odczytywał teraz informacje o niefortunnym muzyku, które udało mu się zebrać.

– Trzydzieści kilka lat, podobno. Z Estonii, podobno. Mieszka gdzieś we wschodnim Londynie.

– Podobno – dorzucił odruchowo Carlyle.

Prentice posłał mu ciężkie spojrzenie.

– Grał w tym miejscu od ponad roku, trzy, cztery razy w tygodniu.

– Dobra robota. – Carlyle pokiwał głową, próbując ratować sytuację.

– Szybko się uwinąłeś.

– Pogadaj z nią. – Prentice wskazał stojącą obok kobietę.

– Ona go znała.

Carlyle spojrział na nią i przywołał gestem. Była młoda i wychudzona, miała około metra sześćdziesięciu i ciemne obwódki pod oczami, które pasowały do jej czarnych włosów. Nosila workowate zielone spodnie i kusą różową kamizelkę, która odsłaniała całą kolekcję kolczyków wystających z jej pępka. Obwieszona zbyt dużą ilością biżuterii i bez makijażu, wyglądała tak, jakby zamierzała uciec do cyrku. A może już to zrobiła.

– Jestem inspektor Carlyle, pracuję z sierżantem Prentice’em.

Dziewczyna stanęła naprzeciwko Carlyle’a, ale milczała. Pomimo upału drżała, widział też, że wcześniej płakała.

– Jak się nazywasz? – spytał.

Przyjrzała mu się podejrzliwie. Potem zerknęła na ciało leżące na noszach i przykryte kocem. Ratownicy, którzy zaparkowali karetkę w rogu placu, czekali, aż będą mogli je zabrać.

– To chyba nie jest trudne pytanie? – warknął inspektor, czując, że jego mizerne zasoby współczucia są na wyczerpaniu.

– Kylie.

Co za pomysł, nazywać dziecko na cześć australijskiej gwiazdeczki pop, pomyślał. Skupił wzrok na punkcie znajdującym się kilka centymetrów nad jej głową.

– No dobrze, Kylie, co możesz mi powiedzieć o panu Felixie?

– Pochodził z Tallina, z Estonii. – Dziewczyna podrapała się po głowie. – To chyba gdzieś w Rosji. W każdym razie w tamtych okolicach.

– Co jeszcze?

Kylie zastanawiała się przez chwilę.

– Znałam go od mniej więcej pół roku – powiedziała w końcu.

– Jak?

– Co jak? – Spojrzała na niego wzrokiem zaciekawionego szczeniaka.

Inspektor odetchnął głęboko i policzył do dziesięciu. Uspokój się, przykazał sobie w myślach. Nie pozwól, żeby wkurzały cię drobnostki. Spróbuj trzymać emocje pod kontrolą.

– Jak dobrze go znałaś? Pieprzyłaś się z nim? Próbował, a potem cię zostawił? Przejęłaś się tym na tyle, żeby go zabić? Jak umarł?

– Pracuję tam. – Wskazała przyczepę z przekąskami stojącą przed wejściem do siłowni Jubilee Hall.

Carlyle uświadomił sobie, że już prawie od tygodnia nie był na siłowni. Czuł się ociężały. Muszę trochę poćwiczyć, pomyślał.

– Dennis wpadał do nas często na koktajl, lubił przy tym pogadać. A ja słuchałam, jak grał. Był naprawdę dobry. Miał świetną wersję Wonderwall.

Szkoda, że to przegapiłem, pomyślał Carlyle.

– Więc co się stało dziś rano?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Widziałam, jak przyszedł i rozstawił bębny. Zaczął grać, a ja musiałam zrobić klientowi cappuccino. Kiedy znowu na niego spojrzałam, siedział przechylony na bok. Nikt nie zwracał na niego uwagi. - Zapatrzyła się na moment w przestrzeń. - Może myśleli, że to część przedstawienia?

- Dlaczego mieliby tak myśleć?

Zignorowała jego pytanie.

- Wiedziałam, że coś jest nie tak, więc podeszłam do niego, żeby sprawdzić, czy mogę mu jakoś pomóc. Potrząsnęłam nim, a potem sprawdziłam puls... ale on już nie żył. - Przerwała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Dajże spokój, zachnął się w duchu Carlyle. Ledwie koleś znałaś, sprzedawałaś mu tylko soki.

- Brał narkotyki?

Obdarzyła go pozbawionym wyrazu spojrzeniem, które odczytał jako: „Oczywiście, że brał, ty idioto!”

- Nie.

- Jesteś pewna?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nigdy nie widziałam, żeby robił cokolwiek nielegalnego.

Ja potrzebowałbym jakichś mocnych drągów, gdybym musiał przez cały dzień bębnić na tych bongosach, pomyślał Carlyle.

- No dobrze, a był chory?

- Nie, był bardzo zdrowy.

- Co jeszcze robił? Oprócz grania na ulicy?

- Uwielbiał muzykę. Często prowadził warsztaty bębniarskie dla dzieci.

- Tutaj?

- Nie, w Hackney. Miał też swój zespół. Nazywa się Toompea. Grają alternatywny folk rock.

- Aha... - Carlyle zaczął się powoli wyłączać. Ten zmarły facet z każdą sekundą robił się coraz mniej interesujący.

Kylie spojrzał na niego wyczekująco, spodziewając się zapewne następnego pytania, ale inspektor nie miał pojęcia, czego jeszcze chciałby się od niej dowiedzieć.

Uratowała go Susan Phillips, która nagle pojawiła się przy taśmie.

- John?

Podniósł rękę, pokazując jej, że za minutkę podejdzie.

– Dziękuję – zwrócił się do dziewczyny. – Proszę podać sierżantowi Prentice'owi swoje dane, będziemy w kontakcie.

– Co mu się stało? – spytała Kylie.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Gdybyś przypomniała sobie jeszcze coś ważnego, od razu daj nam znać. – Odwrócił się szybko od dziewczyny, by znów nie zaczęła płakać, podszedł do Susan i się uśmiechnął.

– Miło cię widzieć.

– Ciebie też, John. Macie tu interesujący przypadek.

Susan Phillips, która pracowała w komisariacie Holborn, niecałe dziesięć minut drogi od placu, od piętnastu lat była etatowym patologiem policji metropolitalnej. Szczupła i jasnowłosa, ze zdrową cerą i radosnym uśmiechem, wносиła do policji odrobinę tak deficytowych wartości, jak uroda i pogoda ducha. Co ważniejsze, była szybka, rzeczowa i solidna, a takie właśnie cechy Carlyle najbardziej cenił u swoich współpracowników. Pracowali razem już wiele razy, a inspektor zawsze się cieszył, kiedy to właśnie ona pojawiała się na miejscu zbrodni.

– Co możesz mi powiedzieć? – spytał.

– Niewiele. – Phillips się uśmiechnęła i poprawiła nieco za duże okulary słoneczne.

– Morderstwo?

– Na razie nic na to nie wskazuje.

– Więc zawał? Dziewczyna mówi, że po prostu się przewrócił.

– Może. – Wzruszyła ramionami. – Był jeszcze młody, ale takie rzeczy się zdarzają. Przepraszam, ale na tym etapie nie mogę jeszcze stawiać hipotez. Na pierwszy rzut oka nie widać, co go zabiło. Zaraz go weźmiemy, potem wezmę go na stół i dam ci znać, czego się dowiedziałam.

– Doskonale. Dzięki, że przyszłaś.

– Nie ma problemu – odparła Phillips. – Do zobaczenia później.

Dwóch ratowników ostrożnie wsunęło nosze ze zwłokami do ambulansu. Carlyle obserwował, jak karetka włącza się powoli do ruchu na Bow Street, a potem jedzie w stronę komisariatu.

– Co zrobimy z bongosami? – spytał Prentice.

Carlyle spojrział na dwa bębny stojące obok innych rzeczy Felixa.

- Zabierz je z całą resztą na komisariat. To materiał dowodowy.
- Dobra – odparł Prentice, zadowolony, że wróci wreszcie na swoje miejsce w recepcji.

Kiedy sierżant się oddalił, Carlyle spojrział na gapiów. Gdy zabrano ciało, tłum zdecydowanie się przerzedził, większość ciekawskich ruszyła na poszukiwanie innych atrakcji. Ciężko być turystą, pomyślał Carlyle.

W końcu przy taśmie została tylko garstka ludzi. Jeden z nich spojrział prosto na Carlyle'a i uśmiechnął się szeroko.

- Kurwa mać... – mruknął inspektor pod nosem. Odruchowo sięgnął po kajdanki i znów zaklął, przypomniawszy sobie, że zostawił je – nie po raz pierwszy – w domu albo w komisariacie, albo Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie. Rozejrzał się, szukając jakiegoś wsparcia, chociażby moralnego. Prentice był już po drugiej stronie placu i zmierzał do komisariatu, niosąc pod pachami bębny Felixa. Wszyscy inni także już sobie poszli.

Carlyle odetchnął głęboko i podszedł do taśmy.

- Inspektorze... – Michael Hagger udał, że uchyla kapelusza i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, był wyższy i cięższy od Carlyle'a, nie wspominając o tym, że co najmniej piętnaście lat młodszy. Obaj wiedzieli, że inspektor sam nie da mu rady.

- Miło cię widzieć, Michaelu.

- Słyszałem, że mnie pan szuka.

- Nie tylko ja.

- No to jestem.

- Tak, tylko że ludzie szukają jeszcze chłopca. Gdzie jest Jake?

Hagger przestąpił z nogi na nogę.

- Dzieciakowi nic nie jest.

- To dobrze.

Hagger zachichotał drwiąco.

- Wiesz, że jeśli teraz spadnie mi włos z głowy, to się może zmienić...

- Tak. – Carlyle podniósł ręce w geście poddania. – Wiem.

Hagger zrobił bolesciwą minę.

- To naprawdę smutne, że w dzisiejszych czasach ojciec nie może spokojnie spędzić trochę czasu z synem.

Carlyle chciał mu coś powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język.

– Nikt mi nie powie, że jego matka, ta leniwa suka, zajmuje się nim jak należy.

Inspektor pomyślał, że w tej jednej kwestii trudno się z nim nie zgodzić.

Hagger spojrział na niego chytrze.

– Domyślam się, że kiedy już Jake do niej wróci, i tak zabierze go opieka społeczna.

„Kiedy”. Tak, to słowo zdecydowanie podobało się Carlyle’owi. Z drugiej strony Hagger zazwyczaj wygadywał mało znaczące bzdury.

– Gdzie on jest?

Hagger podniósł dłoń zaciśniętą w pięść, co miało podkreślać wagę jego słów.

– Chłopak jest bezpieczny. I ma się dobrze. Potrzebuję go jeszcze tylko na kilka dni, potem do was wróci. A na razie powiedz swoim ludziom, żeby zostawili mnie w spokoju.

Moim ludziom? Carlyle zastanawiał się, co to właściwie znaczy. Czyżby jednak inspektor Cutler postanowił zaskoczyć ich wszystkich?

– Dobrze.

– Jeśli Jake’owi coś się stanie – mówił Hagger, wyraźnie poruszony – to będzie tylko wasza wina.

– Nikt nie chce, żeby Jake’owi stała się krzywda – zapewnił Carlyle najłagodniejszym tonem, na jaki było go stać.

– No to powiedz swojemu kumpłowi Silverowi, żeby zachowywał się jak należy.

Silver? Inspektor ściągnął brwi.

– A co on ma z tym wspólnego?

Hagger wbił ręce w kieszenie spodni, odwrócił się i ruszył szybko na drugą stronę placu.

– Powtórz mu to tylko – rzucił przez ramię.

Carlyle odprowadził go wzrokiem, odtwarzając jednocześnie w myślach wszystko, co przed chwilą usłyszał. Kiedy Hagger zniknął za rogiem, inspektor sięgnął do kieszeni, wyjął swój prywatny, niewykrywalny (taką przynajmniej miał nadzieję) telefon i zadzwonił do Dominica Silvera. Niemal natychmiast włączyła się poczta głosowa. Carlyle, sfrustrowany, ścisnął mocniej aparat i zostawił krótką

wiadomość: „Dominicu, to ja. Oddzwon, gdy tylko będziesz mógł. Czekam na twój telefon, więc na pewno odbiorę”.

Przez chwilę wpatrywał się w komórkę, jakby liczył na to, że rzeczywiście lada moment zadzwoni, zastanawiając się jednocześnie, czy zdąży wpaść do Il Buffone na lunch. Telefon jednak nie zadzwonił, a on z żalem doszedł do wniosku, że nie ma czasu na normalny lunch. Alternatywą była kanapka z serem i sok pomarańczowy, które kupił od uśmiechniętej dziewczyny w przyczepie Kylie i zabrał do komisariatu.

Pięć minut później wysiadł z windy i ruszył do swojego biurka. Nie był zachwycony, kiedy zobaczył, że ktoś siedzi na jego krześle.

– John Carlyle?

– Tak.

Wysoki facet o azjatyckich rysach twarzy zdjął z biurka inspektora nieskazitelnie czyste nike i postawił je na podłodze.

– Jestem inspektor Nick Chan. – Wskazał głową drugiego mężczyznę stojącego w pobliżu. – A to sierżant Greg Brown.

Obaj mieli zadowolone miny, jakby chcieli powiedzieć: „Wiemy coś, czego ty nie wiesz”.

Chan i Brown? Po krótkim zastanowieniu Carlyle doszedł do wniosku, że nigdy nie słyszał o tych dwóch, co oznaczało, że powinien być ostrożny.

– Co mogę dla panów zrobić? – spytał. Nie mógł dłużej znieść dokuczliwego głodu, opadł więc na najbliższe krzesło i zaczął odwijać kanapkę.

Chan odebrał to jako sygnał, że powinien wstać.

– Przejdźmy do sali konferencyjnej.

– Dobrze. – Carlyle odgryzł spory kęs kanapki i przeżuwał go energicznie, podnosząc się jednocześnie z krzesła, a następnie idąc za kolegami po fachu do pustych pomieszczeń, które znajdowały się na tyłach tego piętra.

Główne miejsce w sali konferencyjnej numer siedem zajmował długi prostokątny stół otoczony kilkunastoma krzesłami. Carlyle szybko zajął miejsce na samym jego końcu, przy oknie. Ktoś zostawił tam „Mirror” z tego dnia. Gazeta była złożona na pół, więc inspektor widział tylko połowę nagłówka na pierwszej stronie: Prezenterka

telewizyjna... Z trudem oparłszy się pokusie, nie otworzył dziennika, tylko dojadł kanapkę, a potem napił się soku.

Do sali wszedł Brown, a potem Chan, który zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła. Obaj policjanci najwyraźniej nie zamierzali siadać.

– Zna pan Sandrę Groves? – spytał Chan.

Carlyle wypił ostatni łyk soku i zakręcił pustą butelkę.

– Tak.

– Twierdzi, że pan na nią napadł.

– Tak, słyszałem. – Wiedząc już, o co chodzi, Carlyle trochę się uspokoił.

– A napadł pan?

– Nie. – Inspektor uśmiechnął się do Browna, który odpowiedział mu ponurym spojrzeniem. – Nie widzieliście raportu?

– Sandra Groves leży w szpitalu.

– O ile mi wiadomo – zaczął Carlyle swobodnym tonem – kiedy wychodziła z komisariatu, była cała i zdrowa.

Brown skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ścianę.

– Jest na intensywnej opiece.

Carlyle ścisnął mocno butelkę i milczał. W pokoju było duszno, ale nie zamierzał wstawać i otwierać okna. Poczul, że telefon w kieszeni marynarki na piersiach zaczyna wibrować. Pewnie dzwoni Dominic, ale inspektor ani myślał odbierać. Jedyne, co mógł teraz robić, to siedzieć i słuchać.

– Ktoś próbował ją wczoraj w nocy przejechać samochodem – oznajmił Brown.

– I co z tego?

– To z tego – włączył się Chan, który nie zdołał powstrzymać uśmiechu – że ona twierdzi, iż to był pan.

Dwadzieścia minut później Chan i Brown wyszli. Carlyle wyjaśnił im wcześniej, że, po pierwsze, nie umie prowadzić samochodu, a po drugie, jego żona może zapewnić mu alibi na czas, gdy Sandra Groves padła ofiarą napaści. Policjanci i tak nie zwracali uwagi na to, co ma im do powiedzenia, wymamrotali zwyczajową formułkę, że wrócą, kiedy sprawa zostanie dokładniej zbadana, i zostawili go samego w sali konferencyjnej.

Carlyle sprawdził najpierw pocztę głosową. Tak jak przypuszczał, dzwonił do niego Dominic Silver: „John, to ja. Mówiłeś, zdaje się, że na pewno odbierzesz? Tak czy inaczej, nie oddzwaniaj. Po południu jestem zajęty. Zadzwoń jeszcze raz wieczorem”.

Inspektor musiał się przez chwilę zastanowić, po co właściwie dzwonił do Dominica, choć robił to zaledwie przed godziną. Kiedy sobie przypomniał, nie wydawało mu się to już takie ważne. Wstał i wrzucił pustą butelkę po soku do kosza w rogu pokoju. Potem rozłożył gazetę i skrzywił się, przeczytawszy cały tytuł: Prezenterka telewizyjna znaleziona martwa w swoim mieszkaniu.

Z ciężkim sercem czytał dalej:

Znana londyńska prezenterka Rosanna Snowden została dziś rano znaleziona martwa w swoim mieszkaniu w Fulham. Spadła ze schodów i skręciła sobie kark, doznając również urazów głowy i ręki. Policja odmawia na razie komentarzy, ale niektóre źródła sugerują, że nie można wykluczyć morderstwa.

Pozostała część artykułu umieszczonego pod zdjęciem Reith Mansions, gdzie mieszkała Rosanna, poświęcona była jej karierze i życiu osobistemu. Wracając myślami do ich spotkania, inspektor przeczytał artykuł jeszcze raz. Skoro spadła ze schodów, to może był to tylko wypadek? Ale jeśli policja nie wyklucza czegoś znacznie gorszego, musi mieć w tej kwestii spore wątpliwości.

Artykuł nie zawierał żadnej wzmianki o człowieku, który prześladował Snowdon. Carlyle bezskutecznie próbował przypomnieć sobie jego imię. Może właśnie on jest w to zamieszany? Inspektor złożył gazetę i rzucił ją na stół.

Czy powinien być poważniej potraktować jej obawy?

Czy mógł temu zapobiec?

Jak zwykle miał mnóstwo pytań i żadnych odpowiedzi.

– John – wyszeptał do siebie, wychodząc z pokoju – coś mi się wydaje, że to nie będzie dobry dzień.

Carlyle doszedł do wniosku, że ze względu na nowe okoliczności najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas zniknie. To oznaczało, że do końca dnia nie będzie używał służbowej komórki ani pokazywał się w komisariacie. Postanowił, że wybierze się tam, gdzie na pewno nikt mu nie przeszkodzi. Zabrał z biurka klucze do mieszkania Millsów i wyszedł na ulicę. Potem przemierzył powoli Covent Garden do Ridgemount Mansions, uważając, by nie wdawać się w kłótnie z kierowcami autobusów, manifestantami ani kimkolwiek innym.

Kiedy wszedł do mieszkania, uświadomił sobie, że jednak nie był to najlepszy pomysł. Od dwóch tygodni nikt nie otwierał tu okien, powietrze było ciężkie i cuchnące.

Carlyle zamknął drzwi i przeszedł szybko korytarzem do kuchni. Rozejrzał się i stwierdził, że od czasu jego ostatniej wizyty nic się nie zmieniło. Obok stołu leżało przewrócone krzesło, a na podłodze wciąż widniała kałuża zakrzepłej krwi Agathy Mills. Inspektor zastanawiał się przez moment, jak długo jeszcze to miejsce pozostanie w takim stanie. Ze względu na różnego rodzaju komplikacje i procedury prawne mogą minąć jeszcze długie miesiące – jeśli nie lata – zanim mieszkanie zostanie sprzedane. Carlyle pomyślał, że doskonale nadawałoby się dla jego rodziny, zdawał sobie jednak sprawę, że jest daleko poza ich zasięgiem – prawdopodobnie cena przekracza ich możliwości o jakiś milion funtów. Ciekaw był też, do kogo właściwie należy lokal – czy Millsowie zapisali go komuś w testamencie, czy też przejdzie na własność rządu i pomoże w spłacie długu publicznego. Dobrze wiedział, że brytyjskie finanse publiczne potrzebują wsparcia w każdej postaci.

Podszedł do okna, otworzył je i wyszedł na schody pożarowe, te same, przy których Sylvester Bassett palił papierosa w dniu śmierci Agathy Mills. Przysiadł na niewielkim podeście pod parapetem, oparł głowę o metalową poręcz i zamknął oczy. Siedział tak przez minutę czy dwie, analizując wydarzenia dnia. Nie doszedł do żadnych konkretnych wniosków, sięgnął więc do kieszeni marynarki i wyjął listę chilijskich gości, którzy tydzień temu uczestniczyli w przyjęciu wydanym przez burmistrza.

Ambasador dotrzymał obietnicy i przesłał mu tę listę nazajutrz po rozmowie. Carlyle włożył ją do kieszeni i zupełnie o niej zapomniał. Teraz nie miał nic innego do roboty, zaczął więc przeglądać nazwiska i nazwy różnych organizacji, które nic mu nie mówiły. W końcu dał za wygraną, schował listę i zapatrzył się w ciemne okna mieszkań naprzeciwko.

Po chwili wrócił myślami do Rosanny Snowdon. Poprosiła go o pomoc. Czy ją zawiódł? Nie miał pojęcia. Czy przyczynił się do jej śmierci? Na pewno nie. Gnojkiem, który ją zabił, jest gnojek, który ją zabił. Dawno już zrozumiał, że nie należy do ludzi, którzy skłonni są przypisywać sobie winy innych.

Z rozmyślań wyrwało go wibrowanie telefonu w górnej kieszeni marynarki. Ściągnął brwi, przekonany, że go wyłączył, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że to prywatna komórka. Mamrocząc coś pod nosem, sprawdził, kto dzwoni. Dominic Silver.

– Halo? – burknął do aparatu.

– Więc jednak umiesz odbierać telefon – zachichotał Dominic.

– Mówiłeś, że jesteś zajęty – odparł Carlyle, przypomniawszy sobie jego ostatnią wiadomość.

– Byłem... jestem, ale wydawało mi się, że byłeś czymś bardzo zdenerwowany.

– Bo byłem.

– Tak właśnie myślałem – podsumował Dominic radosnym tonem. – Więc w czym rzecz?

Carlyle potrzebował sekundy, żeby przypomnieć sobie, o co właściwie mu chodziło.

– Michael Hagger.

– Rozumiem. I co z nim?

– Przyszedł dziś do mnie.

- Naprawdę? - Dom nadal był pogodny, ale inspektor wyczuł w jego głosie czujność. - Przyproceedził chłopca?

- Nie, ale powiedział, że nic mu nie jest.

- To już coś.

- Powiedział też, że niedługo go odda.

Dominic milczał.

- I jeszcze - ciągnął Carlyle - żebyś zostawił go w spokoju. Miałem ci to przekazać.

- I co ty na to?

- A co mogłem powiedzieć? - prychnął zirytowany inspektor. - Nie miałem bladego pojęcia, o czym on gada.

- Gdzie teraz jest?

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Puściłeś go?

- A co miałem zrobić? Nie wiemy, gdzie jest dzieciak, ani nawet dlaczego Hagger go więzi. - Carlyle pominął to, że Hagger poradziłby sobie z nim bez trudu, gdyby był na tyle głupi i próbował go aresztować.

- Pragmatyk w każdym calu - stwierdził Silver. - Miejmy nadzieję, że nikt się nie dowie, jak potraktowałeś najbardziej poszukiwanego człowieka w Londynie.

- Miejmy nadzieję - mruknął Carlyle.

W słuchawce na moment zapadła cisza.

- Ale chyba wiesz, jak ludzie mogliby to odebrać? - odezwał się wreszcie Dominic.

- Grozisz mi? - warknął inspektor, ogarnięty nagłym gniewem.

- Nie, nie - zaprzeczył szybko Dominic. - Oczywiście, że nie.

Carlyle odchrząknął.

- Nie wygłupiaj się - powiedział Dom. - Podpowiadam ci tylko, żebyś nikomu o tym nie mówił.

- Jasne, bo chciałem się wszystkim pochwalić. No dobrze, ale co się właściwie dzieje?

Dominic znów milczał przez chwilę, a inspektor niemal słyszał, jak jego mózg pracuje na wysokich obrotach, przetwarzając informacje, którymi chce się z nim podzielić.

- Jak wiesz, Hagger pracował czasami dla Jerome'a Sullivana.

- Dla kogo?

– No wiesz, tego faceta z nagrania, które ci pokazywałem. Geniusza, który strzelił sobie w głowę, a potem spadł z dachu swojego bloku. Pamiętasz, zauważyłeś wtedy Haggera w tle?

– Tak, tak – potwierdził Carlyle, choć wcale nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta historia.

– Więc wygląda na to, że Hagger i inny przygłupi kumpel Jerome'a, Eric Christian, próbują nadal prowadzić interesy, które zostawił po sobie ich wspaniały przywódca, jednak najwyraźniej nie dają sobie z tym rady. Jeden z moich... współników poprosił, żebym zrobił z tym porządek.

– Poprosił cię?

– Poleciał.

Carlyle westchnął ciężko. Zwykle nie chciał wiedzieć zbyt dużo o profesji Dominica Silvera, ale w tej sytuacji taka wiedza była mu potrzebna.

– Myślałem, że nie zajmujesz się takimi rzeczami – rzekł.

– To prawda – przyznał Dominic. – Staram się tylko znaleźć optymalne wyjście z tej sytuacji.

– I bierzesz pod uwagę Jake'a?

– Tak.

– Czy w związku z tym ktoś jeszcze będzie musiał spaść z dachu? – spytał Carlyle, krzywiąc się odruchowo.

– Miejmy nadzieję, że nie – odpowiedział wymijająco Dominic.

– No dobrze, a jaką rolę odgrywa w tym wszystkim dzieciak?

– Hagger wykorzystuje go jako dodatkowe zabezpieczenie długu Jerome'a.

– Dodatkowe zabezpieczenie? – prychnął Carlyle. – A ile on może być wart?

– Całkiem sporo, jeśli znasz nieodpowiednich ludzi – odparł Silver po krótkiej pauzie.

Inspektor poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Ile?

– Nie wiem.

– Kto jest wierzycielem?

– Nie jestem pewny.

– Jakież domysły?

– Nie. Nie na tym etapie.

- Ile mamy czasu?
- Nie wiem.
- Co się stanie, jeśli Hagger nie dostarczy pieniędzy?
- Dzieciak zostanie sprzedany na aukcji – odpowiedział Dominic rzeczowym tonem, jakby było oczywiste.
- Daj spokój – jęknął Carlyle. – Nie wciskaj mi kitu.
- Nie wciskam ci kitu – odparował Dominic. – Mówię, jak jest. Nie zabijaj posłańca, John. Staram się tylko pomóc.
- Jezu – westchnął Carlyle znużony. – Dlaczego ty się pakujesz w takie gówna?
- Próbuję to uporządkować – odparł Dominic ze złością.
Inspektor zakasłał i wypluł odrobinę flegmy, która spadła na chodnik pod schodami. Miał sucho w ustach i czuł się okropnie. Jak bardzo trzeba być zdegenerowanym, żeby sprzedawać własne dziecko? Pal sześć Dominica, ale jak on sam dał się wplątać w taką sytuację?
- John, muszę kończyć...
- Jasne. – Carlyle wziął się w garść. – Zależy mi tylko na chłopcu. Rób, co musisz, żeby go odzyskać, a ja dopilnuję, żeby policja nie interesowała się szczególnie całą resztą.
- Dzięki – odparł Dominic.
- Tylko go odzyskaj – burknął inspektor. – Całego i zdrowego.
- Nie martw się. Dopilnuję, żeby nic mu się nie stało, nawet jeśli będę musiał za niego zapłacić z własnej kieszeni.
- Trzymam cię za słowo.
- Za kogo ty mnie masz?
Chyba nie oczekujesz, że odpowiem na to pytanie, pomyślał Carlyle.
- Gdzie on teraz jest?
- Nie mogę ci powiedzieć.
- Nie możesz czy nie chcesz?
- Nie mogę, bo nie mam pojęcia. Posłuchaj, siedź spokojnie i czekaj. Sprawa wkrótce się rozwiąże.
- A mam jakiś wybór? – mruknął Carlyle.
- Nie martw się. Będziemy w kontakcie. Dopilnuję, żebyś to ty dostał cynk, a nie ten idiota Cutler.
Przypomniawszy w ten sposób Carlyle'owi, że nie jest jedynym gliniarzem w mieście, Dominic zakończył rozmowę. Inspektor schował telefon do kieszeni i podrapał się po głowie. Wrócił do okna i próbował

je otworzyć, ale bez powodzenia. Klnąc pod nosem, pchnął ramę obiema rękami, lecz ta nawet nie drgnęła. Zajrzał do środka i zrozumiał, że zamek musiał się zatrzasnąć, kiedy on wyszedł na zewnątrz. W pierwszym odruchu chciał rozbić szybę, potem jednak uświadomił sobie, że może po prostu zejść schodami na ulicę. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Nawet jeśli, kiedy znaleziono Agathę Mills, okno było zamknięte – musi zapytać o to Bassetta – ktoś mógł wyjść z mieszkania i opuścić budynek w taki sam sposób jak on. Może tędy również wszedł. Analizując w głowie różne scenariusze, Carlyle zszedł powoli na ulicę.

Gdy znalazł się na dole, otworzył metalową furtkę i wyszedł na krótką uliczkę zastawioną koszami i workami pełnymi śmieci, prowadzącą do Great Russell Street. Zniesmaczony znajomym smrodem uryny i gnijącego jedzenia, wstrzymał oddech i przyspieszył kroku. Od głównej ulicy dzieliło go już zaledwie kilka metrów, gdy wielki czarny worek pod ścianą zaczął się poruszać. Przekonany, że to robota jakiegoś szczura, Carlyle szedł dalej. Musiał się jednak zatrzymać, gdy worek nagle wstał, ziewnął i beknął przeciągle. Nie mogąc już dłużej wstrzymać oddechu, inspektor zmuszony był wciągnąć obezwładniającą mieszankę zapachów curry, jajek i piwa. Cofnął się o krok i patrzył, jak kloszard otrząsa się z resztek snu. Mężczyzna miał na sobie co najmniej trzy warstwy ubrań, okryte na dodatek ciężkim wełnianym płaszczem. Do tego nosił luźne spodnie, które wyglądały tak, jakby po raz ostatni prano je w minionym tysiącleciu, i całkiem przyzwoite, choć bardzo znoszone skórzane buty. Całości dopełniała niebieska wełniana czapka.

Zrozumiawszy poniewczasie, że nie jest sam, mężczyzna zmierzył Carlyle'a niechętnym spojrzeniem. Przez chwilę zastanawiał się, co ma właściwie myśleć o tym człowieku, coraz szerzej otwierając przy tym oczy, jakby nigdy dotąd nie widział innej ludzkiej istoty. W końcu otworzył usta, z których wydobyły się nieco bełkotliwe słowa:

– Masz jakieś pieniądze?

Carlyle dopiero teraz uświadomił sobie, kto przed nim stoi.

– Pies? – powiedział, zdumiony. – Myślałem, że nie żyjesz.

Walter Poonoosamy rozmyślał nad tym przez chwilę, rozglądając się jednocześnie po wąskiej alejce.

– Może i nie żyję – powiedział w końcu, pociągając nosem.

Odsunął się od sterty śmieci, przy której przed chwilą spał, nadal jednak blokował inspektorowi jedyną drogę ucieczki. Smród przybierał na sile, a Carlyle marzył tylko o tym, by się od niego uwolnić.

– Cóż... – wymamrotał, starając się wykrzesać z siebie choć odrobinę życzliwości. – Cieszę się, że jednak nas nie opuścicieś. Na pewno wkrótce zobaczymy się w komisariacie.

Kloszard odchrząknął i spojrzał na pobliską stertę śmieci. Trącił czubkiem buta najbliższy worek, jakby chciał sprawdzić, czy nie zachował się tam przypadkiem jakiś smakołyk, który wcześniej pominął. Uznawszy to za sygnał do odwrotu, Carlyle przeszedł obok Psa i znalazł się na głównej ulicy.

– Przepraszamy bardzo!

Ledwie inspektor postawił stopę na chodniku, podeszła do niego para chińskich turystów, którzy podsunęli mu pod nos mapę i zapytali bardzo grzecznie – do tego perfekcyjną angielszczyzną, której w Anglii nikt nie używa już od dziesięcioleci – o drogę do British Museum. Carlyle miał ogromną ochotę posłać ich w przeciwnym kierunku, oparł się jednak pokusie i wskazał budynek po drugiej stronie ulicy, siląc się przy tym na uśmiech. Chińczycy pożegnali go radosnym „dziękujemy” i weszli niemal prosto pod wielki autokar. Gdy w końcu przedostali się na drugą stronę ulicy, musieli jeszcze ominąć chodnikowych artystów i sprzedawców hot dogów, ostatecznie jednak zdołali dotrzeć do bram muzeum. Carlyle odprowadził ich wzrokiem, po czym odwrócił się, by ruszyć w stronę domu.

Nie uszedł jednak nawet dwudziestu metrów, gdy przyszła mu do głowy pewna myśl. Zawrócił i po chwili znów stanął w alejce przy budynku Millsów. Kloszard wciąż tam był, siedział na stercie worków ze śmieciami i rozglądał się, jakby dokonywał inspekcji swojego królestwa. W rękę trzymał butelkę bez etykiety, z której sączył jakąś brązową ciecz.

Nie okazał w żaden sposób, że zauważył pojawienie się policjanta. Starając się nie zwracać uwagi na smród, Carlyle podszedł do niego.

– Walterze – zaczął, gdy uznał, że być może uda mu się przyciągnąć uwagę kloszarda – często tu przychodzisz?

Pies nawet nie podniósł na niego wzroku, odsunął jednak butelkę od ust na tyle daleko, by móc wymamrotać:

– Czasami.

– Nocą też?

Pies skinął głową, przyłożył szyjkę butelki do ust i opróżnił ją jednym haustem.

– Byłeś tutaj dwa tygodnie temu?

Kloszard podrapał się ze lewym uchem, jakby próbował objąć rozumem pojęcie czasu. Uznawszy, że to zadanie ponad jego siły, spojrzał znużony na policjanta.

– Nie wiem.

– A kiedy bywałeś tu ostatnio – nie poddawał się Carlyle – widziałeś kogoś innego?

Pies znów zamyslił się głęboko i zmagał przez chwilę z tym trudnym zagadnieniem.

– Nie – powiedział w końcu.

Cholera! – zaklął w duchu inspektor.

– Nikogo?

Kolejna pauza.

– Tylko tego faceta z brodą.

– Faceta z brodą?

Kloszard rzucił butelkę za siebie i wstał. Spojrzał na Carlyle'a.

– Nie musisz powtarzać wszystkiego, co mówię – burknął. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął z niej coś, co wyglądało jak kawałek wołowiny. Odchylił głowę do tyłu i włożył smakołyk do ust. Powstrzymując odruch wymiotny, Carlyle czekał cierpliwie, aż jego rozmówca przeżuje mięso, połknie je i beknie z zadowoleniem. Inspektor uznał, że skoro już trafił na jeden z lepszych dni Psa – może powrót ze świata zmarłych pomoże mu ożywić nieco procesy myślowe – to może warto się poświęcić i wydobyć od niego jakieś cenne informacje.

W końcu Pies wytarł tłustą rękę w płaszczy i powiedział:

– Zszedł z tych schodów, jak ty. Poprosiłem go o pieniądze. Powiedział coś w jakimś innym języku.

– Po hiszpańsku? – spytał Carlyle.

– Może.

– Jak wyglądał?

– Miał brodę – odpowiedział kloszard, znów spoglądając na stertę śmieci. Najwyraźniej myślał już o tym, gdzie mógłby znaleźć coś jeszcze do picia.

- Rozumiem. - Carlyle skinął głową, zrozumiał, że Psa pochłaniają już zupełnie inne sprawy, i że teraz nie dowie się od niego nic więcej. - Dzięki. - Wyjął z kieszeni spodni banknot dziesięciofuntowy i podał go mężczyźnie. - Proszę, kup sobie za to cydr czy co tam chcesz.

Na wzmiankę o szatańskim napoju Pies natychmiast się ożywił, spojrzał jednak na pieniądze z pewną podejrzliwością.

- To się nada?

- Myślę, że tak - odparł Carlyle. - Jeśli tylko wypijesz odpowiednio dużo...

- Nie. - Pies się skrzywił. - Pytam, czy pieniądze się nadadzą. Tamtych nie chcieli.

- Kto nie chciał? - spytał inspektor, odruchowo zadając niewłaściwe pytanie.

- Facet w monopolowym - obruszył się kloszard, jakby to było oczywiste. - Powiedział, że te pieniądze nie są nic warte.

- Jakie pieniądze?

Pies zaczął grzebać w kieszeniach.

- Pieniądze, które dał mi tamten gość z brodą.

Carlyle obserwował, jak włóczęga wyjmując z różnych kieszeni kawałki papieru, przygląda im się uważnie i chowa z powrotem.

Za czwartą lub piątą próbą trafił na coś, co wyglądało jak stary banknot jednofuntowy. Pomachał nim Carlyle'owi przed nosem.

- Te.

- Wiesz co, zamienimy się - zaproponował inspektor, który wciąż trzymał dziesiątaka. - Te pieniądze na pewno są dobre.

- Lepiej, żeby były - mruknął Pies, wstając z worka i wymieniając banknoty. Obejrząwszy dokładnie dziesięć funtów, podjął decyzję i żwawym krokiem opuścił alejkę, by wyruszyć na poszukiwania odpowiedniego napoju.

Kiedy zniknął za rogiem, Carlyle przyjrzał się uważnie pieniądzom, które od niego dostał. Był to nieco wytarty banknot o wartości tysiąc peso w kolorze, który inspektor mógł opisać tylko jako akwamaryna. Po obu stronach widniał napis Banco Central de Chile. Oprócz tego na jednej stronie znajdował się rysunek jakiegoś posągu, a na drugiej mężczyzny w mundurze z czasów wiktoriańskich, stojącego na tle

okrętu wojennego. Kiedy Carlyle wyteżył wzrok, odczytał jego nazwisko: Augustin Arturo Prat Chacón.

Uśmiechnął się i schował banknot do kieszeni spodni. Nie miał pojęcia, ile warte jest tysiąc peso, ale wiedział, że ten dowód może się okazać bezcenny dla jego śledztwa.

Burmistrz upił łyk Auchentoshan 3 Wood, słodowej whisky, o której specjaliści od reklamy napisali, że najlepiej pić ją bez dodatków, w chwilach zamyślenia i kontemplacji. Co istotniejsze, whisky miała czterdzieści trzy procent alkoholu. Christian Holyrod nie był człowiekiem skłonny do zamyślenia się i kontemplacji, ale w tym momencie zdecydowanie potrzebował drinka, a najlepiej kilku. Upił kolejny łyk i spojrzał na człowieka, który przed nim stał.

– Nie wiem, co pan właściwie kombinuje – powiedział cicho. – I nie chcę wiedzieć. Proszę tylko pamiętać o zasadzie numer jeden...

Gość burmistrza uśmiechnął się blado, udając dość nieudolnie, że interesuje go to, co ma mu do powiedzenia udręczony polityk.

– A jak brzmi zasada numer jeden? – spytał świadomy, że właśnie tego się od niego oczekuje.

Burmistrz pochylił się w jego stronę.

– Jest bardzo prosta: „Nie daj się złapać”.

– Och, dajmy spokój, panie burmistrzu. Dlaczego uważa pan, że robię coś nielegalnego?

Holyrod, który poczuł właśnie, jak po jego wnętrznościach rozlewa się pierwsza fala cudownego ciepła wywołanego przez auchentoshan, zignorował pytanie.

– Obaj jesteśmy żołnierzami – ciągnął jego gość. – Oficerami.

Mówisz, jakbyś coś o tym wiedział, pomyślał cierpko burmistrz. Są oficerowie i oficerowie.

– Obaj wiemy, jak ważna jest dyskrecja – dodał mężczyzna. – I honor.

Zobaczymy, odpowiedział w duchu burmistrz.

Mężczyzna spojrzał na szklankę wody mineralnej, którą trzymał w ręku.

– Proszę się nie martwić. Wszystko pójdzie zgodnie z planem – zapewnił. – Wesprzemy konferencję TEMPO, tak jak obiecaliśmy. Co

ważniejsze dla pańskich przyjaciół z Pierrepoint Aerospace, kontrakt zostanie podpisany jeszcze przed uroczystym otwarciem.

Holyrod napił się whisky. Przez cały dzień nic nie jadł, więc alkohol uderzył mu do głowy. Był zmęczony i zirytowany.

– Miło mi to słyszeć. Ale musi pan pamiętać, że umowa już powinna być podpisana. Jeśli nie dojdzie do tego przed rozpoczęciem konferencji, Pierrepoint pozwie LAHC.

Rozmówca burmistrza zeszywniał.

– Obaj wiemy, że to nie będzie konieczne.

– Oby – mruknął Holyrod. – Ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, jest kolejna umowa na dostawę sprzętu, której realizacja dramatycznie się opóźnia, a wydatki znacznie przewyższają zakładany próg.

– A tak. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Zielony raport. Ten, który wasz rząd chciał zachować w tajemnicy.

– Bezskutecznie – dorzucił Holyrod gorzko.

– Widziałem tylko to, co pisali w gazetach, ale rzeczywiście, wasze Ministerstwo Obrony się nie popisało. Nikt nie może być zadowolony, kiedy pieniądze wyrzuca się w błoto, a żołnierze na froncie nie mają potrzebnego sprzętu.

– Cóż – Holyrod westchnął – nigdy nie potrafili zarządzać finansami. Ale ponieważ widziałem to już z obu stron, rozumiem, z jakimi trudnościami borykają się urzędnicy w Whitehallu.

– Na pewno. I właśnie dlatego powinien pan zwrócić się do nas.

– Przy założeniu, że naprawdę możecie dostarczyć to, czego potrzebujemy – zaznaczył Holyrod.

– Możemy. Na czas i w ramach przyjętego budżetu.

– To dobrze.

– A wy z kolei będziecie mogli dostarczyć Ministerstwu Obrony potrzebny sprzęt prawie na czas i prawie za założoną cenę.

Holyrod postanowił zignorować tę złośliwość.

– Powiedziałem rządowi Pierrepoint, że moim zdaniem wystąpienie na drogę sądową niczego nie przyniesie, nawet gdyby miała to być ostateczność. Przemawia za tym wiele argumentów, choćby ten, że sprawa zostałaby wtedy niepotrzebnie nagłośniona. Ale mój głos jest tylko jednym z wielu. Na razie sytuacja wygląda tak, że większość nie podziela mojego punktu widzenia.

– Ach tak, trudny żywot dyrektora konsultanta. Prawdę mówiąc, dziwię się, że potrafi pan łączyć taką pracę z funkcją polityczną.

Holyrod zastanawiał się, czy miała to być groźba. Cholerni cudzoziemcy, nigdy nie powinien być robić z nimi interesów. Opróżnił szklankę i pokazał kelnerowi, że chce następną. Wiedział, że nie powinien więcej pić, ale miał to gdzieś.

– Wszystko zostało oficjalnie uzgodnione i zatwierdzone. Zanim jeszcze zacząłem kampanię wyborczą, mówiłem wyraźnie, że buduję portfolio różnych interesów i że nie będę mógł z tego zrezygnować, jeśli zostanę wybrany na burmistrza.

Mężczyzna skinął głową.

– To prawda.

– Wyborcom podobało się, że potrafię zarabiać na życie w realnym świecie.

Mężczyzna spojrzał na niego pytająco.

– W sektorze prywatnym – wyjaśnił burmistrz.

– Ach tak.

Kelner wziął od Holyroda pustą szklankę i postawił na stole kolejną dużą porcję whisky. Burmistrz zważył szklankę w rękę – była przyjemnie ciężka. Jeszcze ze dwie i nie będę musiał przejmować się kolacją, pomyślał. I może choć raz się porządnie wyśpię.

– Nikt nie może wątpić w moje oddanie służbie publicznej. Ale nie zarobię tym na chleb.

– Oczywiście.

Holyrod upił pierwszy łyk.

– Przez ponad dziesięć lat służyłem królowej i ojczyźnie w różnych zakazanych miejscach, w których bywał i pan.

– Tak.

– I nadal jestem oddany służbie publicznej, ale nie kosztem mojej rodziny. Nie pozwolę, by moi bliscy żyli w ubóstwie.

– Oczywiście, że nie. – Gość burmistrza poklepał go lekko po ramieniu. Prawdopodobnie pół miliona funtów, które dostaniesz po podpisaniu tej umowy, trochę ci w tym pomoże, pomyślał.

– W odróżnieniu od pana, nie odziedziczyłem rodzinnej fortuny – przypomniał Holyrod.

– Słuszna uwaga. – Mężczyzna znów wbił wzrok w swoją szklankę z wodą mineralną. – Miałem ogromne szczęście.

Burmistrz poczuł, jak wypełnia go kolejna fala ciepła i uświadomił sobie, że czas przejść do konkretów.

– Co myśli o tym wszystkim ambasador?

– Orb? – Mężczyzna się skrzywił. – Jest tylko biernym obserwatorem. Przez całe życie przyglądał się działaniom innych ludzi i starał się nie wchodzić im w drogę. To zdumiewające, że ktoś może tak długo prawie nic nie robić. Przynajmniej mamy pewność, że nie będzie nam przeszkadzał.

– A ten policjant?

Mężczyzna odstawił szklanekę na tacę przechodzącego obok kelnera i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Kto?

Burmistrz zastanawiał się przez moment, czy powinien mu powiedzieć, że w tym budynku obowiązuje zakaz palenia, w końcu jednak machnął na to ręką. Miał tylko nadzieję, że w pobliżu nie ma czujników dymu.

– Carlyle – wyjaśnił. – Inspektor John Carlyle. Policjant, który rozmawiał z ambasadorem na przyjęciu.

Mężczyzna zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

– Chyba nie musi się pan martwić jakimś zwykłym policjantem? – spytał, po czym wydmuchał dym. Nie znalazłszy w pobliżu żadnej popielniczki, strzepnął popiół na podłogę.

Przerażony Holyrod rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt tego nie widział. Kelnerka zauważyła ten gest i ruszyła w ich stronę, burmistrz jednak spojrzął na nią groźnie, więc szybko zawróciła.

– Miałem z nim do czynienia już wcześniej – powiedział.

– Potrafi być naprawdę upierdliwy.

– Rozumiem. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Mogę się nim zająć.

– Nie, nie, nie – zaprotestował szybko Holyrod. – Nie może pan tego zrobić.

Mężczyzna spojrzął na niego rozbawiony.

– Zapewniam pana – ciągnął burmistrz – że nie powinien pan wtrącać się do działań naszej policji. To byłoby bardzo... nieprofesjonalne. Mogłoby zagrozić całemu naszemu projektowi.

– Jak pan sobie życzy – odparł mężczyzna, który teraz wydawał się raczej zirytowany niż rozbawiony.

- Takie problemy można rozwiązać w inny sposób. Mężczyzna ukłonił się lekko.

- Jak pan sobie życzy - powtórzył niemal szyderczo. Burmistrz poczuł w brzuchu nieprzyjemny skurcz. Może jednak nie powinien tyle pić.

- Mój kraj, moje zasady - powiedział.

- Oczywiście.

Holyrod opróżnił szklaneczkę.

- Sytuacja jest bardzo delikatna. Musimy być ostrożni.

- Ma pan moje słowo.

Szpital Świętego Tomasza mieścił się w przysadzistym budynku na południowym brzegu Tamizy, skąd roztaczał się widok na pałac westminsterski. Carlyle, który wszedł właśnie na drugie piętro, spojrział w stronę budynków parlamentu. Zapadł już zmrok, prawie we wszystkich oknach paliło się światło. Pomyślał, że zapewne roi się tam od parlamentarzystów, którzy fałszują koszty, by domagać się większego zwrotu, rzną swoje asystentki i przygotowują się do wakacji. Nic dziwnego, że kraj jest tak kiepsko rządzony – wygląda na to, że aby zostać parlamentarzystą, wystarczy być odpowiednio bezczelnym i chciwym.

Wyglądało też na to, że Sandra Groves jeszcze przez jakiś czas nie będzie mogła podziwiać tego widoku. Leżała przy oknie w sali, którą dzieliła z dwiema innym pacjentkami, nafaszerowana środkami znieczulającymi i pogrążona w głębokim śnie. Choć kilka godzin wcześniej przeniesiono ją z oddziału intensywnej terapii, wciąż była w kiepskim stanie. Miała zmiądzoną nogę, złamane biodro i rękę w nadgarstku oraz kilka pękniętych żeber. Choć jej życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, lekarzy niepokoił wstrząs mózgu, którego doznała podczas upadku, oraz możliwość wewnętrznego krwawienia.

Carlyle przystanął na korytarzu i przyglądał się przez chwilę śpiącej kobiecie. Rzeczywiście wyglądała fatalnie, cała w bandażach i gipsie, z rurkami, które wychodziły z jej nosa i lewej ręki.

Obok łóżka siedział Stuart Joyce, chłopak Sandry, który również brał udział w incydencie w autobusie linii pięćdziesiąt pięć. Trzymał ją za rękę i był odwrócony plecami do drzwi, przez które właśnie wszedł Carlyle.

Kiedy przeszedł na drugą stronę łóżka, chłopak podniósł wreszcie wzrok i się wzdrygnął.

– Ty! – syknął, spoglądając na guzik alarmowy przy łóżku. Podniósł się z krzesła. – Co tutaj robisz?

Carlyle świadomy, że w pobliżu krąży siostra oddziałowa, gotowa wyrzucić go stąd pod byle pretekstem, podniósł rękę uspokajającym gestem.

– Wyjaśnijmy sobie najpierw kilka rzeczy – powiedział spokojnym, lecz stanowczym tonem. – Zapewniam cię, że nie potrąciłem twojej dziewczyny.

Chłopak spojrział na niego podejrzliwie, ale usiadł.

– Po pierwsze, nie umiem prowadzić – tłumaczył inspektor. – A po drugie, mam alibi, które sprawdzili już policjanci prowadzący śledztwo. – Wiedział, że to prawda, bo oberwało mu się od żony, która narzekała, że jego „koledzy” przeszkodzili jej w pracy. Helen była naprawdę niezadowolona, że musi pomagać policji, a Carlyle dobrze wiedział, że po powrocie do domu będzie się musiał dokładnie ze wszystkiego wytłumaczyć.

– Krótko mówiąc, z mojej strony nic wam nie grozi – zapewnił.

Chłopak milczał. Jedno z urządzeń ustawionych obok łóżka zabręczało cicho. Carlyle spojrział na nie okiem profesjonalisty. Rzeczywiście był profesjonalistą, ale w zupełnie innej dziedzinie, więc nie miał pojęcia, czy ten sygnał oznacza coś ważnego, czy też nie. Jeśli był istotny, lada moment w sali może się pojawić ekipa medyków. Tymczasem maszyna raz jeszcze wydała podobny dźwięk i ucichła. Sandra Groves nie przestała oddychać, więc inspektor doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku. Spojrział na chłopaka, ale nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie chciał mu powiedzieć. Przez chwilę szukał w pamięci, aż wreszcie odnalazł właściwą kwestię.

– Przyszedłem tu, żeby wam pomóc, jeśli to możliwe – powiedział, przyglądając się uważnie Joyce'owi. – Nie mam zamiaru przysparzać wam dodatkowych kłopotów.

– Jak w autobusie? – jęknął chłopak.

Carlyle odchrząknął z zakłopotaniem.

– Autobus to zupełnie inna historia. To... – wskazał głową Sandrę Groves – jest znacznie poważniejsze.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Powiedziałem innym policjantom wszystko, co wiem.

– Czyli właściwie nic.

Inspektor przeczytał wcześniej wstępny raport. Groves została potrącona na Moreland Street, w pobliżu uniwersytetu. Napastnik

kierował skradzionym peugeotem, który później znaleziono niedaleko stacji metra King's Cross. Po drodze peugeot o mało nie zderzył się z taksówką, ale taksówkarz nie widział samego potrącenia, nie potrafił też opisać kierowcy podejrzanego samochodu. Innych świadków nie było. Na nagraniach z kamer ochrony widać było, jak peugeot pędzi w stronę Groves, co dowodziło, że nie był to zwykły wypadek. Niestety, twarz kierowcy pozostawała niewidoczna. Samochód zabrano na pobliski parking policyjny, gdzie zbadał go zespół techników. Na masce znaleźli krew potrąconej kobiety. W środku znajdowały się różne odciski palców – żaden z nich nie pasował do odcisków przechowywanych w krajowej bazie danych.

Chłopak, który w momencie wypadku był sam, nie miał żadnego alibi, ale inspektor nie wyobrażał sobie, by właśnie on mógł to zrobić – na pierwszy rzut oka wyglądał na mięczaka. Poza tym skłóceni partnerzy rzadko uciekają się do tak wyrafinowanych sposobów. O wiele łatwiej jest przecież uderzyć żonę czy dziewczynę patelnią w głowę.

– Zastanawiam się, dlaczego ktoś chciał jej to zrobić – rzekł Carlyle.

– A niby dlaczego miałby się pan tym przejmować?

– Nie powiedziałem, że się tym przejmuję. – Carlyle uśmiechnął się paskudnie, by dopiec chłopakowi. Skoro koleś chce wierzyć w stereotyp faszystowskiego gliniarza, inspektor nie zamierzał mu w tym przeszkadzać. – Chodzi o to, że... sprawa znalazła się w kręgu moich zainteresowań. – W drodze do szpitala Carlyle zastanawiał się, jak ma wytłumaczyć swoją wizytę, i nie wymyślił niczego lepszego.

– A co z innymi policjantami? – spytał Joyce.

– To nadal ich śledztwo – odparł Carlyle. – Ja zajmuję się teraz czymś innym, ale zastanawiałem się, czy te sprawy są ze sobą powiązane.

– Więc czego pan ode mnie chce? – spytał Joyce, który najwyraźniej wcale nie był pewny, czy powinien prowadzić tę rozmowę.

– Powiedz mi, w co byliście zamieszani.

– W nic nie byliśmy zamieszani – obruszył się chłopak.

– Prowadziliście jakąś działalność polityczną – stwierdził spokojnie Carlyle. – Kampanię związaną z... czym? – Znow miał pustkę w głowie.

– Wiem, z tymi ogłoszeniami na autobusach.

– Chodziło o przekonania religijne.

A co z przekonaniem ateistów? – pomyślał inspektor, ale ugryzł się w język.

– Tak, właśnie. Więc do pewnego stopnia była to działalność polityczna – stwierdził.

– To chyba nie zbrodnia, prawda?

– Tego nie powiedziałem – odparł Carlyle, z trudem tłumiąc irytację.

– Opowiedz mi o tym, co jest dla was ważne. O kampaniach, które wspieraliście.

Chłopak spojrział na Sandrę i uświadomiwszy sobie, że i tak nie ma nic innego do roboty, wygłosił monolog, który zapewne powtarzał już wiele razy.

– Czerpiemy inspirację z Biblii i nauk społecznych Kościoła...

Którego Kościoła? – zastanawiał się Carlyle. Na tym właśnie polega kłopot z Kościołami: wszystkie uważają, że są tym jedynym Kościołem. Czuł, jak narasta w nim irytacja, ale nadal milczał.

– Chcemy pomagać ludziom biednym, marginalizowanym, uciskanym – ciągnął tymczasem Joyce. – Walczyć z ubóstwem i niesprawiedliwością. Chcemy stworzyć społeczeństwo, które będzie szanowało prawa i godność każdego człowieka. Dyskryminacja musi się skończyć.

Powodzenia, złotko, pomyślał Carlyle. Zastanawiał się, co to wszystko ma wspólnego z wygłupami Clive'a, kierowcy autobusu i zakorkowaniem St Giles High Street.

– Wszyscy powinni mieć równy udział w bogactwach natury. Aby to osiągnąć, potrzebujemy sprawiedliwości społecznej opartej na wierze chrześcijańskiej i wartościach ewangelicznych.

Carlyle nie zdołał stłumić ziewnięcia.

– Nudzę pana? – spytał chłopak ostro.

Żebyś wiedział, pomyślał inspektor.

– Nie, nie – wymamrotał, znowu ziewając. – To był po prostu wyjątkowo długi dzień.

Chłopak spojrział na niego z powątpiewaniem.

Kolejne ziewnięcie zostało skutecznie stłumione – do trzech razy sztuka.

– Czy wasz Kościół... czy ta kampania przeciwko niesprawiedliwości dotyczy też Ameryki Łacińskiej? – spytał Carlyle.

– Oczywiście. Działamy wszędzie tam, gdzie wciąż rządzą niesprawiedliwość i bieda.

– A prowadzicie jakiś projekt w Chile?

Chłopak spojrzał na niego uważniej.

– Dlaczego pan pyta?

Po prostu odpowiedz, kurwa, na pytanie...

– Taki kaprys.

– Może. – Joyce wzruszył ramionami. – Musiałbym sprawdzić.

– Czy ta organizacja, o której wspominała Sandra, Córki Kogośtam, czy to właśnie ona to wszystko koordynuje?

– Córki Dyzmy to jedna z organizacji, które prowadzą kampanię, owszem. Ale należą do niej tylko kobiety, więc ja mam z tym niewiele wspólnego.

– Ile członkiń liczy ta organizacja?

– Całkiem sporo.

Na pewno, pomyślał Carlyle.

– A konkretniej? Kilkadziesiąt? Kilkaset? Kilka tysięcy?

– Nie wiem dokładnie.

A więc pewnie mniej niż dziesięć. Inspektor uśmiechnął się w duchu.

– Co to za kobiety?

– Bardzo różne, od młodych aktywistek, takich jak Sandra, po weteranki, które pamiętają jeszcze Greenham.

Weteranki, pomyślał rozbawiony Carlyle. Helen uśmiełaby się, słysząc to określenie. W latach osiemdziesiątych kilkakrotnie była w Pokojowym Obozie Kobięcym w Greenham w hrabstwie Berkshire, protestując przeciwko utworzeniu amerykańskiej bazy jądrowej w tej miejscowości. Carlyle rzadko o tym myślał. Działo się to, zanim jeszcze zostali parą, a nawet zanim wstąpił do policji – i bardzo dobrze, bo być może wtedy poznaliby się w zupełnie innych okolicznościach. Ruch na rzecz rozbrojenia atomowego cieszył się dużą popularnością w czasach, gdy wrogiem numer jeden był Związek Radziecki i nikt jeszcze nie słyszał o islamskim fundamentalizmie. Teraz nie mówiło się praktycznie o niczym innym. Carlyle zastanawiał się przez moment, czy Ruch jeszcze działa.

Protestujący poświęcali mnóstwo czasu i energii tym szczytnym ideałom, ale czy udało im się osiągnąć coś znaczącego? Inspektor

niczego takiego sobie nie przypominał. Sytuacja nie wyglądała wcale lepiej niż przed laty. W kraju panował kryzys, a politycy mimo to wydawali miliardy na niewyobrażalnie drogie systemy obronne. Czy ta broń nadal wycelowana jest w Rosjan? Kto wie?

Zastanawiał się, czy ośmieli się spytać o to Helen. Jak każda osoba w średnim wieku miała ambiwalentny stosunek do swojego młodzieńczego idealizmu. Trzymanie się za ręce i wspólne śpiewy – wszystko to wydawało się teraz okropnie naiwne, było jedną z tych rzeczy, które człowiek robi, nim zrozumie, jak naprawdę funkcjonuje świat. Mimo to na myśl o ludziach, którzy od niemal trzydziestu lat toczą wciąż tę samą bitwę, ogarnął go smutek. Spojrzał na chłopaka.

– Słyszałeś kiedyś o niejkiej Agacie Mills?

Joyce pokręcił głową.

– Nie, chyba nie.

Inspektor przyglądał mu się przez chwilę, ciekaw, czy mówi prawdę. Sandra Groves jęknęła cicho, poprawiła się na łóżku i zaczęła chrapać. Joyce patrzył na nią, dopóki się nie upewnił, że nadal głęboko śpi.

– Zwykle towarzyszyłem Sandrze tylko wtedy, gdy działała sama – tłumaczył. – Jak w tamtym autobusie. Kiedy była z „siostrami”, nie chciała mnie ze sobą zabierać. Córki Dyzmy to z założenia organizacja tylko dla kobiet.

– No tak – mruknął Carlyle. – Feministki w akcji.

Joyce spojrział na niego spod ściągniętych brwi.

– Co takiego?

– Nic, nic – zapewnił go pospiesznie inspektor. – Gdzie znajdę listę członkiń tej organizacji?

– Nie znajdzie pan. Jesteśmy praworządnyimi obywatelami. Nie chcemy, żeby nękała nas policja.

Nękanie? – pomyślał Carlyle. Nie wiesz, o czym mówisz, pajacu.

– No dobrze – westchnął – a gdybym chciał się dowiedzieć, czy Agatha Mills współpracowała z grupą Sandry, co musiałbym zrobić?

– Gdyby się okazało, że jest członkinią, musiałaby się zgodzić na przekazanie tej informacji – wyjaśnił chłopak.

– Nie będzie mogła tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo nie żyje.

– Nie żyje? – zdziwił się Joyce.

– Została zamordowana – odparł krótko Carlyle, nie wdając się w szczegóły.

– Uhm... – Joyce zbladł jak ściana.

– Więc zastanawiam się, czy sprawa Sandry ma jakiś związek z Agathą Mills – ciągnął inspektor. – Może człowiek, który próbował przejechać Sandrę, zamordował również Agathę.

Jeśli taki związek istnieje, będzie to miało ogromne znaczenie dla naszego śledztwa. Taka informacja pomoże nam go złapać.

Nie dodał „zanim znowu spróbuje”, by nie przerazić jeszcze bardziej i tak już wystraszonego chłopaka.

Joyce zastanawiał się nad tym przez chwilę. Gdy w końcu jego twarz odzyskała normalny kolor, wyjął z tylnej kieszeni džinsów komórkę i zaczął pisać SMS.

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedział, skupiony na pisaniu.

– Dzięki – mruknął Carlyle. Usłyszał głośnie burczenie w brzuchu i uświadomił sobie nagle, jak bardzo jest głodny. Na parterze widział małą kawiarnię. Może jest jeszcze otwarta. Poczekał, aż Joyce wyśle wiadomość, i spytał:

– Idę kupić sobie kawę i coś do jedzenia. Też chcesz?

Chłopak mruknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego. Carlyle uznał to za potwierdzenie – a może nie? – i wyszedł z sali.

Kiedy wszedł na parter, okazało się, że kawiarnia jest już zamknięta. Inspektor zaklął pod nosem i natychmiast został skarcony surowym spojrzeniem staruszki, która przechodziła obok z balkonikiem. Przez chwilę stał na korytarzu, zastanawiając się, co powinien zrobić. W końcu wyszedł na dwór i ruszył Westminster Bridge Road w poszukiwaniu jakiegoś przybytku gastronomii.

W jadłodajni, w której stołowali się głównie taksówkarze i przedstawiciele różnych podejrzanych profesji, inspektor posilił się krokiem, pączkiem i podwójnym espresso. Pół godziny później zmierzał do szpitala, niosąc małą latte dla Joyce'a. Poczekał cierpliwie na windę i wyjechał na trzecie piętro. Gdy wszedł do sali Groves, chłopak leżał na brzuchu w poprzek jej łóżka. Carlyle zbliżył się i zobaczył mały otwór z tyłu jego głowy, ślad po kuli, która pozbawiła go życia. Smród kału świadczył o tym, że Joyce wypróżnił się tuż przed śmiercią, pod łóżkiem zebrała się też kałuża moczu.

- Jezu Chryste wszechmogący - jęknął inspektor. Choć miał nogi jak z waty, przemógł się, podszedł jeszcze bliżej i spojrzął na zmasakrowaną głowę Sandry Groves leżącą na zakrwawionej poduszce. Postrzelona kilkakrotnie w twarz, zatraciła ludzkie rysy, nie można jej było rozpoznać. Carlyle spojrzął na rozbryzganą krew, na kępkę włosów i kawałek skóry, który przykleił się do ściany nad łóżkiem. Zrobiło mu się niedobrze.

- Przepraszam - wymamrotał, by zapanować nad emocjami. Odetchnął głęboko kilka razy i przełknął ciężko. Gdy upewnił się już, że zjedzony niedawno posiłek zostanie jednak w jego żołądku, szybko ogarnął spojrzeniem resztę pokoju. Urządzenia, do których wciąż była podłączona Groves, nie działały. Zabójca był na tyle przytomny, by je wyłączyć, inaczej w chwili śmierci dziewczyny alarm wezwałby do sali personel oddziału. Na łóżku, przy głowie Joyce'a, leżał mały półautomatyczny pistolet. Carlyle sięgnął po telefon i zadzwonił do komisariatu Charing Cross. Nie był to ich rejon, ale inspektor wiedział, że jeśli natychmiast nie zacznie działać, nieprędko będzie mógł wrócić do domu.

Wyczuł za sobą jakiś ruch, odwrócił się i zobaczył siostrę oddziałową.

- Co się tu...

Próbowała zajrzeć ponad jego ramieniem do sali, zrobił więc dwa kroki w bok, by zasłonić makabryczny widok.

Nagle na łóżku stojącym przy drzwiach coś się poruszyło. Spod kołdry wynurzyła się głowa, a za nią kościsty palec wymierzony w Carlyle'a.

- To on! To on! - wrzeszczała odurzona lekarstwami pacjentka. - On to zrobił!

Siostra spojrzała niepewnie na inspektora, zastanawiając się, czy powinna zostać, czy raczej biec po pomoc. Wydawało się, że skłonna jest wybrać to drugie rozwiązanie, powstrzymała się jednak, spojrzawszy na szkliste, nieobecne oczy pacjentki. Kobieta była ledwie przytomna, należało się tylko dziwić, że w ogóle zarejestrowała strzelaninę. Carlyle podniósł rękę w uspokajającym geście, wydając jednocześnie instrukcje przez telefon. Celowo mówił nienaturalnie głośno, by siostra zrozumiała, że panuje nad sytuacją.

Skończywszy rozmowę, spojrzał na pielęgniarkę. Była to drobna blondynka o miłej inteligentnej twarzy, jakieś dziesięć lat młodsza od inspektora. Niebrzydka, ale zmęczona i wyniszczona codzienną harówką. Z pewnością nie potrzebuje jeszcze dodatkowych emocji tego rodzaju.

– Policja zaraz tu będzie – powiedział. – Przyjadą też technicy kryminalistyczni i patolog, jak zawsze w takich przypadkach.

– Tak – odparła siostra lekko drżącym głosem.

– Proszę dopilnować, żeby od razu przyszli tutaj.

Kobieta skinęła głową.

– Proszę też dopilnować, żeby nikt nie chodził po korytarzu – dodał Carlyle.

– Rozumiem. – Siostra znów skinęła głową, już bardziej opanowana. Ruszyła do windy, jednak zatrzymała się w pół kroku. – Co z nimi? – spytała, wskazując pozostałe dwa łóżka. Kobieta, która wcześniej wskazała palcem Carlyle, schowała się pod kołdrą. Druga pacjentka smacznie chrapała, podobnie jak wtedy, gdy inspektor był tu po raz pierwszy. Carlyle pomyślał, że albo ma naprawdę niespotykanie twarde sen, albo dostała jakieś wyjątkowo skuteczne lekarstwa.

Dokonał szybkiej oceny i podjął decyzję.

– Na razie niech tu zostaną. Będziemy musieli z nimi porozmawiać. Ale postaram się, żeby można je stąd było jak najszybciej zabrać.

– Dobrze. – Pielęgniarka odwróciła się i wyszła z sali.

Kiedy zniknęła mu z oczu, Carlyle odsunął się od miejsca zbrodni i zdjął pokrywkę z kubka kawy dla Joyce'a. Upił mały łyk. Była już letnia, ale mocna i smaczna. Na pewno jej nie wyrzuci.

– Kto nie marnuje, temu nie brakuje – mruknął do siebie. – Poza tym zapowiada się długa noc.

Inspektor spędził w szpitalu prawie cztery godziny, nim wreszcie mógł pójść do domu. Jego nowi koledzy, Nick Chan i Greg Brown, pojawili się na miejscu dopiero po dwóch godzinach, a mogli z nim porozmawiać po upływie następnej. Carlyle nie protestował. W tej sytuacji musiał być wyjątkowo uprzejmy i skory do współpracy. A przede wszystkim musiał się wytłumaczyć. Chan i Brown, gdyby chcieli, mogliby narobić mu kłopotów. Oczywiście Carlyle mógł się odwołać do ich dobrej woli, ale wiedział, że nie jest to dobry pomysł.

Nie pozostało mu więc nic innego, jak opowiedzieć im o możliwych powiązaniach z zabójstwem Agathy Mills i przekonać się, czy przemówi im to do wyobraźni.

– Moim zdaniem to jedna wielka bzdura – podsumował Brown, wysłuchawszy jego relacji.

Carlyle spojrział na jego kolegę.

Chan pokręcił głową.

– Bzdura to mało powiedziane.

Inspektor rozumiał ich zastrzeżenia, więc tylko wzruszył ramionami.

– Zanim wyszedłem do kawiarni, Joyce wysłał SMS-a, żeby się dowiedzieć, czy Mills należała do tej samej grupy co jego dziewczyna. Dostał odpowiedź?

– Sprawdzimy – odparł Brown, idąc po komórkę chłopaka.

Chan odprowadził go wzrokiem i odwrócił się do Carlyle'a.

– Narzędzie zbrodni to izraelski pistolet półautomatyczny Jerycho-dziewięćset czterdzieści jeden, wyprodukowany jakieś piętnaście lat temu. Raczej rzadko spotykany w naszym kraju.

– Bardzo rzadko – zgodził się Carlyle.

Po chwili wrócił Brown.

– Pan Joyce nie dostał już dziś żadnego SMS-a, ale możemy poszukać odbiorcy, do którego wysłał wiadomość.

– Doskonale. – Chan skinął głową, wysłuchawszy swojego sierżanta, po czym zwrócił się do Carlyle'a: – Inspektorze, może pan iść do domu. Będziemy w kontakcie.

– Dziękuję – odparł Carlyle, ruszając do windy. – Wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Przytrzymując na kolanie delikatną i zapewne drogą filiżankę na spodku, Carlyle czekał cierpliwie, aż Claudio Orb wypije kolejny łyk herbaty. Wysoko na ścianie po lewej ręce inspektora wisiała duża fotografia kobiety w kostiumie Chanel, prawdopodobnie obecnej prezydent Chile. Za plecami ambasadora znajdowały się przeszklone drzwi prowadzące na mały balkon, z którego rozciągał się widok na zatłoczony plac przed ambasadą.

Carlyle nie planował wcześniej tej wizyty, przyszedł tu wiedziony impulsem. Kiedy Henry Mills wszedł pod rozpędzoną furgonetkę, jego sprawa teoretycznie sama się rozwiązała. Inspektor mógł ją spokojnie odłożyć do akt i nikt by się temu nie dziwił. Z kolei Sandra Groves nie była jego problemem. Właściwie mógł teraz odsapnąć i czekać na następną sprawę. Jednak jako niespokojny duch wiedział, że nie będzie potrafił tego tak zostawić. Był prawie pewny, że ta historia ma drugie dno. Już wiele razy doświadczał podobnego uczucia. Nie zamierzał dać się wykołować – nie pozwalała mu na to duma, a może próżność – i nie miał jeszcze ochoty na kapitulację.

Kiedy zapukał nieoczekiwanie do drzwi ambasady, nikt nie był szczególnie zaskoczony ani zniesmaczony jego przybyciem. Poddał się rutynowej kontroli, a potem został zaprowadzony na górę, do gabinetu ambasadora, gdzie bardzo ładna i bardzo młoda sekretarka powiedziała mu, że Orb spotka się z nim za kilka minut. Zaledwie dziewięćdziesiąt sekund później siedział w gabinecie ambasadora, podczas gdy ten zastanawiał się, czy ma tego dnia większą ochotę na smoky earl grey czy piccadilly blend. Wybrawszy w końcu tę drugą, zaskoczył Carlyle'a, wstał bowiem zza biurka i poszedł sam zaparzyć herbatę. W tym momencie inspektor nabrał szacunku dla Chile i Chilijczyków.

Orb upił łyk herbaty, odstawił filiżankę na spodek i podniósł wzrok na Carlyle'a.

– Miło znów pana zobaczyć, inspektorze. – Uśmiechnął się. – Jak idzie śledztwo?

Carlyle wykonał ręką wymijający gest.

– Takie sprawy zawsze muszą się toczyć swoim torem.

– Oczywiście. – Orb złączył dłonie i oparł je na blacie, jakby zamierzał się modlić. – A co, jeśli wolno spytać, stało się z mężem?

Inspektor miał już dość zabawy z filiżanką i spodkiem, odstawił je więc na dywan obok krzesła.

– Wszedł pod furgonetkę – powiedział, prostując się.

– Wypadek?

– Samobójstwo.

– Naprawdę? – Orb wydawał się zaskoczony. – Zdaje się, że to właśnie on był pana głównym podejrzanym, prawda?

– Tak.

– Więc właściwie jest już po wszystkim, tak? – spytał Orb. – Sprawa zostanie zamknięta?

Carlyle poprawił się na krześle.

– Może.

– Może? – powtórzył ambasador. – Proszę się nie krygować, inspektorze. Zapewne nie wpadł tu pan tylko na filiżankę herbaty, choć oczywiście bardzo mnie cieszy pana wizyta.

– Być może. – Carlyle się uśmiechnął.

– Więc... – Ambasador nieco spoważniał, co oznaczało, że choć rzeczywiście chętnie widzi inspektora u siebie, jego czas i cierpliwość są ograniczone. – W czym mogę panu pomóc?

– Chodzi o tego dżentelmena, który stał obok pana w ratuszu... kiedy nas sobie przedstawiono?

Orb zamyślił się na moment.

– Ma pan na myśli burmistrza, pana Holyroda?

– Nie, tego drugiego. Mniej więcej pańskiego wzrostu, trzydzieści parę lat, z brodą. Przystojny, opalony mężczyzna.

– Ach tak. – Ambasador pokiwał głową. – Matias Gori.

– Kim on jest?

– Pracuje w ambasadzie, to jeden z naszych attache wojskowych. Czyżby miał z tym coś wspólnego?

Carlyle zignorował to pytanie.

– Zawsze byłem ciekaw, czym właściwie zajmuje się attache wojskowy.

– Wiem, co ma pan na myśli. – Orb upił łyk herbaty. – Jestem tylko ambasadorem, więc w dużej mierze też jest to dla mnie tajemnicą. Większość ludzi zakłada, że „attache wojskowy” znaczy właściwie to samo co szpieg. Ale prawda jest zwykle bardziej prozaiczna.

– Nie każdy może być Jamesem Bondem.

– Otóż to, szczególnie w dzisiejszych czasach. Większość potrzebnych informacji można znaleźć w internecie, jeśli tylko ktoś ma czas, żeby ich szukać. To naprawdę niesamowity wynalazek – moje wnuki nie wyobrażają sobie, jak mogliśmy bez tego żyć.

– To prawda – zgodził się Carlyle. – Więc jak teraz wygląda sytuacja attache wojskowych? Zwykli szpiedzy nie są już potrzebni?

– Można tak powiedzieć. Szczególnie w przypadku tak małego kraju jak Chile. Nasi attache wojskowi zajmują się pozyskiwaniem klientów dla chilijskich producentów broni, zbierają też informacje o sytuacji na ważnych rynkach zbytu, takich jak Wielka Brytania.

– Od kiedy Gori tu pracuje?

Orb dopił herbatę i wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Kiedy przyjechałem do Londynu, on już tu był. – Ambador dokonał w głowie szybkich obliczeń. – To znaczy, że pracuje tu od co najmniej trzech lat.

– A gdzie pracował wcześniej?

– Wszyscy ciągle się przenosimy, inspektorze – wyjaśnił Orb. – Gori był na różnych placówkach: w Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii, Iraku...

– W Iraku?

– Oczywiście. Zawsze zdecydowanie popieraliśmy wojnę z terroryzmem.

Carlyle usiadł prosto.

– Mogę z nim porozmawiać?

– O pańskiej sprawie?

– Tak.

– Cóż, teoretycznie mógłby odmówić, chroni go immunitet dyplomatyczny i tak dalej. – Widząc, że Carlyle chce coś powiedzieć, ambador podniósł rękę. – Jednak kiedy mówiłem podczas naszego ostatniego spotkania, że zawsze chętnie pomagam policji, nie były to

puste słowa. Jeśli pan Gori zechce z panem porozmawiać, z przyjemnością wyrażę na to zgodę.

– Dziękuję.

Orb machnął ręką, dając w ten sposób do zrozumienia, że to żaden problem.

– Ale musi pan wiedzieć, że ostateczna decyzja należy do niego.

– Oczywiście.

– Doskonale. – Orb pochylił się nad biurkiem i wcisnął guzik na telefonie. – Claudio?

– Si, embajador? – odpowiedziała natychmiast sekretarka.

Orb spojrzał na Carlyle'a.

– Po angielsku, proszę.

– Tak?

– Czy pan Matias Gori mógłby tu na chwilę przyjść?

– Przykro mi, panie ambasadorze, ale pan Gori jest chyba nieobecny.

Ambasador uniósł brwi, a na jego twarzy pojawił się wyraz irytacji.

– A wiesz może, gdzie teraz jest?

– Potwierdzę to jeszcze u jego asystentki, ale jestem przekonana, że rano poleciał do Madrytu. Miał wrócić do Santiago.

Orb westchnął.

– Rozumiem. Proszę, sprawdź to i daj mi znać, czy to prawda. I dowiedz się, kiedy wraca do Londynu.

– Oczywiście.

Orb zakończył rozmowę.

– Przykro mi, inspektorze – powiedział, odsuwając się od biurka i wstając. – Wygląda na to, że nie ma pan dzisiaj szczęścia.

Carlyle również wstał i pochylił się nad biurkiem, wyciągając rękę.

– Nic się nie stało. Dziękuję za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł Orb z uśmiechem, ściskając jego dłoń.

Carlyle ociągał się jednak z wyjściem.

– Może mógłbym się spotkać z panem Gori, kiedy wróci do Londynu?

– A sprawa będzie wtedy jeszcze otwarta?

– Może tak, może nie. Byłbym też wdzięczny, gdyby wcześniej zadzwonił do mnie z Santiago.

- Zobaczą, co da się zrobić. - Orb obszedł biurko i poprowadził Carlyle'a do drzwi. - Teraz niestety muszę uczestniczyć w dość nudnym spotkaniu, więc Claudia odprowadzi pana do wyjścia.

- Dziękuję jeszcze raz, że zechciał pan poświęcić mi czas.

- Żaden problem. - Orb poklepał go po ramieniu. - Proszę dać mi znać, jak posuwa się śledztwo. Uwielbiam takie historie.

Kiedy Carlyle wyszedł z ambasady i przystanął na moment na chodniku, obserwując ruch uliczny wokół Portman Square, uświadomił sobie nagle, że od biur Avalonu, międzynarodowej medycznej organizacji charytatywnej, w której pracuje jego żona, dzieli go tylko dziesięć minut spacerem. Postanowił wykorzystać okazję i ruszył Edgware Road, by po chwili stanąć przed obliczem sennej recepcjonistki z kolczykiem w nosie, który sprawiał, że wydawała się jeszcze brzydsza, niż była w rzeczywistości.

Po długiej dyskusji z asystentką Helen dziewczyna z kolczykiem w nosie poinformowała Carlyle'a, że może usiąść, a jego żona za minutkę zejdzie. Pojawiła się mniej więcej po dwudziestu minutach. Wydawała się zmęczona i nieszczególnie uradowana jego wizytą.

- Co ty tu robisz? - spytała podejrzliwie.

- Miałem niedaleko spotkanie - odparł Carlyle, wstając ze sfatygowanej sofy ze sztucznej skóry. Obiecał sobie w duchu, że zachowa pogodną minę pomimo gburowatości jego lepszej połowy - Pomyślałem, że moglibyśmy wyskoczyć na lunch.

- Mogłeś zadzwonić - mruknęła, zakładając na ramię wielką torbę z nieznanym mu logo. Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę obrotowych drzwi prowadzących na ulicę.

- To chyba znaczy „tak” - mruknął Carlyle pod nosem, idąc za małżonką.

Kiedy ją dogonił, postanowili wybrać się do meksykańskiej restauracji położonej w połowie drogi między stacją kolejową Paddington i Hyde Parkiem, a więc w odległości zaledwie pięciu minut zwawego marszu. Bywali tam już wcześniej i wiedzieli, że mimo sporego ruchu mogą liczyć na miłą obsługę i dobre jedzenie. Upewniwszy się, że zdąży wrócić do pracy w ciągu czterdziestu pięciu minut, Helen trochę się uspokoiła. Gdy zamówili quesadillas i enchiladas, zdobyła się nawet na uśmiech.

– To miła niespodzianka – stwierdziła nawet. – Szczególnie że wczoraj wróciłeś bardzo późno.

Przynajmniej nie dodała „znowu”, pomyślał Carlyle, biorąc chipsa. Starał się nie rozmawiać o swojej pracy, by nie popsuć atmosfery, wiedział jednak, że raczej mu się to nie uda. Helen nie należała do kobiet, które nie interesują się tym, co ich mężowie robią w pracy. Zawsze była na bieżąco ze sprawami, które prowadził, i z biurowymi intrygami, które rozgrywały się w policji metropolitalnej. Carlyle wiedział, że powinien być za to wdzięczny losowi. Helen zawsze potrafiła właściwie ocenić jego pomysły i podsunąć odpowiednie rozwiązanie. Była dyskretna, wnikliwa i stanowcza. Inspektor ufał jej osądowi.

Patrzyła na niego wyczekująco, pochylił się więc nad stołem i zaczął opowiadać przyciszonym głosem. Nie chciał, by ludzie przy sąsiednim stole – kilka dziewczyn dyskutujących o najnowszych modelach komórek – usłyszeli ich rozmowę.

– To była naprawdę ciężka noc... – Uśmiechnął się blado, a potem opisał, jak ktoś dokonał egzekucji na Sandrze Groves i Stuarcie Joysie, podczas gdy on spokojnie jadł kroieta.

Przedstawił jej skróconą, dwuminutową wersję, unikając szczegółów, które mogły odebrać jej apetyt. Mimo to, gdy skończył, Helen była blada i rozzłoszczona jednocześnie.

– Bogu dzięki, że cię tam nie było! – syknęła.

Przecież byłem, pomyślał inspektor.

– Co masz na myśli?

Wzięła nóż i pomachała nim w jego stronę.

– Mam na myśli to, cholerny panie inspektorze, że gdybyś nie poszedł kupić czegoś do jedzenia, zginąłbyś razem z nimi.

Podeszła do nich kelnerka z zamówionym jedzeniem, dzięki czemu Carlyle nie musiał przyznać, że sam o tym nie pomyślał.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Po kilku kęsach Helen otrząsnęła się z szoku i spytała:

– Właściwie dlaczego ta biedna dziewczyna musiała zginąć?

– Nie wiem. To nie moja sprawa.

Helen wytarła serwetką kąciki ust.

– Skoro to nie twoja sprawa, to co robiłeś w szpitalu?

– Ano właśnie...

Carlyle przedstawił jej skróconą wersję wydarzeń: opowiedział o Córkach Dyzmy i swoich przypuszczeniach dotyczących powiązań Agathy Mills z Sandrą Groves.

– Chłopak Sandry mówił, że w tej grupie były też weteranki, kobiety, które od dziesięcioleci zajmowały się takimi kampaniami. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Kobiety, które były w Greenham.

– Nie widzę w tym nic złego – odparła cierpko Helen. – Też tam byłam.

Carlyle usiadł prosto i podniósł rękę.

– Wiem, wiem.

– A gdybym spotkała cię wtedy po drugiej stronie, nie dałabym ci żadnych szans.

O tym też dobrze wiem, pomyślał inspektor.

– Cieszę się, że chciało mi się to robić – dodała Helen. – Mam nadzieję, że Alice też będzie się angażowała w różne ruchy społeczne.

– Tak – zgodził się potulnie Carlyle.

Helen przyglądała mu się uważnie, czekając, aż zacznie się naśmiewać z jej młodzieńczego idealizmu. Kiedy się upewniła, że choć raz oparł się pokusie i nie zamierza jej dokuczać, spytała:

– Jak się nazywała ta grupa?

– Cóрки Dyzmy.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Nic dziwnego. – Carlyle wzruszył ramionami. – Dyzma to jakiś koleś z Biblii, zadawał się z Jezusem czy coś takiego. A te babki to banda nawiedzonych wariatek i tyle.

– Ale znam kogoś, kto na pewno coś o tym wie – Helen sięgnęła pod stół po torbę. Szukała w niej czegoś przez chwilę, aż wreszcie wyjęła komórkę i zaczęła przeglądać listę numerów. Dziewczyny przy sąsiednim stoliku przeszły płynnie od dyskusji o nowoczesnej technice do swobodnej rozmowy o seksie. Carlyle starał się nie słuchać i skoncentrować wyłącznie na jedzeniu.

Tymczasem Helen wybrała numer i przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Claro, tu Helen. Cześć! Jak się mają chłopcy? To dobrze, tak, u nas wszystko w porządku. – Spojrzała na Carlyle'a i uśmiechnęła się szeroko. – Tak, nadal jest policjantem. Tak, straciłam już nadzieję, że znajdzie sobie jakąś porządną pracę.

Carlyle skrzywił się okropnie, a Helena pokazała mu język.

– Posłuchaj, Claro, przepraszam, że przeszkadzam ci w jedzeniu, ale chciałam tylko szybko coś sprawdzić. Czy słyszałaś kiedykolwiek o grupie o nazwie Córki Dyzmy? To jakaś międzynarodowa organizacja kościelna, która walczy z ubóstwem. Chciałabym się dowiedzieć, czy należy do niej niejaka...

– Agatha Mills – odpowiedział szybko Carlyle.

– ...Agatha Mills. To dosyć pilne, dlatego pozwoliłam sobie zadzwonić... Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony. Tak, na telefon. Dzięki piękne, do usłyszenia!

Clara? Inspektor nie przypominał sobie nikogo o tym imieniu, ale wcale się temu nie dziwił. Miał blade pojęcie o gronie przyjaciół i znajomych żony, które było znacznie szersze niż jego.

– Kto to był? – spytał.

– Nikt, kto zechciałby kiedykolwiek z tobą rozmawiać – odparła słodko Helen, przeglądając menu. – Mam na myśli kontakty zawodowe, oczywiście.

– Mało jest takich, którzy by chcieli. Masz ochotę na pudding?

– Nie, poproszę tylko zieloną herbatę. Ale jeśli myślałaś o pączkach z czekoladą, to nie krępuj się, proszę.

Kelnerka zebrała ze stołu puste talerze. Carlyle nie bez wysiłku ograniczył się do podwójnego espresso. Dostali napoje po kilku minutach, a inspektor wypił właśnie pierwszy łyk kawy, gdy komórka jego żony zaczęła wibrować. Helen podniosła ją do ucha.

– Clara? Tak szybko? Jesteś niesamowita! Tak, rozumiem. .. Interesujące... Posłuchaj, naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna. Gdybym potrzebowała czegoś jeszcze w tej sprawie, mogę zadzwonić? Cudownie. Raz jeszcze dziękuję. Cześć!

Helena zakończyła rozmowę i wrzuciła telefon do torby.

– No i? – spytał Carlyle.

– No, no, panie inspektorze. – Jego żona uśmiechnęła się, popijając herbatę. – Wygląda na to, że być może jesteś na właściwym tropie. Agatha Mills nie tylko była członkinią Córek Dyzmy, ale pracowała dla nich przez kilka lat.

– Tutaj, w Londynie?

– Nie, w Chile.

Cholera, zaklął w duchu Carlyle. To naprawdę interesujące.

Helena dopiła herbatę, założyła torbę na ramię i wstała.

- Muszę wracać do pracy – powiedziała, pochylając się nad stołem i całując Carlyle’a w czoło. – Postaraj się wrócić dziś wcześniej.

- Spróbuję.

- To dobrze. Możesz zapłacić za lunch, chyba sobie na to zasłużyłam – dorzuciła, przeciskając się między stolikami.

Inspektor posłusznie uregulował rachunek, a potem pojechał metrem na Tottenham Court Road i ruszył w stronę komisariatu Charing Cross. Gdy skręcił w William IV Street, stwierdził zdumiony, że ulica została zagrodzona taśmą policyjną, za którą ustawił się tłumek gapiów. Carlyle ominął ich, przeszedł pod taśmą i pokazał legitymację młodej policjantce, której nigdy wcześniej nie widział.

- Co się tu dzieje? – spytał.

- Nie wiem, panie inspektorze – odparła podenerwowana. – Ale godzinę temu kazano wszystkim opuścić budynek. – Wskazała głową róg ulicy. – Większość poszła do pubu.

To oczywiście, pomyślał Carlyle. Odwracał się, gdy ktoś położył mu rękę na ramieniu.

- Cześć, szefie – przywitał go Joe Szyszkowski.

- Co się tu dzieje?

- To sprawa Dennisa Felixa.

- Kogo?

- Tego bębniarza z placu. – Joe odciągnął go od policjantki na środek pustej ulicy. – Podobno miał wąglika – oznajmił scenicznym szeptem.

- Jezu... – mruknął Carlyle, drapiąc się po głowie.

- Właśnie. Przypuszczają, że zaraził się od skór, którymi były obciążone jego bongosy.

- Prawdziwy pech. – Inspektor próbował sobie przypomnieć, czym jest wąglik i jak można się nim zarazić. Wydawało mu się, że wystarczy wciągnąć do płuc bakterie, ale jaki to ma związek ze zwierzęcymi skórami? Zaczął się zastanawiać, czy i on mógł to złapać. Co prawda nie dotykał bębnow, ale przyglądał im się z bliska. Zakasłał od niechcienia i potarł gardło. Może rzeczywiście nie czuje się dzisiaj najlepiej...

- Wysłali tam paru facetów w skafandrach – ciągnął Joe, nieświadomy rozterek szefa. – Mają zabrać te bębny i wywieźć je w

bezpieczne miejsce. Ewakuowano cały posterunek jakieś pół godziny temu.

– Jezu... – powtórzył Carlyle, jeszcze energiczniej pocierając gardło.

– Zrobiło się spore zamieszanie.

– Domyślam się. – Coraz wyraźniej czuł niepokojące łaskotanie w gardle.

– A Dave Prentice został odesłany do szpitala na badania.

Dave Prentice? A co ze mną? Carlyle przykazał sobie surowo nie wpadać w panikę, i przypomniał sobie, że to właśnie on kazał Prentice'owi zanieść te cholerne bębny do komisariatu. Nie mógł wiedzieć, że stanowią zagrożenie, ale gdyby Prentice zachorował, albo – Boże broń – umarł, całą winę zwalono by na niego. Ta myśl przyprawiła go o szybsze bicie serca.

– To chyba nie jest aż tak poważne, jak się wydaje, co?

– Nie – odparł Joe, choć bez przekonania. – Wiesz, jak to działa: panika, ludzie robią w portki ze strachu, a potem się okazuje, że to nic takiego. Normalka.

Miejmy nadzieję, pomyślał inspektor.

– Tak czy inaczej, ja już chyba pójdę do domu – powiedział sierżant.

– Moja stara gotuje dzisiaj curry. Do jutra.

– Dobra, do jutra.

Carlyle odprowadził Joego wzrokiem, zastanawiając się, co powinien zrobić. Nim doszedł do jakiegoś konstruktywnego wniosku, Joe zatrzymał się i zawrócił.

– Byłbym zapomniał. Dzwoniła do ciebie Fiona Singleton.

Inspektor uniósł brwi, pokazując, że to nazwisko nic mu nie mówi.

– Sierżant z Fulham – wyjaśnił Joe.

Carlyle przypomniał sobie, że Singleton to policjantka, której Rosanna Snowdon powiedziała o swoim niechcianym wielbicielu, frajerze nazwiskiem... Carlyle próbował sobie przypomnieć, jak nazywał się facet, o którym rozmawiał z Rosanną w Patisserie Valerie, ale ten szczegół również mu uciekł. Może węglik źle wpływa na pamięć?

– Mówiła, o co jej chodzi?

– Nie.

Przynajmniej jest dyskretna, pomyślał inspektor.

- Dzięki, zadzwonię do niej - powiedział, podnosząc rękę. - Do jutra.

- Jasne, nie ma problemu.

Joe odwrócił się i zaczął oddalać. Gdy zniknął za rogiem, Carlyle wyjął z kieszeni marynarki służbowy telefon, odszukał właściwy numer i zadzwonił. Po kilku sygnałach gotów był już zostawić wiadomość na poczcie głosowej, ale w końcu ktoś odebrał.

- Halo?

- Susan?

- Ach, John! Niech zgadnę: stoisz teraz na Agar Street i zastanawiasz się, co się tu, do cholery, dzieje?

- Tak naprawdę stoję za rogiem i zastanawiam się, co się tu, do cholery, dzieje.

- Byłam blisko.

- Susan Phillips, ktoś więcej niż zwykły patolog.

- Potraktuję to jako komplement.

- Bo to jest komplement. Powiedz mi, co się tu dzieje. Mój sierżant mówi, że chodzi o wąglika. Powinienem biec do najbliższego lekarza albo do najbliższego księdza?

- Nie. - Phillips spoważniała. - To, co się tam wyprawia, to zdecydowana przesada. Biedny pan Felix rzeczywiście zaraził się wąglikiem, najprawdopodobniej za pośrednictwem skór na bębnach.

- Jak mu się to udało?

- Lubił podróżować, przypuszczam więc, że przywiózł te skóry z Afryki. Tamtejsze zwierzęta często połykają lub wdychają zarazki, kiedy się pasą. Chore zwierzęta mogą przenosić wąglika na ludzi. Może jadł ich mięso albo, co bardziej prawdopodobne, wciągnął zarazki razem z powietrzem, kiedy naciągał skóry na bębny.

- Biedak - mruknął Carlyle ze szczerym współczuciem.

- Rzeczywiście, miał strasznego pecha - przyznała Phillips. - Takie przypadki się zdarzają, ale prawdopodobieństwo, że zaraził się ktoś jeszcze, jest naprawdę minimalne.

- Więc co robią tutaj ci faceci w skafandrach?

- Dobrze pytanie. Ktoś powinien był po prostu dyskretnie zabrać te bębny. Przeprowadziłabym wtedy dalsze badania, a w razie potrzeby obserwowalibyśmy tych, którzy mogli ewentualnie się zarazić. To, co się teraz u was dzieje, to naprawdę przesada.

- A kto podjął taką decyzję?

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza.

- A jak myślisz?

- Simpson?

Phillips ściszyła nieco głos.

- Komendant Carole Simpson, ulubiona biurokratka wszystkich policjantów w Londynie.

- Ale skąd ona w ogóle się o tym dowiedziała?

- Wiesz, jak to jest, John. Nikt nie chciał podjąć decyzji i przekazywał sprawę wyżej, aż dotarła do kogoś, kto nie mógł już przekazać jej nikomu innemu i musiał coś z tym zrobić.

- No tak, bezpieczeństwo na pierwszym miejscu.

- To nie jest kwestia bezpieczeństwa - prychnęła Susan. - To ślepa panika. Simpson pewnie umiera z przerażenia, że wszyscy, którzy byli w ciągu ostatniej doby w Charing Cross, pozwą ją do sądu.

- Całkiem możliwe - zgodził się inspektor. - Może ja sam powinienem ją pozwać.

- Może powinieneś. - Phillips się roześmiała. - Związki zawodowe na pewno chętnie by ci pomogły.

- Bez dwóch zdań.

W tle rozległy się jakieś głosy. Phillips powiedziała komuś, że zaraz przyjdzie, a potem wysłuchała odpowiedzi.

- John, muszę kończyć - odezwała się po chwili. - Nie martw się, naprawdę nie ma żadnego zagrożenia. Jeszcze przez parę godzin będziecie tam mieli niezłe zamieszanie, ale jutro wszystko wróci do normy. Na twoim miejscu zrobiłabym sobie dzisiaj wolne.

- Świetny pomysł! - Carlyle ucieszył się, że jego obawy zostały rozwiane. - Dzięki za informacje. Miło się z tobą rozmawiało, Susan. Do zobaczenia.

- Z tobą też, John. Uważaj na siebie.

W słuchawce zapadła cisza. Carlyle stał jeszcze przez chwilę na środku ulicy i się rozglądał. Nic się nie zmieniło: po jednej stronie na posterunku tkwiła policjantka, po drugiej za taśmą kłębił się tłum gapiów. Nagle dostrzegł ekipę telewizyjną nadchodzącą od strony St Martin's Lane.

- To znak, że trzeba już iść - mruknął do siebie i ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę placu, na którym wyzionął ducha

Dennis Felix.

Kiedy dotarł do King Street, spojrzął na komórkę. Miał jeszcze dość czasu, by poćwiczyć trochę w siłowni Jubilee Hall i wrócić do domu o tej samej porze co Alice. Uznał to za metroseksualną wielozadaniowość, która zaimponuje Helen bardziej niż wypad na lunch. Przynajmniej taką miał nadzieję. Uśmiechnął się i podniósł słuchawkę do ucha, by przekazać żonie dobre wieści.

Zrobiło się zimno, szaro i wilgotno. Trzy godziny wcześniej, gdy Carlyle wychodził z domu, czyste błękitne niebo miało obietnicą przyjemnego letniego dnia. Teraz pogoda przywodziła na myśl raczej luty niż czerwiec. Inspektor przeklął w duchu swoją niefrasobliwość, która kazała mu zignorować prognozy i zostawić w domu płaszcz przeciwdeszczowy. Spojrzał na niebo, a potem na drzewa w nadziei, że osłonią go choć trochę przed nadciągającym deszczem.

Musiał jednak przyznać, że taka pogoda pasuje do pogrzebu. Dawno już doszedł do wniosku, że pogrzeb w piękny letni dzień to obraza dla zmarłego, szyderstwo wszechświata. Chciał, by w dniu jego pochówku było ciemno, wilgotno i ponuro.

W oczekiwaniu na deszcz próbował pocieszać się myślą, że do tego dnia zostało mu jeszcze sporo czasu. Agatha Mills już tego czasu nie miała. W swoich testamentach małżonkowie zażyczyli sobie, by pochowano ich razem, w grobowcu rodziny Pettigrew na cmentarzu Lavender Hill w północnym Londynie. Przy bramie Carlyle wziął ulotkę z małą mapą, na której ustalił swoje położenie.

Grobowiec rodziny Pettigrew mieścił się mniej więcej pośrodku cmentarza. Wyglądał jak mały granitowy dom (albo bardzo duży domek dla lalek). Kiedy oglądał go ze wszystkich stron, wciąż słyszał muzykę dobiegającą z kaplicy przy głównej bramie. Przyszło mu nagle do głowy, że sam chciałby zostać pochowany w takim właśnie miejscu – nad ziemią, z dostępem do świeżego powietrza oraz światła i z dobrym widokiem.

Obchodząc grobowiec po raz drugi, Carlyle zauważył, że ze względu na pogrzeb drzwi już są otwarte. Upewnił się, że nikt go nie widzi, po czym pchnął je lekko i wszedł do środka. Światło wpadające przez małe okrągłe okienko z tyłu grobowca oświetlało wąskie przejście pośrodku budynku, na tyle długie, by można było wsunąć trumnę do jednej z trzech krypt po każdej ze stron. Krypty po lewej były już zajęte, po prawej jeszcze puste. Przy każdej z nich znajdowała się

drewniana tabliczka z imieniem i nazwiskiem zmarłego oraz datami narodzin i śmierci. Carlyle przykucnął i odczytał nazwiska Tomasa i Sylvie Pettigrew, rodziców Agathy, którzy zostali tu pochowani w latach siedemdziesiątych, oraz Waltera Henry'ego, zmarłego czwartego sierpnia 1956 – był to zapewne jeden z jej dziadków. Po pustej stronie znajdowały się nowe tabliczki przeznaczone dla Agathy z domu Pettigrew oraz Henry'ego Millsa. Z tyłu widniał bardzo już wyblakły napis informujący, że miejsce to jest zarezerwowane dla Williama Pettigrew, zaginionego księdza. Daty śmierci nie podano.

Ponieważ Agatha Mills nie miała już żadnych żyjących krewnych, nikt nie próbował sugerować, że ze względu na okoliczności swojej śmierci Agatha mogłaby zmienić zdanie i nie życzyć sobie pochówku obok męża i domniemanego zabójcy zarazem. Zdaniem Carlyle'a nie było takiej potrzeby. Był więcej niż przekonany, że Henry Mills nie zabił żony. Oczywiście taka hipoteza nie była mile widziana w komisariacie. Inspektor dobrze wiedział, że ponieważ Simpson domaga się końcowego raportu, sprawa wkrótce zostanie zamknięta i uznana za kolejny sukces. Wiedział też, iż będzie musiał dostarczyć jej ten raport, bo cierpliwość pani komendant jest na wyczerpaniu.

Co więcej, Simpson byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała, że przyszedł tutaj, zamiast poświęcać czas i energię najnowszej sprawie, którą mu przydzieliła – serii kradzieży dotyczących bogatych widzów Royal Opera House. Carlyle, podobnie jak Simpson i wszyscy inni zaangażowani w tę sprawę, wiedział, że sprawcą musi być któryś z pracowników opery, ale przesłuchania kilkudziesięciu członków personelu mogą potrwać nawet kilka tygodni. Poza tym jakoś nie potrafił wykrzesać w sobie współczucia dla ludzi, których stać na bilety po trzysta pięćdziesiąt funtów i kolację w operowej restauracji, za kolejne dwieście funtów.

Inspektor wyszedł na dwór. Tak jak przypuszczał, zaczęło padać, pobiegł więc pod rozłożystą sosnę odległą o dwadzieścia metrów od grobowca. Stamtąd obserwował, jak powoli jedzie w jego stronę granatowy karawan volvo, wiozący obie trumny. Za samochodem szła zadziwiająco duża – jego zdaniem – grupa żałobników. Po chwili karawan zatrzymał się przed grobowcem, a deszcz, jakby na sygnał, nagle ustał. Czterech pracowników firmy pogrzebowej ustawiło się z

tyłu auta, a gdy dołączyli do nich żałobnicy – co najmniej trzydzieści osób – otworzyli tylne drzwi i wyjęli pierwszą trumnę.

W tym właśnie momencie nad cmentarzem rozległ się donośny głos Justina Timberlake'a. Uczestnicy pogrzebu podnosili wzrok i szeptali oburzeni. Nie była to może typowa uroczystość żałobna, ale głośne odtwarzanie LoveStoned z pewnością należało uznać za przesadę. Zawstydzony inspektor próbował w pośpiechu wyjąć komórkę z kieszeni i ją wyłączyć.

– Cholerna Alice! – mruknął, chowając się za drzewem. Nie po raz pierwszy córka bez jego wiedzy zmieniła dzwonek w jego telefonie. Carlyle przyrzekł sobie solennie, że po powrocie do domu nauczy ją rozumu. Spanikowany nacisnął „odbierz” zamiast „odrzuc”. Odetchnął z ulgą, gdy Justin Timberlake wreszcie umilkł, nie cieszył się jednak długo, uświadomiwszy sobie, że teraz będzie musiał z kimś rozmawiać. Odsunął się jeszcze dalej od oburzonych żałobników, by po raz kolejny nie naruszyć funeralnej etykiety, i podniósł aparat do ucha.

– Halo? – wyszeptał.

– Inspektor Carlyle? Mówi Fiona Singleton z Fulham. – Policjantka mówiła bardzo szybko, jakby się bała, że ktoś jej przerwie.

Cholera, zaklął w duchu Carlyle.

– Próbuję się z panem skontaktować od kilku dni – mówiła Singleton. – Zostawiłam panu dwie wiadomości w Charing Cross...

– Tak, rzeczywiście. – Carlyle patrzył na trumny, które wnoszono właśnie do grobowca. – Przepraszam, że nie odpowiedziałem. Mieliśmy małe kłopoty w komisariacie.

– Słyszałam. – Policjantka westchnęła współczująco. – Ta historia z wąglikiem. Pewnie najedliście się strachu.

– Niezupełnie – odparł inspektor. Uspokoił się nieco, zrozumiał, że Singleton nie ma do niego pretensji. – Prawdę mówiąc, cała rzecz była trochę rozdmuchana.

Phillips miała rację – po dwudziestu czterech godzinach wszystko się uspokoiło. U nikogo nie wykryto objawów choroby, nawet Dave Prentice wrócił tego samego dnia do domu. Nazajutrz komisariat funkcjonował normalnie.

– Wie pan, dlaczego dzwonię? – spytała sierżant.

- Tak - potwierdził Carlyle, spoglądając na grobowiec. Agatha i Henry Mills zostali pochowani, a żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Jeśli ma odnieść jakąkolwiek korzyść z tej wyprawy, powinien już iść.

- Jestem w tej chwili na pogrzebie - powiedział do słuchawki. - Mogę zadzwonić do pani za godzinę?

- Pewnie tak. - Singleton westchnęła, pozwalając, by zbył ją po raz kolejny.

- Świetnie, dzięki.

Carlyle zakończył połączenie i ruszył w stronę grobowca. Pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego czekali cierpliwie przy karawanie, aż ostatni żałobnicy ruszą w stronę bramy. W milczeniu obserwowali przechodzącego obok inspektora.

Carlyle zatrzymał się kilka metrów za volvo i spojrzał na ludzi idących alejką. Czego właściwie tu szuka? Kogoś, kto wygląda na członkinię Córek Dyzmy? Kogoś, kto wygląda na Chilijczyka? Kogoś, kto mógł znać Sandrę Groves? Rozproszony telefonem od Singleton, nie mógł skupić się na bieżących sprawach. Wciąż wracał myślami do Rosanny Snowdon. Zauważył, że po pierwszych doniesieniach o jej śmierci gazety już o niej nie piszą. Dziwiło go też to, że nie aresztowano jeszcze człowieka, który ją nękał. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy powinien mieć wyrzuty sumienia, że nie pomógł jej od razu, ale po raz kolejny doszedł do wniosku, że i tak niewiele mógłby zrobić. Zastanawiał się również, co powie Fionie Singleton i co zje na lunch - niekoniecznie w tej kolejności.

Próbując wyrwać się z otępienia, skupił wzrok na dwóch kobietach - być może matce i córce - idących alejką jakieś trzydzieści metrów dalej. Postanowił z nimi porozmawiać, gdy uświadomił sobie, że ktoś obok niego stoi. Odwrócił się i zobaczył opalonego, przystojnego mężczyznę w drogim płaszczu narzuconym na klasyczny czarny garnitur z białą koszulą i czarnym krawatem. Wyglądał jak ktoś, kto wyszedł prosto z reklamy Armaniego. Mężczyzna wyciągał do niego rękę, więc Carlyle ją uściskał.

- Matias Gori.

Zgoliłeś brodę, pomyślał inspektor.

- Inspektor John Carlyle.

- Tak. - Gori się uśmiechnął. - Wiem.

Dość tych uprzejmości, ty cwany dupku, syknął w duchu inspektor.

– Co pan tu robi? – spytał.

Gori spuścił wzrok, ale nie przestał się uśmiechać.

– Ambasador powiedział mi, że chce pan ze mną rozmawiać. Chciał też, żeby panią Mills pożegnał przedstawiciel naszej ambasady. – Wskazał duży wieniec oparty o wejście do grobowca. Na wstędze widniał napis w języku hiszpańskim: Con mas sentido pesame. Carlyle nie znał hiszpańskiego, ale domyślał się treści napisu. Przypomniał też sobie ogłoszenie skierowane do żałobników: Proszę nie przynosić kwiatów. Pieniądze przeznaczone na ten cel proszę ofiarować Katolickiej Fundacji Pomocy – ale powstrzymał się od komentarza. Jego spojrzenie padło na starannie wypastowane buty attache wojskowego.

– Skąd pan wiedział, że tutaj będę?

– Nie wiedziałem. – Gori wzruszył ramionami. – Ale jest pan, więc mogę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, jak to mówią.

Powoli mszyli w stronę bramy. Wciąż nie padało, ale inspektor był pewny, że lada moment to się zmieni. Po kilku chwilach dogoniło ich granatowe volvo, zeszli więc na trawę, by je przepuścić. Kiedy czekali, aż przejedzie, Gori rozpiął płaszcz i wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę marlboro. Wyciągnął papierosy w stronę Carlyle'a.

– Nie, dziękuję – powiedział inspektor, kręcąc głową.

Gori wyjął papierosa i włożył go między zęby. Kiedy szukał w innej kieszeni zapalniczki, Carlyle zauważył, że w klapę jego marynarki wpięty jest mały znaczek w kształcie złotego sztyletu. Chilijczyk zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Przez kilka chwil trzymał dym w płucach, a potem wypuścił go nad głową Carlyle'a. Zauważywszy, że ten wpatruje się w złoty sztylet, niedbałym lecz szybkim gestem zapiął płaszcz i wszedł na asfalt.

Carlyle czekał cierpliwie, podczas gdy Gori znów zaciągał się dymem.

– A co pan tutaj robi? – spytał w końcu attache.

– Przyszedłem pożegnać panią Mills – odparł Carlyle.

Gori spojrzał na niego zaskoczony.

– Chodzi pan na pogrzeby wszystkich swoich ofiar?

– To nie są moje ofiary. – Carlyle uśmiechnął się uprzejmie, by pokazać, że nie czuje się urażony tymi pytaniami. – I nie, nie chodzę na pogrzeby.

– Ale w tym przypadku pan poszedł.

– Cóż, Agatha Mills była niezwykłą kobietą.

Gori wyjął papierosa z ust i przyjrzał mu się uważnie.

– Tak słyszałem.

Inspektor czekał, aż Chilijczyk rozwinię nieco ten komentarz. Kiedy zrozumiał, że nie usłyszy niczego więcej, zmienił taktykę.

– Myślałem, że jest pan w Santiago.

Gori rozejrzał się po cmentarzu odległym o jedenaście tysięcy kilometrów od jego domu, i westchnął.

– Byłem, ale tylko przez trzy dni.

– Taki kawał drogi i taka krótka wizyta?

– Wiem. – Gori wzruszył ramionami. – Też żałuję, ale taka to już praca.

– No właśnie, jaka praca? – zainteresował się Carlyle. – Co pan właściwie robi?

Gori roześmiał się cicho.

– Ambasador mówił mi, że o tym rozmawialiście. Proszę się nie obawiać, inspektorze, nie ma w tym niczego nielegalnego ani kontrowersyjnego, nie licząc może kilku niezapłaconych mandatów za parkowanie. Ale to problem wszystkich ambasad.

– Owszem.

– Tak naprawdę to wszystko jest bardzo przyziemne i nieciekawe.

Nigdy nie ufaj człowiekowi, który nie może – albo nie chce – powiedzieć, jak zarabia na życie, pomyślał Carlyle.

– Znał pan Agathę Mills? – spytał.

– Nie. – Gori przygryzł dolną wargę. – Dlaczego pan pyta?

– Wie pan o jej powiązaniach z Chile?

– Zdaje się, że jej ojciec był Chilijczykiem.

– I brat, który był tam księdzem.

Gori milczał, ale w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. Czekał cierpliwie, aż ten irytujący policjant odkryje karty.

– Zginął podczas przewrotu w siedemdziesiątym trzecim roku. – Carlyle wskazał grobowiec. – Nazywał się William Pettigrew. Tutaj czeka na niego miejsce. Wciąż szukają jego ciała. Albo szukali.

Gori zmrużył lekko oczy.

– Dzięki pańskim rozmowom z ambasadorem wiemy o długoletnich związkach pani Mills z naszym krajem.

– Co pan myśli o tym wszystkim? – spytał Carlyle.

– O czym? – Chilijczyk mszył w stronę bramy.
– O tym, co stało się z jej bratem.
– Jej brat! – parsknął Gori. – W tym właśnie rzecz, inspektorze. Nikt nie wie, co się z nim stało.

– Ale proces się odbędzie? – spytał Carlyle obojętnym tonem.

– Być może. – Gori przestąpił niepewnie z nogi na nogę i wykonał nieokreślony gest ręką, w której trzymał papierosa. – Tylko czy po tylu latach komukolwiek uda się dotrzeć do prawdy?

– Więc uważa pan, że to strata czasu?

Uświadomiwszy sobie, że za bardzo się odśłania, Gori szybko zapanował nad gestami.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego, inspektorze. Pozwólmy, żeby prawo działało swoim trybem.

– Ale chyba ma pan jakąś opinię na ten temat?

Gori westchnął teatralnie.

– Cóż, uważam, że należy zawsze patrzeć do przodu, a nie oglądać się za siebie.

Bardzo wygodny pogląd, pomyślał Carlyle.

– Był pan jakoś zaangażowany w to, co się wtedy działo?

– W siedemdziesiątym trzecim roku? – Gori uniósł brwi. – Miałem wtedy dwa lata.

– A pańska rodzina? – drążył Carlyle.

– Raczej nie.

Raczej nie? Tu nie ma miejsca na „raczej”, jest tylko „tak” lub „nie”, pomyślał ze złością inspektor.

– Nie bardziej niż inni – dodał Chilijczyk. – Poza tym, jak już wspominałem, należymy do ludzi, którzy patrzą w przyszłość, inspektorze. Nie zadręczamy się wydarzeniami z dawno minionej przeszłości.

Dotarli do bramy. Zaczęło padać, a Carlyle miał przed sobą długi spacer Cedar Road w poszukiwaniu przystanku autobusowego. Gori wyjął coś z kieszeni i skierował to na lśniącego sportowego mercedesa stojącego pod znakiem zakazu parkowania po drugiej stronie ulicy. Samochód błysnął światłami i rozległo się głośne piśnięcie.

– Podwiózłbym pana, inspektorze – powiedział Chilijczyk, zerkając na zachmurzone niebo – ale jadę w przeciwnym kierunku.

- Nic nie szkodzi - odparł Carlyle przez zaciśnięte zęby, gdy kropla deszczu kapnęła dokładnie na czubek jego głowy. Przywołał na twarz coś, co miało wyglądać na nonszalancki uśmiech. - Jeszcze tylko jedno pytanie, dobrze?

- Tak? - Gori podszedł szybko do samochodu.

- Zna pan niejaką Sandrę Groves?

Jednym płynnym ruchem Gori otworzył drzwi auta i wsunął się do środka. Spojrzał w górę, jakby ponaglał deszcz, by zaczął padać jeszcze bardziej. W przednią szybę auta uderzało coraz więcej kropel.

- Nie - powiedział w końcu, oblizując usta. - A powinienem?

- Nie - odparł Carlyle, szykując się do szybkiego powrotu pod osłonę bramy. - Dziękuję za rozmowę. I proszę pozdrowić ode mnie ambasadora.

Ale Gori zatrzasnął już drzwi i uruchomił silnik. Gdy Carlyle odprowadzał wzrokiem odjeżdżającego mercedesa, deszcz rozpadał się na dobre i przemoczył go w ciągu kilku sekund do suchej nitki. Inspektor zrezygnował z powrotu do bramy i ruszył powoli ulicą.

Komendant Carole Simpson siedziała w swoim biurze na dwunastym piętrze brzydkiego budynku z lat sześćdziesiątych, nazywanego „najbardziej przerażającym komisariatem Wielkiej Brytanii”, opierała głowę na rękach i z trudem powstrzymywała się od płaczu. Sprawy nie układały się po jej myśli. Bez wątpienia był to najgorszy dzień w jej życiu.

W podziemiach budynku jej asystentka oprowadzała właśnie grupkę wybranych dziennikarzy po specjalnych celach dla podejrzanych o terroryzm, odnowionych właśnie kosztem pół miliona funtów. Projekt, który obejmował między innymi wyłożenie ścian szarym papierem – by podejrzani nie mieli dostępu do żadnych materiałów mogących wywołać skażenie – i instalację urządzeń do oglądania filmów i słuchania muzyki, był ukochanym dzieckiem Simpson. Zarządzała nim naprawdę sprawnie i dzisiejszy dzień miał być nagrodą za ukończenie prac w terminie i – mniej więcej – w granicach zaplanowanego budżetu, oraz za cierpliwe znoszenie narzekañ antyterrorystów, którzy twierdzili, że groźni przestępcy nie zasługują na takie luksusy.

Simpson, która zawsze chętnie występowała przed kamerami, już od kilku tygodni cieszyła się na kolejne, ze zdecydowanie zbyt rzadkich jej zdaniem, spotkanie z mediami. Zrozumiała już jakiś czas temu, że musi ciężko pracować na swoją „porcję promocji” i że nie powinna marnować żadnej szansy na autoreklamę. Tworzenie odpowiedniego wizerunku jest koniecznością, jeśli marzy o wspinaniu się na kolejne szczeble policyjnej hierarchii. Przez całą karierę postrzegaa dziennikarzy jako sprzymierzeńców.

Ale to się właśnie zmieniło.

Teraz została ich ofiarą.

Rankiem tego dnia, tuż przed szóstą, obudziło ją dwóch krzepkich, nieogolonych mężczyzn, walących do drzwi jej domu w Highgate. Simpson, która zawsze miała lekki sen, wyskoczyła z łóżka,

przeklinając w duchu męża, który nadal spokojnie pochrapywał. Rozsunęła zasłony, otworzyła okno i wyrzała na dwór.

– Wynocha! – krzyknęła. – Albo wezwę policję!

– To my jesteśmy policją, proszę pani. – Jeden z nich uśmiechnął się drwiąco. Jego ton był tym bardziej irytujący, że z pewnością dobrze wiedział, z kim ma do czynienia.

Wtedy o tym nie wiedziała, ale za policjantami czaili się fotoreporterzy i dziennikarze. Gdy Simpson zeszła na dół i otworzyła drzwi, przesyłano już pierwsze notatki i zdjęcia.

Czterdzieści pięć minut później znów stała w progu i popijała czarną kawę, obserwując, jak jeden z policjantów wpycha jej skutego kajdankami męża do czarnego range rovera. Drugi wkładał do bagażnika pudła wypełnione dokumentami. Wcześniej przyglądała się z niedowierzaniem, jak Joshua został poinformowany o swoich prawach i aresztowany pod zarzutem współudziału w oszustwach finansowych.

– Sprowadź prawnika – rzucił tylko do niej, nim wyprowadzono go z domu.

Teraz, sześć godzin później, coraz boleśniej zdawała sobie sprawę z ogromu nieszczęścia, jakie na nią spadło. Główne miejsce na stronie internetowej gazety zajmowało ślubne zdjęcie Joshuy i Carole – skąd oni to wzięli, do diabła? – umieszczone pod wielkim nagłówkiem: MAŻ WYSOKIEJ RANGĄ POLICJANTKI ARESZTOWANY ZA STWORZENIE PIRAMIDY FINANSOWEJ O WARTOŚCI 694 MILIONÓW FUNTÓW. Joshua został okrzyknięty „brytyjskim Bernie’em Madoffem”, tak bowiem nazywał się amerykański finansista skazany na sto pięćdziesiąt lat więzienia za zdefraudowanie trzydziestu miliardów dolarów należących do tysięcy inwestorów.

Simpson skończyła czytać artykuł i się skrzywiła. Wynikało z niego, że albo musiała być współniczką oszusta, albo kompletną idiotką, która nie wiedziała, co dzieje się pod jej nosem. Położyła dłonie na blacie biurka i próbowała głęboko oddychać. Obok jej prawej ręki leżała kartka z oświadczeniem złożonym z zaledwie laiku akapitów. Nie trafiło jeszcze co prawda do użytkowników internetu, ale policja metropolitalna zdołała przynajmniej zorganizować konferencję prasową, podczas której zapewniono dziennikarzy i obywateli, że

komendantka nie jest podejrzana o żadne przestępstwo i że nadal będzie wykonywała swoje obowiązki.

Simpson zastanawiała się nad tym przez chwilę. Jak zdołali tak szybko to ustalić? Właściwie wołała chyba o tym nie myśleć. Aż do momentu aresztowania zarówno ona, jak i Joshua byli pod stałą i dokładną obserwacją. Te gnojki musiały sprawdzać wszystko: konta bankowe, rozmowy telefoniczne, e-maile.

Drżącą ręką wzięła oświadczenie i przeczytała je jeszcze raz. Było to na razie jedyne wsparcie, na jakie mogła liczyć. Wiedziała, że jej kariera legła w gruzach. Do tej pory nie dostała żadnych wiadomości od swoich zwierzchników. Skontaktował się z nią tylko dział kadr, który zaproponował jej urlop okolicznościowy. Simpson parsknęła tylko na tę myśl. Chyba uważają ją za idiotkę! Dobrze wiedziała, że jeśli opuści swoje stanowisko, bardzo trudno będzie jej na nie wrócić – jeśli w ogóle pojawi się taka możliwość. Urlop zamieniłby się zapewne w (bardzo) wczesną emeryturę albo, co gorsza, w pracę na jakiejś podrzędnej posiadzie w gorszej części stolicy.

Bębniąc palcami o blat, komendantka próbowała zmusić się do myślenia. Prawnik rodziny, były prokurator rządowy John Lucas, który pracował za kosmiczną stawkę ośmuset funtów za godzinę, był właśnie na spotkaniu z Joshua w komisariacie Kentish Town (dobrze, że przynajmniej nie przywieźli go tutaj, do Paddington!). Kiedy spotkanie dobiegnie końca, będzie musiała porozmawiać z Lucasem i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja. Na razie mogła tylko czekać.

Nie przyszło jej do głowy, że Joshua może być niewinny. Teraz myślała tylko o procesie. Wyobrażała sobie, jak powoli rozpędza się machina systemu. Po raz pierwszy w życiu znalazła się po niewłaściwej stronie prawa. Czuła się bezradna i opuszczona.

Powoli szok ustępował miejsca frustracji i złości na męża. Tak jak się obawiała, Joshua padł ofiarą trującej mieszanki chciwości i pychy. Pomyślała, że to przez ten list, ten cholerny list! Żegnajcie, frajerzy! Arogancki i złośliwy, trafił jako ciekawostka na łamy „Financial Timesa”, ostatecznie jednak wzbudził tylko gniew bardzo ważnych inwestorów, ludzi, którzy mogli doprowadzić do upadku każdego. Carole czuła, jak do oczu znów napływają jej łzy. Jeśli Joshua naprawdę wierzył, że może zamknąć interes i uciec, nim ktokolwiek się zorientuje, że zostawia po sobie wielką czarną dziurę, musiał być

naprawdę szalony. Ale podobnym szaleństwem było stworzenie tej czarnej dziury.

Gdy zadzwonił telefon, podskoczyła na krześle. Poczekała, aż przestanie. Kilka sekund później do biura zajrzała jej sekretarka, pracownica tymczasowa, która pełniła swoje obowiązki dopiero drugi dzień.

– Pani komendant? Dzwoni burmistrz – powiedziała nieco zbita z tropu dziwnym zachowaniem szefowej. – Mówił, że chce zamienić z panią słowo. Wygląda na to, że to jakaś ważna sprawa.

Nie poczekawszy na odpowiedź, sekretarka znikła za drzwiami. Chwilę później telefon znów zaczął dzwonić. Simpson powoli podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Carole?

Simpson usiadła prosto.

– Tak?

– Mówi Christian Holyrod.

Komendantka wróciła myślami do ich ostatniego spotkania niecałe dwa tygodnie wcześniej w ratuszu, podczas przyjęcia i kolacji połączonych ze zbiórką pieniędzy. Joshua wydał wtedy absurdalnie dużo pieniędzy. Holyrod był dla nich bardzo miły, mówił o swoich pomysłach na przyszłość, o wejściu do ogólnokrajowej polityki. Wspomniał nawet – całkiem otwarcie, gdy już wchłonął odpowiednią ilość whisky – o planach długo oczekiwanego ataku na Downing Street numer dziesięć. Przedstawił w skrócie „strategię średnioterminowej kampanii”, mającej na celu przejęcie przez niego urzędu premiera, który obecnie sprawował Edgar Carlton. Wyglądało jednak na to, że będzie musiał opracować strategię kampanii krótkoterminowej – partia Carltona rządziła już dość długo i systematycznie traciła poparcie. Holyrod nie był jedynym politykiem, który ostrzył sobie zęby na najważniejsze stanowisko w państwie. Dlatego bogaci sponsorzy pokroju Joshuy, którzy mogli zapewnić środki na realizację tych planów, byli wyjątkowo hołubieni przez rywalizujące ze sobą frakcje.

Simpson miała wrażenie, że wszystko to działo się bardzo dawno temu.

– Tak, panie burmistrzu? – spytała, pociągając nosem. – Czym mogę służyć?

– Słuchaj, Carole, bardzo mi przykro z powodu tej... historii z Joshua. – Holyrod wydawał się zakłopotany i rozkojarzony. W tle słyhać było głosy, jakby dzwonił w trakcie lunchu. – Jestem pewny, że to jakieś nieporozumienie, nieczysty chwyt konkurencji.

– Miejmy nadzieję.

– Na pewno tak właśnie jest – pocieszał ją Holyrod. – Wiesz, jak to dzisiaj wygląda. Wszyscy są bardzo wyczuleni na podejrzone sygnały. Naśladujemy Amerykanów, jak w wielu innych kwestiach. Nie brakuje też nadgorliwych detektywów, którzy ciągle szukają jakiejś sensacji.

– Ten człowiek w Ameryce dostał sto pięćdziesiąt lat – wyszeptała Simpson, tłumiąc szloch. – Sto pięćdziesiąt!

– No tak... – Burmistrz odchrząknął. – Ale tutaj nic podobnego się nie zdarzy. Wiem, że Joshua jest z gruntu uczciwy.

Szkoda, że ja nie mam takiej pewności, pomyślała Simpson.

– Dziękuję – odparła.

Głosy w tle ucichły, co oznaczało zapewne, że Holyrod przeszedł w jakieś spokojniejsze miejsce.

– Sam zainwestowałem u niego trochę pieniędzy – wyznał.

Czas przeszły, zauważyła Simpson.

– Naprawdę dobrze dbał o moje interesy – ciągnął burmistrz.

Więc to cię martwi, pomyślała Simpson. Boisz się, że przy okazji i tobie może się dostać.

– To dobrze.

– Tak, byłem trochę zaskoczony, kiedy zdecydował się wycofać, ale nie ma w tym nic złego. Lepiej skończyć, kiedy jeszcze się wygrywa. Wielu ludzi powinno wziąć z niego przykład.

– Tak.

– Pozdrów go ode mnie przy najbliższej okazji.

– Oczywiście. Dziękuję.

– I jeśli mógłbym wam jakoś pomóc, daj znać.

– Będę o tym pamiętała, dziękuję.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z tobą porozmawiać – powiedział burmistrz po krótkiej pauzie.

– Tak?

– Pani Agatha Mills.

Oszołomiona wydarzeniami mijającego dnia, Simpson przez dłuższy czas nie mogła skojarzyć tego nazwiska.

– Kobieta, która mieszkała w pobliżu British Museum – wyjaśnił burmistrz.

– Ta, którą zatłukł jej własny mąż?

– Otóż to – potwierdził szybko Holyrod. – Na jakim etapie jest ta sprawa? Czy śledztwo zostało już zakończone?

Simpson nie chciała przyznać, że nie ma pojęcia. Skoncentrowała się szybko na tym, co wiedziała.

– Z pewnością zrobił to jej mąż. A potem popełnił samobójstwo, wszedł prosto pod samochód. – Nagle przebiegł ją zimny dreszcz. Joshua znalazł się teraz w równie stresującej sytuacji, jak niedawno Henry Mills. Czy może zareagować w podobny sposób? Nie, to wykluczone. Nie należy do ludzi, którzy wolą się zabić niż stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Była tego pewna. Prawie.

– Sprawa jest zamknięta – powiedziała w końcu.

– Wspaniale – ucieszył się burmistrz. – Mógłbym dostać kopię końcowego raportu?

– Cóż... – Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś przyłapał ją na ujawnianiu tajnych dokumentów.

– Dyskrecja gwarantowana, oczywiście.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Do diabła, w tej sytuacji chyba nic już jej nie zaszkodzi, a wsparcie ratusza może się okazać bardzo pomocne w nadchodzących dniach.

– Oczywiście. Wkrótce coś prześlę.

– Dziękuję. I nie zapomnij pozdrowić Joshuy.

Nim zdążyła odpowiedzieć, burmistrz się rozłączył. Simpson powoli odłożyła słuchawkę. Dlaczego Holyrod interesuje się sprawą Mills? I dlaczego nie dostała jeszcze końcowego raportu? Wstała zza biurka i wyszła z gabinetu, zaskakując sekretarkę pogrążoną w lekturze jakiegoś kolorowego pisma o celebrytach. Simpson uniosła lekko brwi, przeczytawszy nagłówek – Letnia promocja liposukcji – nie skomentowała tego jednak. Sekretarka odłożyła czasopismo i spojrzała na nią wyczekująco.

Simpson odchrząknęła, próbując przywołać władczy ton, którym mówiła na co dzień.

– Proszę mnie połączyć z inspektorem Carlyle'em.

Carlyle, który już po kilku minutach spędzonych na deszczu wyglądał jak zmokła kura, poszedł z cmentarza prosto do domu. Po gorącym prysznicu, zmianie ubrania i lunchu w Il Buffone czuł się znacznie lepiej, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale nie miał ochoty iść do komisariatu. By przedłużyć pobyt w kawiarni, poprosił o drugą podwójną macchiato. Skończył właśnie składać zamówienie, gdy jego telefon zawibrował. Kiedy zobaczył, że dzwoni Joe, odebrał.

– Widziałeś gazetę? – spytał Joe, podniecony jak uczeń, który po raz pierwszy w życiu ogląda magazyn porno.

– Którą?

– „Standard”.

– Chwileczkę. – Carlyle odwrócił się do Marcella. – Masz jeszcze wieczorną gazetę?

– Certo.

Marcello wytarł ręce w ścierkę do naczyń i wszedł do niewielkiej wnęki za kontuarem, która służyła za kuchnię i magazynek jednocześnie, po czym natychmiast wrócił do Carlyle’a ze złożoną gazetą.

– Dzięki. – Carlyle przeczytał nagłówek i podniósł telefon do ucha. – Tottenham gotowy do nowego sezonu?

– Nie, idioto – syknął Joe. – Pierwsza strona!

Carlyle przełożył stronę i poczuł, jak szczęka opada mu do samej podłogi. Przez chwilę wpatrywał się z niedowierzaniem w wielki nagłówek, ślubne zdjęcie Simpson i szczegółowy opis aresztowania jej męża.

– Ja pierdolę...

– No właśnie. – Joe zachichotał. – Gadałem z kumplem z wydziału przestępstw gospodarczych, mówi, że Joshua Hunt, czyli pan Carole Simpson, siedzi po uszy w gównie.

– Jezu...

– Facet nawet nie próbował zaprzeczać. Spotkałeś go kiedyś?

- Nie. - Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę. -
Przynajmniej nie pamiętam.

- Wygląda na to, że trochę sobie posiedzi.

- Cholera... A co z Simpson?

- Wydali już oświadczenie, że nie miała z tym nic wspólnego.

- Ale to jej mąż! - zaprotestował Carlyle.

- Kto wie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami domów? -
zauważył filozoficznie Joe. - Może prowadzili oddzielne życie. Carlyle
znów spojrzał na gazetę.

- W domu za sześć milionów funtów?

- Na pewno jest wystarczająco duży, żeby mogli w nim urządzić
dwa oddzielne mieszkania.

- O ile mi wiadomo, byli szczęśliwym małżeństwem - mruknął
inspektor.

- Kto wie, jak to naprawdę wyglądało. Nawet jeżeli dobrze się
między nimi układało, co mogła wiedzieć o jego działalności
finansowej?

- Gdyby była taka jak Helen, wiedziałaby wszystko.

- To twoje małżeństwo - zauważył ze śmiechem Joe.

- Mhm...

- No dobra, żarty na bok. - Sierżant spoważniał. - Bez względu na
to, co myślimy o Simpson, trzeba przyznać, że nie robi z siebie
gwiazdy i ciężko pracuje. Może rzeczywiście nic nie wiedziała o jego
machlojkach?

Carlyle przebiegł wzrokiem pierwsze akapity artykułu.

- Ale tyle pieniędzy...

- To tylko cyfry na papierze - prychnął Joe. - Poza tym słyszy się o
ludziach, którzy zarabiają ogromną kasę. To niemożliwe, żeby wszyscy
byli oszustami.

- Tego akurat nie jestem pewny.

- No dobra, może on jest krętaczem, ale to nie znaczy, że ona też.
Gotów jestem uwierzyć w jej uczciwość.

- Ja chyba też - przyznał niechętnie Carlyle. Nie cierpiał Simpson,
ale nie przypuszczał, by świadomie brała udział w oszustwie.

- Tak czy inaczej, nadal pracuje - dodał Joe. - I chciała z tobą
porozmawiać.

- Cudownie - jęknął Carlyle. - O czym?

- O Agacie Mills. Chce wiedzieć, dlaczego nie dostała jeszcze raportu końcowego.

Dlatego że jeszcze go nie napisałem, pomyślał Carlyle.

- Cholera. Co jej powiedziałaś?

- Nic - odparł krótko Joe. - Odebrałem tylko wiadomość od jej sekretarki.

- Dobra. - Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę. - Mógłbyś przygotować dla mnie krótki szkic, wiesz, krótko i rzeczowo, tak jak Simpson lubi?

- Zrobi się - odpowiedział Joe, choć nie wydawał się zachwycony tym pomysłem.

- Świetnie. Przejrzę to rano. Dzięki - powiedział Carlyle zadowolony, że choć raz udało mu się zepchnąć nudną pracę na kogoś innego. - Do zobaczenia.

Ledwie skończył rozmowę z Joem, telefon znów zadzwonił. Tym razem była to Fiona Singleton z komisariatu Fulham.

- Wiedział pan wiadomości? - spytała rzeczowym tonem. Była znacznie spokojniejsza niż rozgadany Joe.

- Tak - odparł Carlyle. - Zdumiewające, prawda?

- Czy ja wiem... Lovell już złożył zeznania.

- Kto?

- Simon Lovell, ten czubek, który nachodził Rosannę Snowdon. Zabraliśmy go wczoraj wieczorem, a on chętnie przyznał się do wszystkiego. Ta wiadomość miała się pojawić dziś w gazetach, ale wstrzymaliśmy ją ze względu na... tę inną historię. Myślałam, że już pan o tym słyszał, ale na wszelki wypadek zadzwoniłam.

- Dziękuję. - Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę. - To on ją zabił?

- Lovell? Chyba tak. Szef Snowdon wysadził ją pod jej mieszkaniem. Lovell przyznaje, że na nią czekał. Wygląda jak łagodny olbrzym, ale to nie znaczy, że nie mógł jej zrzucić ze schodów - tłumaczyła Singleton.

Tak się uzasadnia łatwe zwycięstwo, pomyślał Carlyle.

- Była pijana? - spytał.

Singleton potwierdziła.

- Może to był po prostu wypadek? - zasugerował.

- Nie sądzę - odpowiedziała z przekonaniem.

- Są jakieś dowody?

- Chyba nie. Poza tym teraz nie ma to już znaczenia.
- Radziłbym się upewnić, czy ktoś po prostu nie chce odfajkować tej sprawy i zgarnąć premii. Takie rzeczy mszczą się w przyszłości.
- To już nie pański problem – odparła Singleton takim tonem, jakby żałowała, że w ogóle do niego zadzwoniła.
- A co z jej chłopakiem? – wypytywał Carlyle.
- Z tym rugbistą? Pojechał na turniej do Nowej Zelandii.
- Dobre alibi.
- Tak – zgodziła się Singleton. – Detektyw, który rozmawiał z nim przez telefon, mówił, że nie wydawał się szczególnie przejęty.
- Nie? – Gdybym ja stracił taką dziewczynę jak Rosanna Snowdon, umarłbym z żalu, pomyślał inspektor.
- Nie. – Policjantka się roześmiała. – Może ma to coś wspólnego z tą historią, którą opisywały wczoraj tabloidy. Podobno nasz bohater obmacywał swoje wielbicielki w nocnym klubie i oglądał zawody w rzucaniu karłami.
- Ludzie radzą sobie z poczuciem straty na różne sposoby. Tak czy inaczej, dziękuję za telefon.

- Nie ma sprawy.

Carlyle raz jeszcze przeczytał artykuł o mężu Simpson, nie znalazł w nim jednak niczego nowego. Kiedy skończył, spojrzął na zegar wiszący nad kontuarem i zobaczył, że dochodzi szesnasta. Od dobrych dwudziestu minut nikt nie wchodził już do kawiarni, a Marcello ostentacyjnie przygotowywał się do zamknięcia lokalu. Inspektor zrozumiał, że czas się zbierać i pozwolić biedakowi odpocząć.

Zapłaciwszy za lunch, Carlyle postanowił iść do domu. Alice miała wkrótce wrócić ze szkoły, pomyślał więc, że miło będzie ją przywitać i spytać, jak jej minął dzień. On sam właściwie niczego dziś nie osiągnął. Wiele się wydarzyło, ale jego sprawy nie posunęły się naprzód ani o krok. Czasami trzeba sobie po prostu zrobić przerwę. Pozwolić, żeby rzeczy się uleżały. Rano spojrzy na nie świeżym okiem.

Wychodząc z kawiarni, Carlyle o mało nie wpadł na parę spacerującą pod rękę Macklin Street.

- Przepraszam – wymamrotał, wpatrzony w chodnik.
- Inspektorze!

Podniósł wzrok i zobaczył Harry'ego Ripleya – Harry'ego Zawałowca – w towarzystwie kobiety, która mogła mieć sześćdziesiąt, maksymalnie sześćdziesiąt pięć lat.

– Harry, jak się masz? – spytał, kłaniając się grzecznie nieznajomej.

– To jest Esther – oznajmił rozpromieniony weteran. – Esther McGee. Poznaliśmy się na porannej kawie Stowarzyszenia Mieszkańców niedługo po... eee... naszym ostatnim spotkaniu.

Carlyle wyciągnął rękę.

– Miło mi panią poznać, Esther. Jestem John Carlyle, sąsiad Harry'ego.

– Ach tak, inspektor. – Kobieta się uśmiechnęła. – Harry opowiadał mi o panu.

– Mam nadzieję, że dobrze się panią opiekuje. – Inspektor wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dobry humor starszej pary udzielił się i jemu.

– O tak, to prawdziwy dżentelmen. – Esther przyciągnęła Harry'ego bliżej, a w jej oczach pojawił się szelmowski błysk. – I wciąż taki zwawy – dodała, puszczając do Carlyle'a oko.

– Jeśli wie pan, o czym mówię... O tak, nie brakuje jeszcze pary w tym gwizdku.

– No, no... – Carlyle odchrząknął, czując, że się czerwieni. Nie mógł się jednak równać z Harrym, który zrobił się purpurowy jak burak. Cicha woda, pomyślał inspektor. Ale przynajmniej nie trzeba się będzie martwić, że coś sobie zrobi. Niech żyje siła miłości.

– Miło było was spotkać – wyjąkał. – Cieszę się, że ci się układa, Harry.

Stary żołnierz potrzebował jeszcze kilku sekund, by odzyskać mowę.

– Tak, nam też było miło cię zobaczyć – powiedział w końcu. – Pozdrów Helen i Alice.

– Nie omieszkać. Musicie do nas wpaść przy najbliższej okazji.

– O tak, z przyjemnością – odrzekła Esther.

– Fantastycznie. Harry, porozmawiaj z Helen, ona będzie wiedziała najlepiej, kiedy możemy się umówić.

To powiedziawszy, przebiegł przez jezdnię i szybko ukrył się we wnętrzu Winter Garden House.

Carole Simpson siedziała przy stole w kuchni w swoim domu w Highgate i wpatrywała się ponuro w wielki kieliszek langoa barton 2001, czekając na telefon od prawnika. Gdy w końcu rozległ się dzwonek, nacisnęła guzik na słuchawce leżącej na blacie.

– Halo?

– Carole, mówi John Lucas. Właśnie wyszedłem z komisariatu Kentish Town.

– Tak. – Słyszała w tle hałas uliczny. Prawdopodobnie prawnik szedł ulicą, szukając taksówki. Powodzenia, pomyślała Simpson. Kentish Town było jedną z dzielnic najbardziej dotkniętych zamieszkami, które rozprzestrzeniły się po całym mieście, nim policja metropolitalna zdążyła należycie zareagować. Nawet w spokojniejszych czasach nie było to miejsce, po którym mężczyzna w garniturze powinien się przechadzać samotnie. Miała nadzieję, że Lucas znajdzie taksówkę, nim ktoś go napadnie.

Niemal w tym samym momencie w słuchawce rozległ się krzyk Lucasa:

– Taxi!

Czekała cierpliwie, podczas gdy prawnik wsiadł do auta i zamówił kurs do restauracji West End, a potem wrócił do rozmowy.

– Bardzo długo byliście w komisariacie – zauważyła, świadoma, co to musi oznaczać. Czekała, aż Lucas potwierdzi, że jej życie to katastrofa.

– Tak – odparł prawnik, który wyraźnie poweselał, gdy znalazł się już w bezpiecznym wnętrzu taksówki. – Ponad osiem godzin.

Simpson dokonała w głowie szybkich obliczeń. Dobry Boże, pomyślała ponuro, to ponad sześć tysięcy. Próbowała sobie przypomnieć, ile pieniędzy ma w portfelu. Pięćdziesiąt funtów? Wszystkie ich konta bankowe zostały zablokowane. Skąd wezmą pieniądze na opłacenie rachunków?

– Przyznał się, Carole. Przyznał się, że sprzeniewierzył pieniądze swoich inwestorów.

– Ty kazalesz mu to zrobić? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie, nie – zapewnił pospiesznie prawnik. – Oczywiście, że nie. Na razie sam nie jestem jeszcze pewny, do czego się właściwie przyznaje. Próbował zamknąć interes, co w tych okolicznościach należy uznać za dość zaskakujące.

– W jakich okolicznościach? Co masz na myśli? – spytała ostro.

– Cóż... – Lucas staranie dobierał słowa – w przypadku tak zwanej piramidy finansowej wcześniej czy później następuje krach, gdy zbyt wielu ludzi naraz próbuje odzyskać swoje środki. Wydaje się, że Joshua próbował oddać im pieniądze, a przynajmniej część.

– Czy to oznacza, że jest niewinny? – Simpson miała na myśli najwęższe, czysto prawnicze znaczenie tego słowa.

– Szacując straty – ciągnął Lucas, ignorując jej pytanie – chciał rozdzielić je równo między wszystkich i nie dopuścić do sytuacji, w której ostatni inwestorzy zostają z niczym. Dobrze wiedział, że tak czy inaczej wszystko skończy się wielką awanturą, ale miał pewnie nadzieję, że uda mu się to przedstawić jako skutek nietrafionych inwestycji, a nie oszustwo.

Simpson pomyślała, że w tym świetle list do inwestorów był jeszcze większą głupotą, niż wydawało jej się do tej pory.

– Na razie wszystko to wymaga dokładnego omówienia – kontynuował Lucas. – Nie wiemy, czym dysponuje policja. Dlatego radziłem mu, by na razie zachował milczenie. Nie posłuchał mnie.

– Więc niewiele miał z ciebie pożytku, co? – stwierdziła gorzko Simpson.

Prawnikiem nie zareagował na ten przytyk. Uważał, że jedną z jego mocnych stron jest cierpliwość wobec zdenerwowanych i sfrustrowanych klientów, którzy próbują się na nim wyładować.

– Taki wybór zawsze należy do klienta – tłumaczył spokojnie. – Czasem może się okazać, że na dłuższą metę to właściwe posunięcie.

– Jak to?

– Cóż... – prawnik westchnął. – W ten sposób możemy uniknąć procesu i wynegocjować mniejszy wyrok.

– I to wszystko? – jęknęła.

– Nie, oczywiście, że nie. – Lucas próbował przemawiać do Simpson kojącym, ojcowskim tonem, choć był od niej młodszy o pięć lub sześć lat. – Wcale nie. Na razie trudno jeszcze snuć jakieś prognozy.

– No dobrze, a co dalej?

– Przekażą go Wydziałowi Przystępności Gospodarczej Policji Miasta Londyn. Za jakiś czas zostanie zapewne oskarżony o naruszenie przepisów zawartych w ustawie z dwa tysiące szóstego roku. Przypuszczam, że zarzucą mu albo składanie fałszywych oświadczeń, albo nadużywanie stanowiska. Ale do tego jeszcze długa droga. Sprawy mogą się potoczyć w różnych kierunkach, a nam zależy na tym, żeby wybrać najlepsze wyjście dla Joshuy. I dla ciebie.

– Powinam się z nim zobaczyć?

– Jeszcze nie – odparł stanowczo prawnik. – Choćby dlatego, że przez jakiś czas będą go ciągle przenosili, zależnie od dostępności cel. Sama wiesz, jak to jest.

– Tak – potwierdziła lodowatym tonem. – Wiem.

– Nie będziesz przecież szukała go po całym Londynie, szczególnie z bandą dziennikarzy na karku.

– Tak, masz rację. – Simpson chciała upić łyk wina, jednak się rozmyśliła. Odstawiła kieliszek na stół i przeszła do sedna. – Pójdzie do więzienia?

Na pewno, pomyślał Lucas. I to na długo. Czasy są wyjątkowo nieprzychylnie dla oszustów podatkowych. Brakuje jeszcze, żeby do sprawy wtrącili się Amerykanie, wtedy biedak nie będzie miał żadnych szans. Cholerni jankesi najchętniej zamknęliby hochsztaplerów do końca życia i na wszelki wypadek dołożyli im jeszcze kilkaset lat.

– To możliwe – odpowiedział ostrożnie. – A nawet dość prawdopodobne. Ale nie tym powinnaś się martwić.

– Nie? A czym?

– Musimy spotkać się rano. A na razie powinnaś zacząć myśleć o praktycznych aspektach tej sytuacji.

– Czyli?

– Bardzo ważne i bardzo korzystne dla ciebie jest to, że nikt nawet nie sugeruje, że miałaś z tym jakiś związek.

– Bo nie miałam. – Simpson podniosła kieliszek i tym razem wypila połowę jego zawartości.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się pospiesznie prawnik. – Ale wiesz, jak to wygląda w talach sytuacjach.

Simpson opróżniła kieliszek. Miała ochotę rzucić nim o ścianę, zdołała jednak oprzeć się pokusie.

– Nie, nie wiem – warknęła, porzucając próby zachowania spokoju i racjonalnego podejścia do sprawy.

– Cóż... – zaczął Lucas, sięgając do coraz głębszych pokładów zrozumienia i cierpliwości – jako jego żona zawsze będziesz obiektem plotek i spekulacji. Ale śledztwo cię nie dotyczy, na razie nie ma też żadnego... bezpośredniego zagrożenia dla twojej pracy. Musisz jednak zastanowić się nad różnymi aspektami twoich relacji z mężem, a w szczególności nad podziałem majątku.

Simpson, która przez cały dzień czuła się nieobecna i otepiała, teraz drgnęła, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– Chcesz powiedzieć, że powinnam się z nim rozwieść?

– Wcale nie – odpowiedział Lucas spokojnie. – Nie jest moją rolą udzielanie takich rad. Poza tym teoretycznie jestem prawnikiem Joshuy, a nie twoim. Wcześniej czy później powinnaś sobie znaleźć własnego przedstawiciela. Na razie jednak łączy was istotna wspólnota interesów.

– Na razie?

Lucas zgrzytnął zębami. Coraz bardziej irytowała go maniera Simpson powtarzania jego słów. Opanował się jednak po raz kolejny.

– Załóżmy, że władze będą chciały odzyskać jak najwięcej aktywów Joshuy. Będziesz musiała udowodnić, iż żadna z rzeczy, które zechcesz zatrzymać, nie została pozyskana w wyniku jego oszustw.

– Chryste! – jęknęła Simpson, sięgając po butelkę wina i napełniając kieliszek.

– Proszę zatrzymać się tutaj – powiedział Lucas do taksówkarza. Nim wysiadł, rzucił jeszcze do Simpson: – Pamiętaj, Carole, że masz bardzo udaną karierę, odnosisz sukcesy. Co więcej, całe dorosłe życie poświęciłaś służbie publicznej. Bez trudu powinnaś udowodnić, że na przestrzeni tych lat zgromadziłaś własny majątek. Przygotuj dziś listę, a jutro porozmawiamy o tym w moim biurze.

– Dobrze.

– Powiedzmy o jedenastej?

– Zgoda.

– No to jesteśmy umówieni. Do jutra. – Lucas się rozłączył.

Simpson rzuciła telefon na stół. Przez kilka minut siedziała w milczeniu, odtwarzając w myślach rozmowę. W końcu wyjęła z torebki kartkę i długopis i zaczęła spisywać długą listę liczb.

Carlyle położył na stole biografię menedżera piłkarskiego Briana Clougha i spojrzał na Helen, która siedziała na drugim końcu sofy. Ogarnęło go nagle poczucie déjà vu. Jego żona wciąż oglądała z zapartym tchem program pokazujący celebrytów w dżungli, który ciągnął się już chyba od kilku miesięcy. Inspektor stwierdził ze zdumieniem, że były komendant policji metropolitalnej, Luke Osgood, nadal bierze w nim udział i wciąż ma szanse na wygraną. Osgood dotarł do ścisłego finału, a oprócz niego w programie zostało tylko dwoje uczestników, striptizerka Tizzy McDee i pozbawiony wyrazu aktor z jakiejś telenoweli, Kevin. Carlyle starał się nie zerkać zbyt często na ekran, szczególnie gdy pojawiał się na nim Osgood, ale widok nadmuchanej Tizzy w bikini, które byłoby za małe nawet na Alice, przyciągał jego wzrok jak magnes.

Na szczęście nadszedł czas na przerwę reklamową. Helen wyjęła spod poduszki pilota i wyłączyła dźwięk.

– Osgood do tej pory nieźle sobie radził – powiedziała. – Ale nie wygra.

– Więc zostanie striptizerka i aktor? – zainteresował się Carlyle wbrew sobie.

– Tak – odparła jego żona z powagą godną dyskusji o wyborach powszechnych. – Ale aktor ma większe szanse. Kiedy Osgood odejdzie, zbierze głosy gospodyń domowych i gejów. Nie ma u nas aż tylu nastolatków gotowych głosować na Tizzy, żeby mogła się z nim równać.

– I tak pewnie mają już ręce pełne roboty – pozwolił sobie zażartować Carlyle.

Helen obdarzyła go surowym spojrzeniem.

– Zostawmy na chwilę wydarzenia w dżungli. Mam dla ciebie wiadomości.

– Tak? – spytał ostrożnie, spodziewając się czegoś w rodzaju prośby o pieniądze albo zapowiedzi rychłej wizyty teściowej.

- O Agacie Mills – sprecyzowała Helen, sadowiać się wygodniej na sofie i podciągając kolana pod brodę.

- I co z nią?

- Cóż... Agatha i Sandra Groves się znały.

Carlyle ziewnął.

- Już mi to mówiłaś.

Helen zignorowała tę uwagę.

- Obie brały udział w kampanii Córek Dyzmy przeciwko handlowi bronią. Szczególnie interesowała ich brytyjska pomoc wojskowa dla Chile. Wygląda na to, że wykorzystywano ją do finansowania najemników w Iraku.

Carlyle słuchał z coraz większą uwagą.

- Skąd masz te informacje? Od tej samej kobiety, do której dzwoniłaś, gdy byliśmy w restauracji?

- Tak. – Helena zerknęła na telewizor, by się upewnić, że nadal lecą reklamy, i że nie przegapi dalszego ciągu swojego ulubionego programu. – Rozmawiałam z Clarą dziś rano, skontaktowała mnie z dwójką swoich znajomych. Mówili, że Mills i Groves były bardzo zaangażowane w ten projekt.

- Tylko one?

- Nie wiem.

- Więc lepiej poproś przyjaciółkę, żeby to sprawdziła. Obie zostały zamordowane, co znaczy, że ich koleżankom też może coś grozić. Muszą się jak najszybciej ze mną skontaktować.

- Przekażę jej to – odparła chłodno Helen. Wzięła jakieś dokumenty leżące na podłodze. – Celem ich ataków była firma o nazwie LAHC.

- To jakiś sierót? Co oznacza?

Helen zerknęła na tekst.

- Nie wiem. Podobno wykorzystywała sprzęt i ludzi opłacanych przez Brytyjczyków jako tak zwanych prywatnych ochroniarzy. Niektórzy z nich zostali oskarżeni o pogwałcenie praw człowieka.

- Mnie też oskarżają o gwałcenie talach praw – prychnął Carlyle. – I to dość często.

- Ale na pewno nikt nie zarzuca ci morderstwa – odparowała Helen.

- To naprawdę poważna sprawa.

- Ja tylko...

Nim zdążył dokończyć zdanie, rzuciła mu dokumenty na kolana i włączyła dźwięk w telewizorze.

Wydawało się, że w trakcie przerwy na reklamy bikini striptizerki jeszcze się skurczyło, a sutki wyraźnie urosły. Heroicznym wysiłkiem woli Carlyle zdołał oderwać wzrok od ekranu i spojrzeć na dokumenty, które dała mu żona. Większość z nich była po hiszpańsku, ale znalazł się tam również wycinek z prasy dotyczący Córek Dyzmy zatytułowany Czas powstrzymać irackich najemników. Zerkając jednym okiem na cycki striptizerki, Carlyle przeglądał tekst: Firmy werbujące najemników wysyłają byłych żołnierzy do Iraku... gwałcone prawa człowieka... bezprawne wykorzystanie brytyjskiej broni... napaści... morderstwa. Po krótkiej pauzie czytał dalej: Prywatne amerykańskie firmy ochroniarskie, które zatrudniają na prośbę rządu USA strażników strzegących obiektów i transportów wojskowych w strefach zbrojnych konfliktów, często zlecają to zadanie podwykonawcom z Ameryki Południowej, takim jak firma LAHC Consulting. Właścicielem LAHC jest Gomez Goń, emerytowany admirał chilijskiej marynarki wojennej, który odgrywał kluczową rolę w obaleniu demokratycznie wybranego rządu Chile w 1977 roku.

Gomez Gori? No proszę. Jednak w tym właśnie momencie Tizzy McDee weszła pod prysznic. Jej bikini zrobiło się przezroczyste, a Carlyle zapomniał, czym właściwie powinien się zajmować.

Dopiero po kilku minutach udało mu się wrócić do lektury. Jedynym angielskim tekstem oprócz tego, który zdążył już przeczytać, był wycinek z angielskiej gazety wydanej rok wcześniej.

IRAK: CHILIJSCY NAJEMNICY NA LINII OGNIA Daniel Franklin

SANTIAGO, 9 marca. Stu pięćdziesięciu byłych członków chilijskiej armii, którzy pracują w Iraku jako strażnicy i ochroniarze, stało się celem ataku tamtejszego ruchu oporu, czego dowodzą makabryczne zabójstwa trzech ochroniarzy dokonane w zeszłym tygodniu.

Byli chilijscy komandosi pracują podobno dla CIA. Zatrudniają ich prywatne firmy wojskowe korzystające z lukratywnych kontraktów, mające pomagać w stabilizacji i odbudowie Iraku, a finansowanych przez Stany Zjednoczone. Otrzymują około czterech miliardów dolarów miesięcznie.

W listopadzie zeszłego roku w chilijskiej gazecie „El Mercurio” ukazało się dyskretne ogłoszenie zachęcające byłych komandosów, którzy znają angielski, do pracy w służbach ochroniarskich za granicą za kuszącą stawkę 58 tysięcy dolarów za półroczny kontrakt.

Ogłoszenie zamieszczone przez LAHC wzbudziło zainteresowanie co najmniej 844 żołnierzy piechoty morskiej i czarnych beretów, chilijskich sił specjalnych, którzy w ostatnich latach przeszli w stan spoczynku.

Spośród ochotników wybrano 844 osób, które przeszły szkolenie wojskowe w San Bernardo, na południe od Santiago. Wywołało to ostrą reakcję Ministerstwa Obrony, które wszczęło śledztwo dotyczące naruszenia chilijskiego prawa w zakresie kontroli uzbrojenia.

Ostatecznie firma LAHC zatrudniła 594 mężczyzn, którzy przeszli kolejne szkolenie w Stanach Zjednoczonych, po czym zostali wysłani do Kuwejtu, a stamtąd do Iraku.

Amerykańskie media donoszą, że Stany Zjednoczone zatrudniły jako najemników emerytowanych członków chilijskiej armii, którzy służyli pod rozkazami byłego dyktatora Augusta Pinocheta (5977-5994), a także popleczników apartheidu w RPA.

Prywatne firmy wojskowe rozwijają się na całym świecie głównie dzięki lokalnym wojnom, które dają szansę zatrudnienia byłym wojskowym będącym obecnie bez pracy, głównie z Europy Wschodniej. Stu pięćdziesięciu Chilijczyków stacjonujących obecnie w Iraku to także żołnierze, którzy musieli odejść z aktywnej służby ze względu na modernizację armii. Obecni szefowie sił zbrojnych dokonali dyskretnej, lecz skutecznej czystki, zmuszając do przejścia w stan spoczynku oficerów i podoficerów, którzy odgrywali znaczącą rolę w represjach z czasów Pinocheta. Zginęło wówczas lub „zniknęło” około 7444 ludzi.

Nad artykułem znajdowało się zdjęcie trzech żołnierzy stojących przed poobijanym jeepem. Wyglądało na to, że są gdzieś na pustyni, choć pod zdjęciem nie było podpisu. Każdy z nich uśmiechał się szeroko i trzymał w rękach karabiny, które wyglądały jak wzięte z filmu Terminator.

Carlyle uważnie przyjrzał się zdjęciu. Żaden z mężczyzn z pewnością nie był Matiasem Goriem, ale każdy z nich nosił małą plaketkę. Jakość fotografii nie była najlepsza, ale inspektor miał

wrażenie, że dostrzega na plakietkach motyw sztyletu podobny do tego, jaki zauważył w klapie Matiasa Goriego na cmentarzu.

– A nie mówiłam! – Helen podniosła rękę w triumfalnym geście.

– Co?

– Odpadł. – Wskazała telewizor.

Carlyle spojrział na ekran. W tle widać było fajerwerki, a na pierwszym planie Luke'a Osgooda, który został wykluczony z programu i opuszczał właśnie obóz w dżungli.

– Mówiłam ci, że nie wygra. – Helen uśmiechnęła się szeroko i dźgnęła go lekko stopą. – Może zrobisz mi herbatę?

Kiedy Carlyle wrócił po chwili z kubkiem miętowej herbaty, głupawy program o celebrytach już się skończył, ustępując miejsca wieczornym wiadomościom. Carlyle zerknął na końcówkę relacji o trzęsieniu ziemi na Filipinach czy gdzieś tam i już miał iść do łóżka, gdy na ekranie pojawiła się twarz Rosanny Snowden.

Klapnął na sofę obok żony, podczas gdy prezenter czytał z powagą:

„Simon Lovell, mężczyzna oskarżony o zamordowanie dziennikarki telewizyjnej Rosanny Snowden, został dziś uwolniony po wstępnym przesłuchaniu, podczas którego sędzia uznał, że podejrzany składał wcześniej zeznania pod przymusem”.

Na ekranie pojawiła się prawniczka Lovella, Abigail Slater.

„Mój klient bardzo się cieszy z decyzji sądu, mówiła. Policja nie ma żadnych dowodów przeciw panu Lovellowi prócz wymuszonych zeznań, których nie uznałby żaden sąd. Pan Lovell marzy tylko o tym, by wrócić do swojego spokojnego, normalnego życia”.

– Marne szanse – mruknął Carlyle.

– Co to oznacza dla śledztwa w sprawie Rosanny? – zainteresowała się Helen.

– Niechlubny koniec. Nie mają nic innego. Lovell to ich jedyny podejrzany.

– Więc dlaczego uczepili się tego biedaka?

– Nie uczepili się go – odparł Carlyle cierpko, nie wiadomo dlaczego postanawiając grać rolę adwokata diabła. – Przyznał się. Co mieli zrobić?

– Myślisz, że ją zabił?

– Nie mam pojęcia.

– Znajdą zabójcę?

Carlyle zebrał się w końcu w sobie, wstał z sofy i ruszył do sypialni.
– Nie stawiałbym na to. – Ziewnął.
– Biedna kobieta – powiedziała Helen. – Zaslugiwała na lepszy los.
– Tak – zgodził się z nią inspektor. – To prawda.

– Jest tutaj twój martwy przyjaciel.

Carlyle jadł właśnie lunch w Il Buffone, kiedy zadzwonił do niego David Prentice, który wrócił na swoje ulubione miejsce w recepcji komisariatu Charing Cross.

– Nie musisz się spieszyć – uspokoił go Prentice. – Wygląda na to, że zamierza spędzić tu noc. Jeśli się nie zesra, dam mu spokój.

– Dzięki, Dave. Będę za jakieś dziesięć minut.

Inspektor pochylił się nad poranną gazetą i wrócił do lektury artykułu zatytułowanego Policyjny skandal transseksualny. Chodziło o finansowanie z publicznych pieniędzy Krajowego Stowarzyszenia Policjantów Transseksualnych, które pomagało policjantom z „problemami tożsamości płci”. Carlyle nigdy nie słyszał o tej organizacji. Jakiś parlamentarzysta, o którym też nigdy nie słyszał, narzekał: Nie obchodzi mnie, czy policjant jest gejem, heteroseksualistą, transseksualistą czy kim tam jeszcze chce. Chcę tylko, by policja łapała przestępców.

– Powodzenia. – Inspektor zachichotał pod nosem, po czym oddał gazetę Marcellowi i zapłacił za lunch.

Było piękne słoneczne popołudnie, więc Carlyle wrócił do pracy niespiesznym krokiem. Gdy mijał Jubilee Hall, ogarnęły go wyrzuty sumienia: już od prawie tygodnia nie był na siłowni, co w jego wieku nie powinno się zdarzyć. W miejscu, gdzie do niedawna urzędował Dennis Felix, jakiś uliczny grajek wykonywał okropny cover piosenki Fernando ABBY. Inspektor zastanawiał się przez moment, co się stało z biednym bębniarzem i jego bongosami. W pobliskiej furgonetce z jedzeniem jakiś chłopak podawał właśnie dziecku lody. Carlyle już od jakiegoś czasu nie widywał tu Kylie, jedynej osoby na całej planecie, która wydawała się poruszona śmiercią Dennisa. To takie miejsce, pomyślał. Ludzie przychodzą i odchodzą.

Kiedy dotarł do komisariatu, Walter Poonoosamy alias Pies leżał w kącie poczekalni i głośno chrapał. Wystrojony w kraciaste spodnie i

prawie nową koszulkę z Prodigy (ukradzioną zapewne ze sklepu z używaną odzieżą przy Drury Lane), czule tulił do siebie prawie pustą butelkę wódki. Przynajmniej nie śmierdział, choć nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że pachnie. Utrzymując odpowiedni dystans, Carlyle lekko go dźgnał. Pies powoli otworzył oczy. Podniósł się nieco i spojrzał na inspektora. Wydawało się, że go rozpoznaje, jednak po chwili zamknął oczy i zaczął chrapać jeszcze głośniejszym głosem niż przed chwilą.

Carlyle uderzył go w ramię.

– Au! – Pies natychmiast usiadł prosto, masując obolałą rękę. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Pobudka. – Inspektor pomachał ręką przed twarzą pijaka, upewniając się, że ten go widzi. – Napijesz się herbaty?

Na twarzy Psa pojawił się grymas przypominający uśmiech.

– Pewnie.

Carlyle przykucnął, wygrzebał z kieszeni spodni kilka monet i pokazał je Psu. Było tego nawet więcej niż trzeba na kubek herbaty. Co więcej, mogło nawet wystarczyć na puszkę piwa w kiosku za rogiem, jeśli tylko właściciel zgodziłby się odrobinę potargować.

– Najpierw się czemuś przyjrzyj, a potem dam ci pieniądze.

Pies wydał odgłos, który inspektor postanowił uznać za wyraz zgody. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął złożoną na cztery kartkę formatu A4. Widniało na niej dość stare i ziarniste zdjęcie Matiasa Goriego, które przesłał mu e-mailem Orb. Najważniejsza jednak była nie tyle jakość zdjęcia, ile to, że Gori miał na nim brodę.

– Czy to tego człowieka widziałeś na tyłach Ridgemount Mansions? – spytał. – To on dał ci ten podejrzany banknot?

Pies przez kilka sekund patrzył na zdjęcie szklistym wzrokiem, przekonany, że tak właśnie powinien wyglądać człowiek, który intensywnie o czymś myśli.

– Czy to ten mężczyzna dał ci banknot tysiąc peso?

Udawana koncentracja ustąpiła miejsca autentycznej konsternacji.

– Co?

– Czy to ten facet dał ci pieniądze, za które nie mogłeś nic kupić?

Na twarzy Psa pojawił się w końcu cień zrozumienia.

– Może.

Rusząc mózgowicą, pomyślał z irytacją Carlyle. Pomyśl trochę, moczymordo, choć ten jeden raz. Próbował wręczyć kloszardowi

zdjęcie, ale ten nie chciał go wziąć.

– Walterze...

– Przepraszam. – Za jego plecami rozległ kobiecy głos, nieśmiały i uprzejmy. – Inspektor Carlyle?

Policjant nie podniósł nawet wzroku.

– Chwileczkę – burknął niegrzecznie, wciąż machając zdjęciem przed nosem Psa.

Głos nieco się zbliżył.

– Podobno chciał się pan ze mną zobaczyć. – Tym razem, zapewne ze względu na jego gburowatość, nie był już taki nieśmiały.

– Za chwileczkę – powtórzył.

Kobieca dłoń wyjęła zdjęcie z ręki inspektora.

– Ja znam tego człowieka.

Starając się zapanować nad złością, Carlyle wstał i zobaczył przed sobą zmęczoną, rudowłosą kobietę po trzydziestce.

– Tak?

Kobieta była co najmniej o kilka kilogramów za chuda, miała na sobie białą bluzkę i granatową spódnicę do kolan.

– Jestem Monica Hartson.

Carlyle uniósł tylko brwi.

– Córkę Dyzmy – dodała. – Jestem przyjaciółką Agathy Mills i Sandry Groves.

– Ach tak...

Oddała mu zdjęcie.

– Jedną z osób, które próbują postawić Matiasa Goriego przed sądem.

– Hm... – Carlyle podał Psu dwie monety funtowe. – Skąd zna pani moje nazwisko?

– Po incydencie w autobusie jest pan dobrze znany w naszej grupie.

Nareszcie sławny, pomyślał inspektor.

– Dotarła do mnie wiadomość, że powinnam z panem porozmawiać.

– Dziękuję, że pani przyszła. – Carlyle cofnął się o krok i obserwował, jak kłozard wstaje powoli z ławki i rusza, powłócząc nogami, w stronę wyjścia. – Nieźle, jak na umarlaka – mruknął.

– Słucham? – Hartson spojrzała na niego zdumiona.

- Nie, nie, nic - odparł szybko inspektor. - Dziękuję, że pani przyszła. Chodźmy porozmawiać na górę.

Choć raz klimatyzacja działała. W sali konferencyjnej na czwartym piętrze było dość chłodno, a więc tak jak Carlyle lubił. Hartson podziękowała za kawę, ale wyjęła z torebki butelkę wody i upiła łyk.

Inspektor bawił się kubkiem z espresso, ale na razie nie pił.

- No dobrze - zaczął swobodnym tonem - proszę opowiedzieć mi swoją historię.

Zastanawiała się nad tym przez moment, a potem spojrzała na niego skonsternowana.

- Od czego mam zacząć?

- Skąd pani zna Matiasa Goriego?

- Nie znam go - odparła ostrożnie. - Ale sporo o nim wiem.

Cudownie, jęknął w duchu Carlyle. Pedantka i fanatyczka religijna, tego mi tylko brakowało.

- W porządku, więc dlaczego się pani nim interesuje?

Znów zastanawiała się, od czego zacząć. Zwykle to oznacza, że ktoś zamierza cię okłamać, pomyślał Carlyle. Był jednak pewny, że w tym przypadku Monica Hartson chce być po prostu precyzyjna.

- Prowadzimy kampanię...

- Córki Dyzmy?

- Tak. Prowadzimy kampanię przeciwko korzystaniu z najemników w takich krajach jak Irak. - Pogrzebała w torebce, wyjęła kilka ulotek i pchnęła je przez stół w stronę Carlyle'a.

Inspektor zerknął na nie szybko.

- Proszę mi o tym opowiedzieć swoimi słowami.

- No więc mamy taką kampanię... Koncentrujemy się szczególnie na najemnikach opłacanych z pieniędzy brytyjskich podatników.

- LA... coś tam...

- LAHC, tak. - Wydawało się, że nieco się rozluźniła, podniesiona na duchu świadomością, że policjant coś jednak wie o tej sprawie. - To inicjały Luisa Alberta Hurtada Cruchagi. Ojciec Hurtado był jezuitą, kilka lat temu papież go kanonizował.

- Więc ci ludzie mają związek z religią, jak wy? - Carlyle nie mógł oprzeć się pokusie i postanowił nieco podroczyć się z Hartson.

- Nie - odparła spokojnie. - LAHC nie ma nic wspólnego z Kościołem ani reformami społecznymi. Firma została zarejestrowana w Ameryce, ale należy do grupy bogatych Chilijczyków powiązanych z wojskiem. Zatrudniają byłych komandosów i żołnierzy oddziałów specjalnych i opłacają ich z brytyjskich pieniędzy.

- I tak właśnie trafiła pani na Goriego?

- Tak. Gori był żołnierzem chilijskich sił specjalnych, trzynastej grupy komandosów nazywanych Skorpionami. Jego wujek jest założycielem LAHC. Po zakończeniu służby w oddziale Skorpionów Matias został... - Hartson podniosła ręce, pokazując cudzysłów - „dyplomata”. Ale ma bardzo bliskie związki z najemnikami. Z niektórymi służył nawet w wojsku. - Spojrzała na Carlyle’a, a ten pokazał jej, by mówiła dalej. - Jeździł nawet z nimi na misje. Jedną z takich wypraw, do miasta Ishaqi, położonego na północ od Bagdadu, skończyła się masakrą ponad pięćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci. Jak twierdzą świadkowie, Matias Gori zabił kilkanaście osób. Kiedy dowiedziałyśmy się, że pracuje w Londynie, próbowałyśmy doprowadzić do jego aresztowania, by mógł stanąć przed sądem tutaj, a może w Iraku albo przed Trybunałem do spraw Zbrodni Wojennych w Hadze.

Carlyle upił łyk espresso.

- I?

Hartson wydawała się zirytowana.

- Nasi prawnicy mówią, że potrzebujemy więcej dowodów. Dlatego próbowałyśmy skontaktować się z nim bezpośrednio.

Jasne, pomyślał Carlyle, kółko różańcowe idzie na wojnę z Rambo. Doskonały pomysł.

- Na początku miesiąca zorganizowałyśmy demonstrację. Przeszłyśmy do ambasady i złożyłyśmy petycję u ambasadora. Chcemy, żeby Gori został wydany policji i przesłuchany.

- I co powiedział ambasador?

- Nadal czekamy na odpowiedź.

- A teraz dwie z was nie żyją.

Hartson spojrzała na niego zdumiona.

Cholera, zaklął w duchu Carlyle, wiedział jednak, że już za późno na odwrót.

- Agatha i Sandra zostały zamordowane, nie wiedziała pani o tym?

W oczach zaszokowanej kobiety błysnęły łzy. Carlyle nie próbował jej pocieszać, czekał jednak cierpliwie, aż ochłonie, po czym opowiedział jej w skrócie o ostatnich wydarzeniach.

Nim skończył, Hartson doszła już do siebie.

– Wyjechałam na jakiś czas – wyjaśniła. – Wróciłam do Londynu dopiero wczoraj.

Carlyle pomyślał, że być może dzięki temu uszła z życiem.

– Myśli pan, że Gori je zabił? – spytała drżącym głosem.

– Może. Tak przypuszczam.

Monica przyjrzała się uważnie Carlyle'owi.

– Może pan to udowodnić?

Uśmiechnął się ponuro.

– To nie jest właściwe pytanie.

– A jak brzmi to właściwe?

– Czy będę musiał.

– Chyba nie rozumiem.

– To dobrze.

– Będzie próbował mnie zabić?

– Może. – Tak.

Przeciągnęła dłonią po włosach i wzdrygnęła się.

– Będę bezpieczna?

– Tak. – Może.

– Ochroni mnie pan?

Nie obiecuj czegoś, czego nie możesz jej dać, upomniał się w duchu.

– Powstrzymam go.

– Co powinnam zrobić?

– Ma pani jakieś miejsce, w którym mogłaby się pani zatrzymać na jakiś czas? – spytał. – Gdzieś na uboczu, najlepiej poza Londynem.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Mam przyjaciół w Glasgow.

– Dobrze, więc zrobimy to tak. – Carlyle wprowadził jej numer do prywatnej komórki, a potem zapisał dane ludzi, u których miała zamieszkać. – Będę do pani dzwonił raz dziennie. Jeśli pani nie odbierze, zostawię wiadomość na poczcie głosowej.

W milczeniu przeszli do windy. Na dole, przy recepcji, Carlyle jeszcze raz uściskał jej dłoń.

– Dziękuję, że pani przyszła.

Monica Hartson uśmiechnęła się do niego blado.

– Sama nie wiem, czy po tej rozmowie czuję się lepiej, czy gorzej.

– Proszę się nie martwić. Sprawa jest już bliska zakończenia. Mamy Goriego na celowniku. To kwestia kilku dni. Wyjazd za miasto to tylko dodatkowy środek ostrożności.

– Mam nadzieję.

– Zastanawiałem się jednak nad jedną rzeczą...

– Tak?

– Dlaczego pani to wszystko robi? Dlaczego zaprzęta pani sobie głowę kimś takim jak Gori?

Hartson patrzyła na niego przez chwilę, jakby się zastanawiała, czy opowiedzieć mu całą historię.

– Byłam tam – powiedziała w końcu. – Widziałam, co zrobił.

– Co?

– Przyjechaliśmy do Ishaqi nazajutrz po tym, jak był tam Gori i jego towarzysze – mówiła cicho. – Urządziłam biuro Czerwonego Krzyża pod prowizorycznym daszkiem, obok jednego z domów, które nie zostały doszczętnie spalone. Widziałam, jak jakiś mężczyzna w czarnym turbanie trzyma jutowy worek ze szczątkami swojego syna. – Przerwała na moment i przełknęła głośno. – Tylko że to nie były zwłoki, ale resztki pozbierane z różnych miejsc. Starszyzna oddała już wszystkie ciała, nawet kończyny, żałobnikom, którzy przybyli tam pierwsi. Identyfikacja zwłok była praktycznie niemożliwa. Jedyne, co mogli zrobić, to oddać każdej rodzinie jakieś szczątki.

– Jezu...

– Zanim dotarł tam ten mężczyzna, zostało tylko lalka kawałków. Ale musiał coś zabrać do domu. Po prostu pozbierał, co zostało, i schował do worka. – Monica zamknęła oczy i stłumiła szloch. – Pojechał do domu i powiedział żonie, że to ich syn, żeby rodzina mogła coś pochować i gdzieś się pomodlić.

Carlyle wymamrotał coś, co miało zabrzmieć jak wyrazy współczucia.

– Potem nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do kraju.

– Rozumiem.

Była zbyt uprzejma, by mu zaprzeczyć.

– Ale... – zaczął inspektor – było już mnóstwo takich morderstw i z pewnością będzie ich więcej. Nawet jeśli w końcu dopadnie pani

Goriego, jeśli postawi go pani przed sądem, to czy uzna pani, że było warto?

– Tak.

– Pomimo śmierci pani przyjaciółek?

– Rzecz w tym, że one nie powinny były zginąć. Tak jak nie powinni byli zginąć ci biedni ludzie w Ishaqi. – Spojrzała na niego z siłą i determinacją, której wcześniej nie okazywała. – Gdyby to był porządny kraj, już dawno ktoś zainteresowałby się Gorim. Gdyby policja wykonywała należycie swoje obowiązki, nie musiałybyśmy się angażować.

Czekała na odpowiedź, ale Carlyle milczał.

– Ale nikt nie chciał o tym wiedzieć – mówiła. – Więc postanowiliśmy podjąć walkę. Chciałyśmy tylko doprowadzić przed sąd jednego człowieka, jednego mordercę. Myślałyśmy, że to możliwe, że choć raz przyzwoitość zwycięży. Ma pan rację, wielu ludzi nie ponosi żadnej kary za okropne czyny, ale to nie powód, żeby się poddawać. Gdyby każdy podzielał pana punkt widzenia, inspektorze, świat byłby jeszcze gorszy, niż jest teraz.

– Nie mówiłem wcale, że to mój punkt... – próbował się bronić Carlyle, ale było już za późno. Hartson zarzuciła torbę na ramię, przeszła między ludźmi stojącymi w poczekalni i nim inspektor zdążył dokończyć wypowiedź, była już przy drzwiach.

Kiedy Hartson wyszła, Carlyle przemyślał jeszcze raz wszystko, co wiedzą o sprawie. Prawdopodobnie nie było tego wystarczająco dużo, by zapewnić kobiecie policyjną ochronę, i z pewnością za mało, by aresztować Goriego. Ale teraz przynajmniej może przekonać Simpson, żeby pozwoliła mu doprowadzić śledztwo do końca. Przynajmniej taką miał nadzieję. Jej mąż ma kłopoty, ale ona pracuje normalnie. Zadzwoił do jej biura i zostawił wiadomość u sekretarki, która obiecała, że postara się jak najszybciej skontaktować z Simpsonem.

Carlyle zakończył rozmowę i się rozejrzał. Co ma teraz zrobić? Podrapał się po głowie i w końcu podjął decyzję: przełamie wreszcie kilkudniową niemoc i wybierze się na siłownię.

Matias Gori stał w cieniu dawno zamkniętej siedziby Wysokiej Komisji Zimbabwe, pod plakatem reklamującym wycieczki do Wodospadów Wiktorii, i obserwował Monicę Hartson, która wyszła właśnie z komisariatu Charing Cross i ruszyła w stronę Strandu. Zbliżała się godzina szczytu i na ulicach panował coraz większy ruch, Gori mógł więc bez trudu śledzić kobietę, nie obawiając się, że zostanie zdemaskowany.

Hartson przeszła przez Strand, wzięła bezpłatną gazetę i zniknęła w gmachu dworca Charing Cross. Gori nie spuszczał jej z oka, widział więc, jak kupuje kawę, a potem schodzi na stację metra. Uświadomiwszy sobie, że nie ma biletu, zjechał za nią ruchomymi schodami i pobiegł do najbliższego automatu. Wygrzebał z kieszeni garść drobniaków, przepchał się przed grupę chińskich turystów i kupił bilet. Pokonał szybko bramkę i zobaczył, jak Hartson zjeżdża kolejnymi schodami, zmierzając do Linii Północnej. Na dole skręciła w prawo i stanęła na peronie. Gori powoli policzył do pięciu i poszedł za nią.

Na peronie czekało sporo zmęczonych, spoconych i sfrustrowanych pasażerów. Spikerka przeproszała za utrudnienia w ruchu spowodowane problemami z sygnalizacją, a na elektronicznej tablicy pojawiła się informacja, że najbliższy pociąg przyjedzie za cztery minuty. Gori szedł powoli wzdłuż torów, unikając kontaktu wzrokowego z innymi pasażerami. Pokonał mniej więcej trzy czwarte długości peronu, nim w końcu ją zobaczył. Stała tuż za żółtą linią, popijała kawę i patrzyła na plakat reklamujący errazuriz chardonnay. Do przyjazdu pociągu zostały dwie minuty. Spikerka podała informację o planowanych robotach konserwacyjnych na Circle Line. Starając się nie wchodzić w pole widzenia Hartson, mężczyzna przeszedł na koniec peronu i stanął za dwiema kobietami, które przeglądały z uwagą przewodnik po Londynie.

Pociąg miał lada moment wjechać na peron. Gori ruszył powoli w przeciwną stronę i zatrzymał się jakieś pół metra za Hartson, a potem przesunął nieco na lewo. Słyszał już, jak zbliża się do stacji, a potem poczuł podmuch powietrza i głośny zgrzyt, gdy pociąg wynurzył się z tunelu. Kiedy Hartson podniosła wzrok, Gori zrobił krok do przodu. Pociąg był już w połowie peronu, pasażerowie na stacji widzieli, jak maszynista ziewa w kabinie. Chilijczyk ruszył nagle w stronę wyjścia, pochylając głowę. Gdy przechodził obok Hartson, pchnął ją mocno do przodu, nie zwalniając ani na moment kroku. Kobieta odruchowo przekroczyła żółtą linię i nie zdążywszy wydać żadnego dźwięku, runęła w dół, prosto pod koła pociągu.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że żaden z pasażerów czekających na peronie niczego nie zauważył. Gori miał wrażenie, że doszedł go zapach przypalanego mięsa, jakby mijał budkę z kebabem, szybko jednak odepchnął od siebie tę myśl. Z pewnością był to tylko wytwór jego wyobraźni.

Pociąg dojechał do końca peronu i się zatrzymał. Maszynista otworzył drzwi, a z wnętrza dobiegł znajomy komunikat: „Proszę najpierw przepuścić wysiadających!”. Gori zrobił znudzoną minę i pozwolił, by porwał go strumień pasażerów zmierzających do wyjścia. Z tyłu dobiegł go dźwięk alarmu, ale londyńczycy, przyzwyczajeni do talach sygnałów, wcale się tym nie przejęli. Na peronie pojawiło się dwóch pracowników metra w jaskrawych kamizelkach, z walkie-talkie przypiętymi do pasa. Gori obserwował, jak przepychają się przez tłum w stronę maszynisty.

Pięć minut później opuścił wreszcie peron i przeszedł do tunelu łączącego linię podziemnej kolejki. W końcu tłum się przerzedził i mógł iść normalnym tempem. Przy ruchomych schodach przyjrzał się schematowi sieci metra i wybrał stację docelową. Tak się szczęśliwie złożyło, że dotarł do Linii Balcerloo w momencie, gdy na stację wjeżdżał pociąg do Willesden Junction.

Zaledwie dziesięć minut później Matias wysiadł na stacji Edgware Road. Słońce wciąż prażyło, chciało mu się pić. Skręcił w prawo, na północ. Wszedł do pierwszego napotkanego pubu i zamówił butelkę piwa Heineken Export. Wypił połowę jednym haustem. Smakowało cudownie.

Kurwa, kto teraz jeszcze gra w lotki? – pomyślał Dominic Silver. Stał przy barze w pubie Endurance i obserwował, jak Michael Hagger rzuca najpierw trzema lotkami w różne części tarczy, a potem spija pianę z podróbki niemieckiego piwa. Oprócz drugiego gracza, rywala Haggera, w pubie przebywało jeszcze siedmiu innych mężczyzn i barman. Byli to dokładnie tacy ludzie, jacy najczęściej przesiadują w barach w dni robocze: obiboki i wyrzutki różnego sortu. Każdy z nich pilnował swojego interesu, a żaden nie wyglądał na takiego, który mógłby sprawiać problemy.

Michael Hagger pozostawał w ukryciu dłużej, niż ktokolwiek by się po nim tego spodziewał, w końcu jednak wrócił do starych nawyków i pojawił się w miejscu, gdzie w rekordowo krótkim czasie mógł narobić sobie rekordowo dużych kłopotów. Pub Endurance mieścił się przy Berwick Street, obok targu owocowo-warzywnego. Cieszył się popularnością wśród pracowników mediów, straganiarzy i dziwek z burdeli po drugiej stronie ulicy. Był to jeden z ulubionych lokali Haggera, więc Silver, który wciąż na niego polował, kazał regularnie sprawdzać to miejsce. Gdy Hagger się tam pojawił i rozsiadł na dłuższą sesję, Dominic wiedział o tym w ciągu godziny. Niecałe czterdzieści minut później jego „asystent”, były komandos Gideon Spanner, zaparkował range rovera przed pubem, po czym obaj weszli do środka.

Dominic upił łyk różowego wina i skrzywił się z niesmakiem. Napój w niczym, oprócz koloru, nie przypominał etienne de loury sancerre, które miał w domu. Pożałował, że nie zdecydował się jednak na wodę mineralną.

– Przyrowadź go tutaj – rzucił do Gideona.

– Jasne.

Dominic westchnął w duchu, obserwując szok i rezygnację malujące się na twarzy Haggera, gdy Gideon postukał go w ramię. A czegoż ten idiota się spodziewał? Drugi gracz w mig zorientował się w sytuacji, odłożył szybko lotki i wyszedł z piwem na zewnątrz.

– Dominic chciałby z tobą pogadać – powiedział Gideon, wskazując bar.

Hagger się rozejrzał. Podniósł kufel, pozdrawiając obu mężczyzn, i upił łyk. Potem odstawił go na stół i pochylił się do Spannera.

– Odpierdolcie się – syknął.

Gideon oparł ręce na biodrach.

– Nie, Michaelu – odpowiedział tonem urzędniczo-konwersacyjnym. – Nie odpierdolimy się. Proszę podejść do baru i porozmawiać kulturalnie z panem Silverem.

Hagger rozprostował ramiona, by podkreślić swoją przewagę fizyczną. Był dobrych kilka centymetrów wyższy i kilka kilogramów cięższy od Gideona.

– Odpierdolcie się! – powtórzył, tym razem głośniej, po czym sięgnął po kufel.

Gideon cmoknął z niezadowoleniem, podszedł do stołu i wziął do ręki trzy porzucone strzałki.

– Spróbujmy...

Hagger nadal pił piwo. Zdążył już pochłonąć dwie trzecie zawartości kufła, gdy Gideon rzucił lotką w podłogę.

– Cholera! – Hagger podskoczył, rozlewając trochę piwa na koszulkę, gdy strzałka wbiła się mocno w drewnianą podłogę tuż obok jego buta. Spojrzał groźnie na Gideona.

– Mogłeś mnie trafić.

– Próbowałem, ale nigdy nie byłem dobry w lotkach.

Wymierzył ponownie i rzucił. Strzałka wbiła się głęboko w prawą stopę Haggera.

Trafiony mężczyzna podskoczył jeszcze wyżej, a jego twarz nabiegła krwią.

– Chryste! Ty gnoju!

Złapał za podeszwę buta Converse i zaczął podskakiwać na jednej nodze.

– To był czysty przypadek. A może zaczynam się uczyć?

– Gideon podniósł rękę, w której trzymał trzecią strzałkę. Wszyscy klienci wpatrywali się w swoje gazety albo potwierdzenia zakładów.

– Dobra już, dobra.

Hagger odwrócił się i kuśtykając, podszedł do baru. Nie wyjął strzałki ze stopy, ale wciąż tulił do piersi kufel z resztką piwa.

Gideon rzucił ostatnią strzałką w tarczę i trafił szóstkę.

– A nie mówiłem – mruknął do siebie. – Nigdy nie będę w tym dobry.

Hagger postawił kufel na barze i spojrzał na Dominica.

– Ukrywałeś się, Michaelu – odezwał się Silver.

– Wcale nie. – Hagger wzruszył ramionami.

– Gdzie jest chłopak?

– Jake to mój dzieciak. – Hagger spojrzał na kufel, ale nie podniósł go do ust. – To moja sprawa.

– Nie tylko twoja – odparł łagodnie Dominic. Czuł, że ogarnia go fala niewyczerpanej cierpliwości. Musi zadawać się z idiotą, ale choć raz ma mnóstwo czasu. Był niemal szczęśliwy. Nie musieć się spieszyć – to cudowny stan, największy luksus.

– To mój syn – upierał się Hagger.

– Michaelu, nigdy nie zostaniesz rodzicem roku. Ukradłeś dzieciaka matce. Nawet ona opiekowała się nim lepiej niż ty, a to mówi samo za siebie. Szuka cię policja, a przynajmniej powinna. Odebrano ci prawa rodzicielskie.

– Co? – Tym razem Hagger sięgnął po piwo.

– Czy Jake żyje?

– Tak!

Dominic ściszył nieco głos.

– Miejmy nadzieję, bo jeśli coś mu się stało, zdechniesz jak pies.

Hagger nie wydawał się szczególnie przerażony tą groźbą.

– A dlaczego cię to właściwie obchodzi? – spytał.

Dominic zmierzył go wzrokiem i poczuł, że fala niewyczerpanej cierpliwości powoli od niego odplywa. Wciąż patrząc Haggerowi w oczy, nacisnął mocno podeszwą buta na strzałkę wbity w jego stopę.

Kufel wysunął się z ręki mężczyzny i rozbił o podłogę. Hagger zbladł jak ściana, wyglądał, jakby zaraz miał wymiotować.

– Jezu!

Dominic przywołał Gideona, który czekał w pobliżu.

– Zabierz go do samochodu.

Zostawiwszy na barze kieliszek z resztką różowego wina, powoli wyszedł z pubu.

Carlyle potrzebował prawie dwudziestu minut, żeby odszukać swój „prywatny” telefon, do którego wpisał numer Moniki Hartson. Ktoś ukrył go sprytnie pod stertą gazet na podłodze w salonie. Nie przypominał sobie, by go tam zostawił, ale tak to już jest z tymi rzeczami – skarpetami, kluczami, komórkami – które stworzono chyba po to, by regularnie ginęły i co jakiś czas się odnajdywały. Na widok odnalezionego telefonu inspektor wydał triumfalny okrzyk i wybrał numer Hartson. Po wielu sygnałach usłyszał w końcu krótki komunikat: „Ten numer jest niedostępny. Proszę spróbować później”.

Nieco zadziwiony brakiem poczty głosowej, Carlyle się rozłączył. Pomyślał, że nie jest to dobry początek i zastanawiał się przez moment, co Hartson kombinuje. Tacy ludzie są nieprzewidywalni. Odłożywszy telefon na widoczne miejsce przy telewizorze, inspektor poszedł zaparzyć sobie zielonej herbaty.

Kiedy już napełnił czajnik wodą i czekał, aż się zagotuje, zauważył dużą kremową kopertę opartą o pojemnik na pieczywo. Była zaadresowana do Sz. Pana Johna Carlyle’a. Wziął ją do ręki. Na odwrocie widniał jakiś nieznany mu herb. Wydawała się ciężka. I droga.

Otworzył ostrożnie kopertę i wyjął zaproszenie wydrukowane na grubym papierze ze srebrną obwódką. Pośrodku widniał tłoczony ozdobny napis, a właściwie prośba o przybycie na Downing Street numer dziesięć na imprezę organizowaną przez Związek Społecznych Darczyńców. Carlyle ściągnął brwi, zastanawiając się, kto mógł mu to przysłać. Woda w końcu się zagotowała. Odłożył kopertę, wsunął torebkę z herbatą do wody, policzył do dziesięciu i wyjął. Kiedy wrzucał torebkę do zlewu, przypomniał sobie rozmowę z Rosanną Snowden w Patisserie Valerie przy Marylebone High Street. Wydawało się, że było to wieki temu. Rosanna zapewne dotrzymała obietnicy i zdobyła dla niego zaproszenie do rezydencji premiera. Poczul się nieco

zawstydzony tą ostatnią uprzejmością ze strony kobiety, której nigdy nie odwdzieczył się za pomoc.

Podmuchał na herbatę i upił mały łyk. Była za gorąca. Powinni pójść na to przyjęcie? Nie przepadał za takimi imprezami, ale z drugiej strony prawdopodobnie nie będzie już miał w życiu podobnej okazji. Uśmiechnął się na myśl, że przejdzie przez te czarne drzwi. Pomimo swoich liberalnych poglądów być może Helen też będzie miała na to ochotę. Pozwoli, żeby to ona zdecydowała.

Matias Gori stał na dachu ambasady Chile i patrzył na przejeżdżające w dole samochody. Oparł jedną nogę o gzyms biegnący wzdłuż krawędzi dachu i zaciągnął się papierosem. Poczł podmuch wiatru na twarzy i zadrżał. Robiło się chłodniej. Nie po raz pierwszy przeklął kraj, w którym trzeba wyjść na zewnątrz, żeby zapalić.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę.

Gori odwrócił się i zobaczył Claudia Orba, który zmierzał powoli w jego stronę.

– Zimno, prawda? – Ambasador się uśmiechnął.

– Tak – odparł Gori. Zaciągnął się raz jeszcze, po czym rzucił niedopałek za dach. Zauważywszy, że Orb na niego patrzy, wzruszył ramionami: – Teraz to jedyne miejsce, w którym można palić.

– I dobre miejsce na dyskretną rozmowę.

– Jeśli chcesz. – Gori wbił wzrok w swoje nieskazitelne buty John Lobb.

Czego ten stary głupiec od niego chce? Zdaniem Goriego Orb był tchórzem, liściem na wietrze. Jak taki człowiek może reprezentować jego kraj? Na pewno nie ma niczego ciekawego do powiedzenia.

Orb stanął przy krawędzi dachu i wskazał miasto.

– Nie będzie mi tego brakowało.

– Mnie też nie – odrzekł Gori. – Kiedy już nadejdzie mój czas.

– Mój już nadszedł.

– Wracasz do domu?

Orb skinął głową.

– Uznałem, że pora przejść na emeryturę. Moja żona chce częściej widywać wnuki.

– To wystarczająco dobry powód? – prychnął Gori.

- Tak. - Orb nie zwracał uwagi na jego kiepski humor. - Przynajmniej moim zdaniem. Poza tym mam już dość. Ministerstwo Spraw Zagranicznych już przygotowuje mojego następcę, więc nie ma sensu dłużej zwlekać.

Gori skinął głową i zapalił następnego papierosa.

- Mam nadzieję, że ja też wkrótce wrócę.

- Tak? - zdziwił się uprzejmie Orb. - Zrobiłeś tu już wszystko, co chciałeś zrobić?

- Moja praca nigdy się nie kończy. - Gori uśmiechnął się z wyższością. - Tak to już jest.

Orb spojrział w górę, na niebo, i słuchał przez chwilę pomruku samolotu, który przelatywał nad chmurami.

- A co to za praca?

- Wiesz, jak to mówią...

- Nie, Matiasie - doparł ambasador, już bez uśmiechu.

- Nie wiem.

Gori przesunął papierosem w powietrzu, jakby pisał na tablicy.

- Nigdy nie przeprasza, nigdy się nie tłumaczy, panie ambasadorze.

- Dyplomata nie mógłby się trzymać takiej zasady.

- Nie jestem dyplomata - odpowiedział ostro Gori.

- A kim jesteś?

- Jestem... - twarz Goriego rozjaśnił szeroki uśmiech - wojownikiem.

- Ile jeszcze kobiet chciałeś zabić?

Gori spojrział w dół, na długi wąż czerwonych tylnych świateł samochodów ciągnący się aż do Edgware Road, najstłynniejszej dzielnicy arabskiej w Londynie. Gori spędził tam sporo wieczorów. Klimat tego miejsca przypominał mu stare dobre czasy. Wybierał się wkrótce na kolację do jednego z tamtejszych lokali, libańskiej restauracji Zielona Dolina.

- Więc? - spytał cicho Orb.

Gori podszedł do ambasadora, dzieliło ich już tylko kilka kroków. Może Orb nie jest jednak taki głupi, jak mu się wydawało, choć i tak nie miało to znaczenia.

- Kto ci powiedział? - spytał w końcu. - Ten policjant?

- Nie. On chyba nie wie do końca, co się tu dzieje - odpowiedział Orb. - Ale naprowadził mnie na właściwy trop.

– Może wie, może nie wie. Czy to ma jakieś znaczenie? – Gori rzucił papierosa na dach i zgniótł niedopałek czubkiem buta. – Chcesz mu powiedzieć?

– Nie sądzę, żeby to było właściwe rozwiązanie.

Więc po co ta rozmowa? – zastanawiał się Gori.

– Nawet gdyby wiedział i tak nic nie mógłby z tym zrobić.

– Nie o to chodzi, Matiasie.

– Nie? Więc o co, wasza ekscelencjo?

Orb rozprostował ramiona i powiedział władcym tonem:

– To się musi skończyć. To się musi skończyć natychmiast.

– To się nigdy nie kończy.

– To nie jest Irak, Matiasie, ani Chile w siedemdziesiątym trzecim.

Nie możesz prowadzić tutaj brudnej wojny.

Gori cofnął się o krok i przyjrzał uważnie ambasadorowi. Szacował, że ma nad nim przewagę ośmiu do dziesięciu centymetrów i tyle samo kilogramów, nie mówiąc o ponad trzydziestu latach. Na dachu nie było żadnej balustrady ani kamer ochrony. Szybkie pchnięcie i Orb poleciał w dół. Łatwo, szybko i bez konsekwencji. Nikt by się nie dowiedział, co tutaj zaszło. Trącił czubkiem buta niedopałek: powinien pamiętać, żeby go stąd zabrać, kiedy będzie schodził z dachu. To jedyny dowód, że w ogóle tu był.

Nagle na dole rozległ się pisk opon, brzęk metalu i klakson. Gori spojrzał na ulicę i zobaczył, jak taksówkarz wysiada z auta i zaczyna wrzeszczeć na rowerzystę, który siedzi na ulicy obok swojego zniszczonego pojazdu. Po ostrej wymianie zdań taksówkarz kopnął cyklistę i wrócił do auta. Gori parsknął śmiechem, zapominając o swoich morderczych zamiarach. Spojrzał na Orba. Staruch nigdy się nie dowie, jak niewiele brakowało, by pożegnał się ze światem.

W gruncie rzeczy nie było potrzeby zabijać ambasadora. Byłoby to nawet niewskazane, bo zrobiłoby się za duże zamieszanie. Orb na pewno ma sprzymierzeńców, jeśli nie tutaj, to w Santiago. Nie jak te kobiety. One nie miały żadnych koneksji, żadnych wpływów. Nikt się nimi nie przejmował, może oprócz tego głupiego policjanta.

A co z nim?

Zabicie policjanta byłoby ciekawym doświadczeniem, ale to również nie było konieczne. Nie miał się czego obawiać z jego strony. Matias widział w życiu wielu podobnych gliniarzy: za mało rozumu, za mało

wytrzymałości, za mało odwagi. Wiedział, że on również nie stanowi zagrożenia.

Odwrócił się do Orba i uśmiechnął.

– Robimy tylko to, co konieczne.

– Nie ty o tym decydujesz, Matiasie. – Orb wyprostował się i położył rękę na ramieniu młodszego kolegi. – Doradzałbym ostrożność. Tacy ludzie nie są dla ciebie zagrożeniem. Pomimo wszystkich swoich wad, to jest cywilizowany kraj, przyjaciel Chile. Mamy dobre relacje. Ci ludzie nie mogą tego zepsuć. Wolno im protestować, ale niczego nie zmieniają. Właśnie o to chodzi w demokracji. Twoje działania sprawiają, że stosunkowo nieszkodliwa sytuacja staje się niebezpieczna. Londyn to nie Bagdad. Morderstwo jest tutaj ważnym wydarzeniem. Ludzkie życie ma tu znaczenie. Policja przeprowadzi wnikliwe śledztwo. Złapią cię. W dodatku kreujesz nowych męczenników i wzmacniasz sprawę, którą chcesz zniszczyć.

– Rozumiem, co masz na myśli. – Gori milczał przez moment, wiedząc, że powinien na tym poprzestać, nie mógł się jednak powstrzymać i dodał ze złośliwym uśmiechem: – Przez całe życie tylko kłaniasz się innym w pas i uśmiechasz, kiedy cię kopią. Musi cię strasznie boleć dupa. To dobrze, że idziesz na emeryturę, bo Chile potrzebuje ludzi silniejszych od ciebie.

Orb uśmiechnął się słabo i zdjął rękę z ramienia Goriego.

– Może masz rację. Na każdego przychodzi czas. – Odsunął się o pół kroku od krawędzi dachu. – Ale jedno jest pewne.

– Tak? Co takiego?

– Że obaj wkrótce wrócimy do domu.

Orb położył rękę tuż pod karkiem Goriego i mocno pchnął. Zaskoczony attache próbował złapać równowagę, ale potknął się o gzyms i poleciał do przodu. Orb stęknął i pchnął jeszcze mocniej, a Gori zniknął za krawędzią dachu. Ambasador stał jeszcze przez kilka sekund bez ruchu, wsłuchany w bicie swojego serca. Potem odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia.

Gideon Spanner siedział na betonowej podłodze, oparty o metalową ścianę, z kolanami podciągniętymi pod brodę, i wpatrywał się w przestrzeń. W ręku trzymał wycinek z wczorajszej gazety, informację o śmierci kolejnych czterech brytyjskich żołnierzy w Afganistanie, rozszarpanych podczas patrolu przez przydrożną minę. Dobrze znał dwóch z nich, służyli razem przez trzy miesiące, nim Gideon odszedł i trafił w końcu do Dominica Silvera. Lee McCormack i Giles Smith byli zwykłymi chłopakami, jak on. Nie chcieli walczyć na pierwszej linii frontu, ale nie chcieli też wracać do domu. Byli żołnierzami, pragnęli walczyć, ale walczyć o coś, co rozumieli.

Tymczasem tych czterech pechowców było kolejnymi ofiarami kampanii, która miała na celu zabezpieczenie prowincji Helmand i przygotowanie jej do wyborów. Ostatecznie tylko sto dziesięć osób czuło się na tyle bezpiecznie, by wziąć udział w głosowaniu. Stu dziesięciu ludzi. Jego kumple umarli za sto dziesięć pieprzonych głosów. Dziwna demokracja.

Ilu jego towarzyszy skończyło podobnie? Piętnastu? Szesnastu? Jakoś tak. Często zastanawiał się, dlaczego nie on. Czasami, gdy o tym rozmyślał, łzy napływały mu do oczu, emocje chwytały za gardło i nie pozwalały oddychać. Tego wieczoru czuł mocne bicie serca i pulsujący ból w skroniach. Przesunął palcem po spuście sig sauera P226. Wystarczy tylko odbezpieczyć i przystawić lufę do głowy. Jeden strzał w mózg i będzie po wszystkim. Trzy sekundy – jeden, dwa, trzy...

– Gideonie! Chodź tutaj, proszę.

Spanner powoli podniósł się z podłogi i podszedł do Dominica Silvera.

– Powiedział ci wszystko, co chciałeś, szefie? – spytał.

– Tak.

– I co teraz? – Gideon zaczął się bawić bezpiecznikiem pistoletu.

– Teraz czas się go pozbyć – odparł Dominic swobodnym tonem.

- Dobra. - Gideon przeszedł obok Silvera i stanął przed mężczyzną przykutym łańcuchem do podłogi. Nie było w nim ani cienia pychy, gdy patrzył na swojego oprawcę z rezygnacją i niemym błaganiem. Spanner odbezpieczył broń.

Hagger otworzył szerzej oczy, był przerażony.

- Nie możesz!

Gideon poczekał, aż ucichną kroki Silvera, i ściągnął brwi.

- Dlaczego nie?

- Bo to... morderstwo - wychrypiał Hagger.

- Tak - Gideon skinął głową - to morderstwo. - Podszedł o krok bliżej, wciągnął w nozdrza smród Haggera, poczuł, jak powoli wraca do niego życie. - Ale co chwila giną dobrzy ludzie, wspaniali faceci, więc dlaczego nie taki sukinsyn jak ty?

- Ale...

Nim Hagger zdążył powiedzieć coś więcej, Gideon podniósł pistolet i wpakował mu dwie kule w serce, nieodwołalnie kończąc dyskusję.

Poranek był wilgotny, szary i wyjątkowo zimny, jak na tę porę roku. Marząc o filizance gorącej, mocnej kawy, Carlyle wpatrywał się ponuro w szarą przestrzeń za krawędzią dachu. Wyobraził sobie, że traci nagle równowagę i wpada w otchłań. W rzeczywistości stał metr od gzymsu, by wychylić tylko głowę i spojrzeć w dół, na ciało nabite na słupki ogrodzenia. Z wysokości niemal trzydziestu metrów Matias Gori wyglądał jak zdechła, przesyta oszczepem ryba. Co więcej, wyglądało na to, że będzie tam wisiał jeszcze przez jakiś czas. Technicy kryminalistyczni zastanawiali się dopiero, jak usunąć Chilijczyka tak, by jego wnętrzności nie rozsypały się po chodniku.

Kiedy Carlyle przyjechał do ambasady, nie zatrzymał się przy ogrodzeniu, by obejrzeć Goriego z bliska. Po krótkiej rozmowie ze zestresowanym ochroniarzem poszedł prosto na dach. Tutaj też nie czuł się dobrze, ale lepiej znosił lęk wysokości niż widok zmasakrowanych zwłok.

Joe Szyszkowski stał tuż za plecami szefa, jeszcze ostrożniejszy niż on.

– Więc jak – spytał, zerkając niepewnie na krawędź dachu – skoczył, czy ktoś go zepchnął?

– Moim zdaniem nie wyglądał na samobójcę – odparł Carlyle szorstko. – Rozmawiałem z nim kilka dni temu. Zachowywał się jak arogancki gnojek, któremu się wydaje, że wypełnia jakąś misję od Boga czy coś w tym rodzaju. Myślał chyba, że będzie żył wiecznie.

– To mógł być wypadek – zasugerował Joe. – Może był wstawiony? Co tu w ogóle robił?

– Ochroniarz na dole mówił, że w całym budynku obowiązuje zakaz palenia, więc pewnie przychodził tutaj na fajkę.

– Technicy coś znaleźli? – spytał Joe, spoglądając na asfaltową powierzchnię dachu.

– Tylko niedopałek. Prawdopodobnie Goriego. – Carlyle się rozejrzał. – Trudno powiedzieć, czy przyszedł sam, czy w

towarzystwie. Nie ma tu kamer.

– Żadnych świadków?

Carlyle pokręcił głową.

– O tej porze ambasada była prawie pusta. Strażnik patrolował parter i podwórko, ale nie wchodził na górę. Mówi, że nikogo nie widział. W pobliżu nie ma budynków, z których byłoby widać tę część dachu. – Wskazał hotel Radisson po drugiej stronie placu, jedyny budynek w okolicy wyższy od ambasady. – Stamtąd z kolei jest za daleko, żeby zobaczyć, co się tu dzieje.

Upewniwszy się, że nie stoi zbyt blisko brzegu, Carlyle pochylił się do przodu i spojrział na zdechłą rybę.

– Nie ty jeden spadłeś ostatnio z dachu wysokiego budynku, prawda, kolego? – powiedział cicho do siebie. Na myśl o Jeromie Sullivanie i Michaelu Haggerze poczuł bolesne wyrzuty sumienia. Od spotkania z Haggerem na placu nie zrobił nic, by odnaleźć małego Jake'a. Z tego co wiedział, Cutler, policjant prowadzący śledztwo w tej sprawie, też nie zrobił żadnych postępów.

Poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku i lekkie zawroty głowy. Odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

– Chodźmy.

Joe skinął głową, po czym obaj weszli do budynku.

– I cóż to wszystko dla nas oznacza? – spytał Joe, gdy znaleźli się na półpiętrze.

– Same dobre rzeczy. – Carlyle wzruszył ramionami. – Śmierć Goriego to nie nasza sprawa, nie musimy się tym martwić.

– Pewnie uznają to za wypadek – stwierdził Joe.

– Prawdopodobnie – zgodził się z nim Carlyle. – A jeśli to on był naszym zabójcą, to sprawa jest zamknięta.

– A co z Groves?

– To też nie nasze zmartwienie. – Carlyle ziewnął. – Powiedziałem, co o tym myślę Chanowi i jego kumplowi w szpitalu, ale mnie olali, więc niech się sami nad tym głowią.

Pomyślał o Monice Hartson – wyglądało na to, że wróci z Glasgow znacznie szybciej, niż przypuszczała. Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał jej numer. Tym razem odpowiedziała mu poczta głosowa.

– Szlag by to trafił! – syknął. Dlaczego niektórzy ludzie nie potrafią odebrać cholernej komórki! Rozłączył się, nie zostawiwszy

wiadomości, i schował telefon do kieszeni. – Napisałeś raport o Millsach?

Joe ruszył po schodach z opuszczoną głową.

– Nie.

– Nie martw się – uspokoił go z uśmiechem Carlyle.

– Zajmę się tym po śniadaniu.

Na wzmiankę o jedzeniu Joe wyraźnie poweselał.

– Świetnie.

– A potem pójde do Simpson.

Wszystko więc wskazuje na to, że pan Mills zabił swoją żonę z nieznanych przyczyn, a potem, gnębiony wyrzutami sumienia, sam odebrał sobie życie.

Dlatego też uważamy, że nie ma potrzeby kontynuować śledztwa i że sprawa może zostać zamknięta.

Carole Simpson jeszcze raz uważnie przeczytała ostatnie zdanie. Pomimo najlepszych chęci nie mogła doszukać się w nim żadnych ukrytych znaczeń czy aluzji. Podniosła wzrok na Carlyle'a, który siedział po drugiej stronie biurka z rękami na kolanach i kamienną twarzą. Komendantka pomyślała, że jeśli w ciągu ostatniej dekady był w tym biurze ktoś, kto mniej pasował do roli grzecznego podwładnego, to musiała to przegapić.

Uniosła lekko brwi i rzuciła raport na biurko.

– I to wszystko?

Inspektor spojrział prosto w oczy szefowej.

– Tak, pani komendant – odparł sztywno.

– Żadnych chilijskich zabójców?

Carlyle uśmiechnął się lekko.

– To była tylko jedna z hipotez.

– A co z Sandrą Groves i tą... – przez chwilę szukała w pamięci nazwiska – Hartson?

Carlyle przestał się uśmiechać. Mógł zarzucić Simpson wiele rzeczy, ale na pewno nie naiwność.

– Nie śledziłem zbyt uważnie sprawy Groves – odparł wymijająco. – A śmierć Hartson uznano za samobójstwo. Jej lekarz potwierdził, że cierpiała na nerwicę pourazową.

Wiem coś o tym, pomyślała Simpson pośpiesznie.

– Wygląda na to, że od dłuższego czasu nie czuła się najlepiej i...

– Więc rzuciła się pod pociąg, tak? – przerwała mu komendantka.

Carlyle wzruszył ramionami. Gdy w końcu ktoś odebrał telefon Hartson, okazało się, że była to opryskliwa policjantka. Gdy dowiedziała się już, z kim ma do czynienia, poinformowała inspektora, że właścicielka telefonu „rzuciła się pod pociąg w metrze”. Carlyle nie próbował jej tłumaczyć, że mogło to jednak wyglądać trochę inaczej.

– I to zaledwie kilka minut po spotkaniu z tobą? – spytała Simpson.

– Wygląda na to, że biedaczka nie mogła już tego dłużej znieść.

– Tak, czasami działasz tak na ludzi – mruknęła Simpson.

– Słucham?

– Nie, nic takiego. – Niemal wbrew sobie Simpson brnęła dalej: – To wszystko wygląda na przedziwny zbieg okoliczności, nie uważasz?

– Maszynista powiedział, że skoczyła – odpowiedział spokojnie Carlyle. – Żaden ze świadków nie zaprzeczył.

– Hm...

– A z nagrań ochrony nie wynikło nic konkretnego.

Dobrze wiedząc, że jej podwładny potrafi bardzo oszczędnie dawkować istotne informacje, Simpson popatrzyła na niego nieufnie.

– Ale czy analizując swoje hipotezy, nie przypuszczałeś, że pani Hartson groziło jakieś niebezpieczeństwo?

– To były tylko domysły – westchnął, odpowiadając fałszywą skromnością na oczywisty blef komendantki. – Ta kobieta widziała naprawdę okropne rzeczy. Opowiadała mi o swoich doświadczeniach z Iraku. Przerazające.

– Tak, rozumiem. – Simpson nie chciała znać krwawych szczegółów tych opowieści.

– Bez wątplenia była bardzo przygnębiona i zdenerwowana.

– No dobrze. – Simpson westchnęła przeciągle. Inspektor może tak z nią pogrywać przez cały dzień, a ma jeszcze kilka ważnych spotkań.

– Więc sprawa załatwiona, tak? – Carlyle położył dłonie na poręczach krzesła, gotów do wyjścia.

– Na to wygląda – odpowiedziała Simpson zbolalym głosem. Postukała w raport palcem wskazującym. Dopiero teraz zauważyła, że obgryzła paznokieć niemal do żywego mięsa. – Ale dlaczego uznałeś, że powinienes tu przyjść i oddać mi to osobiście?

– Cóż... – Carlyle odchrząknął, starając się przybrać właściwy ton. – Chciałem przeprosić za opóźnienie i... i upewnić się, że nie masz żadnych zastrzeżeń do ostatecznych wniosków.

Na twarzy komendantki pojawił się grymas przypominający uśmiech.

– Dziękuję ci, John – odpowiedziała – ale e-mail w zupełności by wystarczył. Wiem, jaki jesteś zajęty, więc nie musiałeś poświęcać mi aż tyle czasu.

– Wiem, ale w tych okolicznościach...

Simpson spojrzała na niego ostro.

– ...uważałem – ciągnął, patrząc w sufit – ...że powinienem skorzystać z okazji, żeby tu przyjść i powiedzieć, że... no... że... – Przełknął ciężko. – Wiem, że to musi być dla ciebie trudny okres, ale wszyscy w Charing Cross uważają, że jesteś dobrym, godnym szacunku gliniarzem, i że jeśli możemy ci w czymś pomóc, to daj nam znać.

Skąd mu to przyszło do głowy? Wydawało się, że po wszystkich tych latach do reszty stracił rozum. Czując, że lekko się czerwieni, zamknął usta i wbił wzrok w podłogę.

Gdy w końcu ośmielił się spojrzeć Simpson w twarz, zrozumiał, że jest co najmniej tak samo zaskoczona jego krótkim przemówieniem, jak on sam.

– Ehm... dziękuję ci, John. – Odchrząknęła, również się czerwieniąc.

– To pierwsze prawdziwe słowa wsparcia, jakie usłyszałam od momentu aresztowania Joshuy.

Carlyle wbił wzrok w ścianę nad jej głową.

– Chłopaki z komisariatu uważają, że to ważne, i że powinnaś o tym wiedzieć. – Miał tylko nadzieję, że „chłopaki” nie dowiedzą się o jego spontanicznym wystąpieniu w roli ich rzecznika.

– A ja bardzo to sobie cenię. – Wstała i poczekała, aż on zrobi to samo. – I dziękuję za raport. Dobrze wiedzieć, że sprawa Millsów została zamknięta.

– Tak.

– A jak idzie śledztwo w Royal Opera House?

Carlyle ściągnął brwi. Prawdę mówiąc, sprawa kradzieży, których ofiarami padali wielbiciel Pucciniego, w ogóle nie ruszyła z miejsca.

– Powoli.

– No tak. – Simpson wyszła z za biurka. – Takie rzeczy zawsze toczą się swoim tempem.

- Tak - odparł Carlyle, zbity z tropu tym wyrozumiałym podejściem, zupełnie nietypowym dla szefowej. Przekonany, że wyszedł na idiotę, uśmiechnął się z zakłopotaniem i ruszył do drzwi.

Po wyjściu z gabinetu Simpson poszedł do najbliższej toalety, żeby się uspokoić i zrozumieć, co właściwie przed chwilą zrobił. I dlaczego. Do tej pory uważał komendantkę za osobę zdecydowanie antypatyczną i pełną wad. Teraz ta egoistyczna karierowiczka wreszcie dostała nauczkę, więc dlaczego się z tego nie cieszy? Dodawanie komuś otuchy tak bardzo nie pasowało do jego stylu, że zaczął się zastanawiać, czy nie dopadła go jakaś choroba. Nie znalazłszy żadnej odpowiedzi, przemył twarz i wyszedł z budynku prosto w popołudniową krzątaninę zachodniego Londynu.

Christian Holyrod podniósł na moment wzrok, gdy za przeszkloną ścianą jego biura przeleciał mały odrzutowiec pasażerski z lotniska City, zmierzający do jakiegoś europejskiego miasta. Kiedy zniknął mu z oczu, burmistrz spojrzął na trzy kartki formatu A4 rozłożone na biurku i mruknął z zadowoleniem. Jakby na dany sygnał pojawił się przy nim kamerdyner ze szklanką whisky Talisker na srebrnej tacy. Postawił szklankę na stole i zniknął bez słowa.

Holyrod wziął jedną z kartek i przeczytał, wachając jednocześnie whisky. Policyjny raport dotyczący śmierci Agathy Mills był krótki, rzeczowy i – co najważniejsze – kończył się dokładnie takimi wnioskami, jakie burmistrz chciał w nim zobaczyć.

– Kto by pomyślał? – mruknął do siebie. – Ten idiota Carlyle choć raz zrobił coś jak należy.

Szybko doszedł do wniosku, że była to zapewne zasługa jego szefowej. Już miał zadzwonić do Simpson i pogratulować jej sukcesu, jednak przypomniał sobie o jej toksycznym mężu. Cała ta historia z oszustwem była naprawdę bardzo przykra, ale takie rzeczy się zdarzają i lepiej trzymać się od nich z daleka.

Podarł raport na małe kawałki, zebrał je w małą stertę na blacie biurka i przez chwilę przyglądał im się z zadowoleniem, popijając whisky. W końcu odstawił szklankę, zebrał kawałki papieru i umieścił je w zamkniętym koszu z napisem: TYLKO TAJNE DOKUMENTY.

Po kilku kolejnych łykach szkockiej burmistrz poczuł, jak jego brzuch wypełnia przyjemne ciepło, a na policzkach pojawiają się wypieki. Westchnął z zadowoleniem i wziął drugą kartkę. Był to e-mail z sekretariatu Pierrepont Aerospace potwierdzający, że firma otrzymała w końcu podpisany kontrakt od chilijskiego dostawcy broni LAHC Consulting. W rezultacie Pierrepont zleciła znaczną część zadań związanych z zarządzaniem brytyjskimi bazami wojskowymi w Afganistanie Chilijczykom za drobną część stawki, którą sama pobierała od Ministerstwa Obrony. Oczywiście w znaczącym stopniu

kształtowało to zyski firmy, a także premię, jakiej Holyrod mógł się spodziewać na koniec roku. Rozmyślając o swoich zarobkach, burmistrz uświadomił sobie, że musiała to być jedna z ostatnich rzeczy, jakimi zajmował się biedny Matis Gori przed nieoczekiwaną śmiercią. Burmistrz wznosił toast na cześć swoich nieobecnych przyjaciół.

– Wspaniały projekt. – Uśmiechnął się szeroko. – Naprawdę doskonała robota.

– Napije się pan czegoś, inspektorze?

– Czemu nie? – Carlyle rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu i uśmiechnął z zadowoleniem. – Poproszę whisky, jeśli można. Dziękuję.

Inspektor odprowadził wzrokiem Claudia Orba, który poszedł po drinki, a potem rozejrzał się po nowym Terminalu numer 5 lotniska Heathrow. Po raz pierwszy znalazł się w salonie Executive. Do tej pory, podczas nielicznych okazji, gdy korzystał z lotniska, wyjeżdżając na wakacje, skazany był na towarzystwo spoconych tłumów krążących po barach szybkiej obsługi i sklepach bezcłowych w głównej hali. Nie było to przyjemne doświadczenie. Tutaj było cicho i przyjemnie. Właśnie za tę ciszę i spokój płacili bogaci pasażerowie – i za darmowy alkohol. Carlyle odwrócił spojrzenie od okna i przyglądał się przez chwilę garstce facetów w drogich ubraniach, którzy upijali się przed lotem i wysyłali ostatnie wiadomości ze swoich komórek.

– Tak właśnie żyje druga połowa – powiedział do siebie cicho. A może raczej pozostałe pół procenta.

– Proszę. – Orb wręczył mu szklaneczkę napełnioną do połowy whisky. Sam trzymał w ręce wysoką szklanę z jakąś czerwoną cieczą.

– Sok żurawinowy – wyjaśnił z uśmiechem, siadając w fotelu naprzeciwko. – To długi lot. Na zdrowie!

– Na zdrowie – odparł Carlyle, unosząc szklanę. Upił łyk. Dobra. Lepsza od whisky, do której przywykł.

Orb postawił szklanę na stoliku między fotelami.

– Rozumiem, że przyszedł pan tutaj, żeby mnie po cichu odprawić z waszego kraju?

– Niezupełnie – odrzekł Carlyle z uśmiechem. – Chciałem po prostu zobaczyć się z panem przed wyjazdem i podziękować za pomoc w

śledztwie.

– Och, żarty na bok, inspektorze. Nie wydaje mi się, żeby należał pan do ludzi, którzy przyjeżdżają na lotnisko tylko po to, by wymienić drobne uprzejmości.

Carlyle upił łyk szkockiej, potrzymał ją przez moment pod językiem, po czym pozwolił, by spłynęła w dół gardła.

– Cóż, może rzeczywiście przyjechałem nie tylko po to, żeby panu podziękować. Miałem nadzieję, że może zdoła pan wyjaśnić mi kilka spraw i kilka szczegółów.

Orb uniósł brwi.

– Więc nie wszystko jeszcze zostało wyjaśnione?

– Tylko oficjalnie. Moja sprawa, zamordowanie Agathy Mills, została zamknięta.

– To dobrze.

– Ostatecznie uznano, że zrobił to jej mąż.

– Rozumiem.

– Ale...

Ambasador uśmiechnął się znacząco.

– Ale pan nie uważa, że była to typowa kłótnia małżeńska, która zakończyła się morderstwem?

Carlyle wzruszył ramionami.

– Niektóre sprawy są bardziej skomplikowane, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

– Inspektorze, jestem... byłem dyplomatą. Wiem, że wszystkie sprawy są bardziej skomplikowane, niż się wydaje. A jeśli nie, to sami je komplikujemy. – Ambasador zachichotał. – Więc co się tam stało, pana zdaniem?

– Moim zdaniem to Matias Gori zabił Agathę Mills – powiedział cicho Carlyle. – A także Sandrę Groves i prawdopodobnie Monicę Hartson.

Orb spojrział tylko na niego, nie okazując żadnych emocji.

– Dlaczego?

– Bo chciały, żeby został aresztowany i osądzony za zbrodnie wojenne. Uważały, że wymordował w Iraku całą rodzinę.

Z megafonów dobiegł delikatny kobiecy głos, który oznajmił z nienagannym akcentem:

„Zapraszamy pasażerów lotu BA dziewięćdziesiąt trzy do Toronto i Santiago na pokład samolotu”.

Orb odstawił sok na stół i poprawił się w fotelu.

– Zakładam, że wiedział pan o tym wszystkim – ciągnął Carlyle – bo te kobiety napisały do pana petycję. Prosiły, żeby podjął pan konkretne działania w sprawie Goriego.

– Nie powinien pan niczego zakładać z góry – powiedział Orb, patrząc mu prosto w oczy. – Założenia mogą być mylące. A nawet niebezpieczne.

– Tylko jeśli są błędne. Moja praca polega właśnie na formułowaniu założeń. Fakty albo do nich pasują, albo nie. Jeśli nie, tworzę nowe.

– Rozumiem.

– Wiedział pan o oskarżeniach pod adresem Goriego?

– Wielu ludzi pisze do ambasady, inspektorze. Ambasador czyta tylko niewielką część tej korespondencji. Nawet jeśli któraś z tych pań rzeczywiście do mnie pisała, to jestem pewny, że nie widziałem ich listów. I przepraszam za to.

– Panie ambasadorze – Carlyle przesunął się nieco w fotelu i pochylił do przodu – jestem tutaj nieoficjalnie. Nie chcę robić panu problemów. Wszystko, co tu powiemy, pozostanie między nami.

Orb wbił wzrok w swoją szklanekę.

– Chcę tylko wiedzieć, co się wydarzyło.

– Dlaczego? – spytał Chilijczyk. – Obaj wiemy, że ta sprawa należy do przeszłości. Już po wszystkim.

Dobre pytanie. Inspektor upił łyk whisky.

– Agatha Mills przez czterdzieści lat dążyła do postawienia przed sądem zabójców brata. Ona i pozostałe kobiety walczyły o to, w co wierzyły.

– A pan uważa, że zasługują na odpowiedź?

– Tak mi się wydaje – wymamrotał Carlyle w szklaneczkę.

– Więc obawiam się, że czeka pana rozczarowanie. – Orb westchnął.

– Widzi pan, sprawdziłem to i owo na własną rękę. Wygląda na to, że rząd wycofa się ze śledztwa w niektórych sprawach związanych z przewrotem w siedemdziesiątym trzecim roku. Śmierć Pettigrew jest jedną z nich. W związku z tym nie będzie żadnego procesu.

Carlyle opróżnił szklanekę i pomyślał o pustym miejscu w grobowcu rodziny Pettigrew.

- Szkoda.

- Takie jest życie, inspektorze.

- Tak, pewnie tak. Ale to nie sprawa Pettigrew niepokoiła Goriego.

- To również sprawdziłem. Nazwisko Matiasa nigdy nie znalazło się w śledztwach dotyczących masakry w Ishaqi, ani w już zakończonych, ani w tych, które jeszcze trwają. - Carlyle chciał coś powiedzieć, ale ambasador podniósł rękę. - Nie ma tam żadnej wzmianki na jego temat. Bez względu na to, co myślały te kobiety, a nawet, co myślał sam Matias, nikt inny się tym nie przejmował.

- Może jednak ktoś powinien był się przejąć?

Orb uniósł brwi.

- W ustach policjanta brzmi to nieco dziwnie, jeśli pozwoli pan, że tak to ujmę.

Carlyle skinął głową.

- Oczywiście.

„Zapraszamy pasażerów lotu BA dziewięćdziesiąt trzy do Toronto i Santiago na pokład samolotu”, powtórzyła spikerka.

Ambasador wyjął z kieszeni marynarki kartę pokładową i zaczął się nią bawić.

- Obaj wiemy - mówił cicho - że z Matiasem było coś nie tak. Jego mózg nie działał normalnie. Jestem pewny, że doskonale czułby się w Chile z siedemdziesiątego trzeciego roku. - Podniósł wzrok na Carlyle'a. - Nie pasował za to do dzisiejszego Londynu.

- Więc zabił te kobiety?

Orb wstał z fotela.

- Naprawdę nie wiem - powiedział. - Zakładam, że tak, ale nie wiem.

Inspektor odstawił pustą szklankę na stolik i również wstał.

- A co z jego śmiercią? - spytał.

Orb podniósł małą walizkę z brązowej skóry, która stała obok jego fotela, i zważył ją w rękę.

- Wszyscy byli bardzo zaskoczeni, że Matias postanowił rzucić się z dachu. - Spojrzał na monitor, na którym znajdowała się informacja, że powinien przejść do bramki numer dwadzieścia siedem. - Może dopadły go wyrzuty sumienia?

- Może - roześmiał się Carlyle.

Orb wyciągnął do niego rękę.

– Wyrzuty sumienia czasem się przydają.

Inspektor uściśnął jego dłoń.

– Owszem. Życzę bezpiecznej podróży do domu, panie ambasadorze, i powodzenia na emeryturze.

– Dziękuję, inspektorze. Moja żona ma już dla mnie mnóstwo zajęć, więc być może nawet nie zauważę, że przeszedłem na emeryturę!

– Dobrze to znam. – Carlyle pokiwał głową. – Moja żona też nie pozwala mi próżnować.

– Więc powodzenia dla nas obu – powiedział Orb z uśmiechem, po czym odwrócił się i ruszył w stronę bramki.

Carlyle patrzył na niego przez chwilę, a potem podniósł wzrok na tablicę z najbliższymi odlotami. Było dosyć późno. Zanim wróci do centrum, dzień pracy dobiegnie końca. Usiadł na fotelu i pomyślał, że właściwie może jeszcze przez chwilę korzystać z otaczających go luksusów.

Skończył właśnie drugą whisky – szesnastoletnią Lagavulin – i zastanawiał się nad trzecią, gdy zadzwonił jego prywatny telefon. To pewnie Helen, pomyślał. Nie powinienem był z niej żartować. Odebrał.

– Tak? – rzucił, starając się mówić trzeźwym głosem. Głos, który mu odpowiedział, z pewnością nie należał do jego żony, ale Carlyle i tak od razu go rozpoznał. Nie bawiąc się w uprzejmości, Dominic Silver oznajmił krótko:

– Znalazłem chłopca.

Carlyle patrzył na pustą ulicę i zastanawiał się, jak mógł trafić w takie miejsce. Stał w pomarańczowym blasku latarni, przed dwupiętrowym magazynem położonym na skraju kompleksu przemysłowego w pobliżu autostrady M25. Podniósł wzrok i spojrzął na okna pustych biur na pierwszym piętrze. Okropnie zmęczony, przeskakiwał z nogi na nogę i starał się zachować trzeźwość umysłu.

W końcu zza bocznych drzwi budynku wychynął Dominic Silver. Ruszył spokojnym krokiem w stronę inspektora, wskazując po drodze samochód zaparkowany po drugiej stronie drogi, toyotę hatchback. Minął Carlyle'a bez słowa i podszedł do auta. Otworzył bagażnik i gestem przywołał go do siebie.

Carlyle pochylił się niżej nad tobołkiem i obserwował przez chwilę, jak koc podnosi się i opada w rytm oddechu dziecka. Jake Hagger spał. Inspektor uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, i westchnął przeciągle. Sięgnął do wnętrza bagażnika, wsunął ręce pod okryte kocem dziecko i podniósł je ostrożnie. Jake mruknął coś przez sen, ale się nieobudził. Wydawał się lekki, lżejszy niż powinien, zdaniem Carlyle'a, być chłopiec w jego wieku. Będą musieli zawieźć go do szpitala i dokładnie zbadać. Dominic otworzył drzwi, a inspektor ostrożnie ułożył dziecko na tylnym siedzeniu, po czym odsunął się od auta i zatrzasnął drzwi najciszej jak umiał.

Obaj mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu, nie patrząc na siebie. Inspektor wiedział, że nie powinien pytać, jak znaleziono chłopca. Kątem oka dostrzegł, jak coś wynurza się z krzaków jakieś dwadzieścia metrów dalej. Na środek drogi wyszedł lis, spojrzął na nich obojętnie i potruchtał w drugą stronę.

Dominic gwizdnął cicho.

– Pierwszy raz widziałem coś takiego! – Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kluczyki do auta. – Trzymaj – powiedział, rzucając je Carlyle'owi.
– Zabierz stąd dzieciaka.

- A co z... - Carlyle wskazał głową magazyn, w którym zostali uwięzieni mężczyźni.

- To już moja sprawa - odparł Dominic twardo. - Ty jedź.

Carlyle spojrział na kluczyki.

- Nie umiem prowadzić.

- Co? - Dominic na moment oniemiał ze zdumienia.

- Nigdy się nie nauczyłem. W Londynie do niczego ci to niepotrzebne.

Dominic oparł ręce na biodrach i zapatrzył się w mrok.

- Na miłość boską...

- Połowa ludzi w Londynie nie ma samochodu - bronił się Carlyle.

- Ale mogę się założyć, że większość z nich umie prowadzić. - Dom pokręcił głową. - Jesteś naprawdę bezużytecznym dupkiem.

- Przepraszam.

- Wsiadaj.

Carlyle ruszył do drzwi po stronie pasażera.

Dominic złapał go za ramię.

- Siadaj za kierownicą, zanim ci, kurwa, przywalę.

Przez kilka następnych minut uczył inspektora podstaw jazdy. Szczęśliwie dla tego ostatniego było to auto z automatyczną skrzynią biegów. Po uruchomieniu silnika musiał operować tylko pedałem gazu i hamulca.

- Zabierz go do A i E w UCH - powiedział Dominic, zakończywszy naukę. Wsiadając z auta, wskazał małe pudełko na desce rozdzielczej.

- Możesz skorzystać z GPS-u.

- Z czego?

- Ja pierdolę... - wycedził przez zęby Dominic, zaciskając dłonie w pięści i przestępując z nogi na nogę, jakby naprawdę miał ochotę walnąć Carlyle'a w ucho. - Trzymaj się po prostu drogowskazów na centrum Londynu.

- Dobra. - Carlyle uznał, że z tym sobie poradzi. Prawdopodobnie.

- Nie spiesz się. Jedź najwyżej pięćdziesiąt na godzinę. Na szczęście o tej porze ruch jest niewielki. Kiedy będziesz na miejscu, zostaw kluczyki w stacyjce. Może ktoś się skusi. Jeśli nie, to pewnie go odholują, ale i tak jest czysty, więc nie ma zmartwienia.

- A co z prawem jazdy? - spytał Carlyle.

– Jeśli ktoś cię zatrzyma, pokaż swoją legitymację. – Dominic uśmiechnął się szeroko. – Zresztą o tej porze nie ma tu gliniarzy, wiem to z doświadczenia. Jeśli w nic nie walniesz ani nie będziesz jechał tak wolno, że zaczną cię o coś podejrzewać, nic ci nie będzie.

Carlyle nie był takim optymistą.

– A zresztą nawet gdyby cię zatrzymali, to co? Jesteś bohaterem. Upośledzonym w dziedzinie motoryzacji, ale mimo wszystko bohaterem. Pamiętaj tylko, co masz mówić.

Carlyle skinął posłusznie głową.

– To była anonimowa wiadomość. Znalazłeś ten samochód kilometr stąd. Nie przywoź tu nikogo przez jakiś czas. – Dom zatrzasnął drzwi, a potem wsunął rękę przez otwarte okno i uścisną dłoń inspektora.

– Dzięki – powiedział Carlyle.

– Nie ma sprawy – odparł Dominic, przyglądając mu się uważnie. – To jak, umowa stoi?

– Tak. Umowa stoi.

Zdjął stopę z hamulca i nacisnął lekko pedał gazu. Samochód powoli ruszył z miejsca. Inspektor widział we wstecznym lusterku, jak Dominic zmierza w stronę magazynu, a potem znika mu z oczu.

Chłopiec spał smacznie na tylnym siedzeniu. Jechali do domu, gdziekolwiek ten dom był.